

Harry Adam Knight

Pochodnia

Dlaczego ludzie zmieniają się w żywe pochodnie? Co jest przyczyną tajemniczych
pożarów?

Zagadkę usiłuje rozwiązać dwóch detektywów z Towarzystwa Ubezpieczeniowego. Okazuje się,
że w sprawę zamieszany jest producent filmów pornograficznych...

Rozdział 1

Zanim Al Andrade nie zasiadł w restauracji Palm Court nowojorskiego hotelu Plaza, przez jego głowę nie przebiegła żadna zdrożna myśl.

No, może nie tak dokładnie. Od momentu kiedy dotarł do miasta, a było to w czwartek, by wziąć udział w Międzynarodowej Konferencji Transportu Kolejowego, czuł w podświadomości niepokój.

Al był solidnym pracownikiem firmy Amtrak ze Stockton w Kalifornii. Od dziesięciu lat z dumą piastował stanowisko managera do spraw obsługi pasażerów. Ze zwykłym sobie poświęceniem w sprawach służbowych odbywał teraz szereg konwencjonalnych wizyt, napełniając kieszenie wizytówkami i rozdając tuziny własnych. Brał także udział w pasjonującym seminarium, zaszczyconym prelekcją samego Basila Enderby'ego z Kolei Brytyjskich, na temat zmienionej procedury wystawiania biletów w kombinowanym ruchu kolejowo–promowym. Referat uzupełniał również znamienity dr Henrich Lemkow. Skupił on się na zagadnieniach dotyczących zmian środka transportu dokonywanych przez pasażerów w Stuttgarcie.

Ale myśli Ala coraz uparciej krążyły wokół spraw bynajmniej nie związanych z wyżej wspomnianymi, ważkimi zagadnieniami. Nie chodziło mu jednak tylko o fizyczne zaspokojenie. Mógł to przecież dostać po

powrocie do Stockton od Helen, swojej sekretarki od ośmiu lat. Była też pewna ładniutka kelnerka w jego ulubionym barze, z którą od czasu do czasu spotykał się, odkąd wziął rozwód.

Do diabła, zawsze musiał z tym walczyć, gdy za długo słuchał elokwentnych wywodów o polityce finansowej i nie udawało mu się wymknąć w porę, korzystając z krótkich przerw na drinka. Czuł się podle – mały świntuch z prowincji.

Z drugiej strony był przecież w Nowym Jorku. Tu wszystko wydawało się inne. Nowy Jork zawsze był dla niego miejscem najelegantszym, najbardziej wyszukanym. Cóż, Miasto Sztuki. Nie mógł powstrzymać się od analizowania po raz któryś rozmowy z Mannym Levine'em, przedstawicielem biura Honeywell. Tamten z wyrazem krańcowego zadowolenia na twarzy opisywał, jak to podczas swojego ostatniego pobytu w Nowym Jorku zadzwonił z pokoju hotelowego po dziewczynę.

– Po prostu podniosłem słuchawkę. O tak, jak gdyby nigdy nic. Wykręciłem pewien magiczny numer i... nie uwierzysz! Za pół godziny ciche pukanie do drzwi. Jane Fonda! Mówię ci, Al. Tylko młodsza. I cycki większe. Weszła, obejrzała mnie od góry do dołu i powiedziała – przysięgam, to absolutna prawda: „Hm,... sądzę, że będę się tu dobrze bawiła...”

A potem szczegóły. Wyszukane. Plastyczne. Manny nie darmo był uważany za najbardziej precyzyjnego sprzedawcę komputerów w okolicy. Minęło już parę

tygodni, a Al wciąż na wspomnienie wynurzeń Manny'ego czuł niepokojące ciepło, wilgoć, drżenie rąk...

– Herbata dla pana?

Andrade poczuł, że rumieniec pokrywa mu twarz. Gdyby tylko inni mogli słyszeć jego fantazje! Zewsząd otaczał go wytworny tłum. Z zażenowaniem spojrzął na kelnera.

– A... Tak. Herbata. Oczywiście.

– Dziś polecamy Earl Greya. Wyśmienity gatunek, odmiana wielkolistniasta o woni jaśminu i olejku bergamotowego – powtórzył chyba po raz setny tego popołudnia.

– Dobrze.

– Z mlekiem? Z cytryną?

– Niech będzie z cytryną.

– Zestaw ciastek czy deser z menu?

– Och, bo ja wiem...

Ale kelner już odszedł. Chwilę później przyniesiono tacę i Al, chcąc nie chcąc, musiał coś wybrać. Zdecydował się na duży, duński placek śliwkowy. Bardziej dla przyzwoitości niż z głodu. Próbował odkroić kawałek widelczykiem, nijak się nie udawało. Nieco zakłopotany rozejrzał się, czy nikt nie widzi jego bezowocnych wysiłków. Z niechęcią odsunął nadkruszone ciastko.

Nie oszukiwał się już dłużej – wybrał hotel Plaža, bo właśnie tu Manny przeżył swoją upojną przygodę. Ale on nigdy by się nie zdobył, żeby tak po prostu wykręcić

numer zapisany na odwrocie wizytówki Manny'ego. Zresztą i tak takich spraw nie reguluje się kartą American Express, a gotówką nie dysponował.

Po kilometrach, które przemierzył po zatłoczonych ulicach Manhattanu, Palm Court było prawdziwym wytchnieniem. Restauracja miała kształt dużego liścia, zakończonych wejściem do kawiarni. Stopy piekły go niemiłosiernie. Oszczędność kazała mu odbywać długie spacery do tańszych postojów taksówek. Z przykrością myślał o lepkiej popołudniowej duchocie swojego pokoju. Wiedział, że wieczór spędzi jak wczoraj i przedwczoraj – ze wzrokiem utkwionym w telefonie, wyrzucając sobie tchórzostwo i miętosząc wizytówkę Manny'ego.

Wschodnie wejście do hotelu oddzielała od Palm Court niska barierka i rząd donic z zielenią. Każdy przechodzień Piątej ulicy mógł tu zajrzeć. Al dalej prowadził swoje małe obserwacje. Z lekkim zdumieniem skonstatował, że jest jedynym mężczyzną w restauracji. Poczul się nieswojo.

Ukrył się za kartą menu. Ta godzinka nad ciastkiem i cienką herbatą miała go kosztować ponad dwadzieścia pięć dolarów.

Dookoła stoliki oblegały grupki kobiet pochłoniętych dyskusją i podzwaniających malutkimi filiżankami. Gdzieś z boku sączyła się melodia wygrywana na fortepianie. Pianista improwizował wokół tematów Jerome'a Kerna. Al rozpoznał „Wszystko, czym jesteś” i nagle doznał przykrego uczucia, że lata ciążą mu na

ramionach niczym przemoczony płaszcz. Kiedyś żona zmusiła go do obejrzenia filmu, w którym Fred Astaire śpiewał to z Ginger Rogers. Co to był za film? „Jazz Time”? Nie... Zastanawiał się właśnie nad tym, gdy dziewczyna przy stoliku obok upuściła filiżankę.

Nic właściwie się nie stało. Kilka cali od spodeczka szybko rosła na obrusie brązowa plama. Ale hałas był wystarczający, by Al drgnął i zaczął wzrokiem szukać źródła. Dopiero teraz ją zauważył.

Była wspaniała.

Miała nie więcej niż dwadzieścia pięć lub dwadzieścia sześć lat, ubrana była w prosty ciemnoniebieski kostium i białą bluzkę, niczym francuska pensjonarka. Ale jej piersi odznaczające się pod płóciennym materiałem nie miały w sobie nic dziewczęcego, podobnie jak kolana, które wypatrzył pod stołem.

Była purpurowa na twarzy. Częściowo był to efekt dziwnego ceglastoczerwonego makijażu, do którego przyzwyczajał się powoli po tych paru dniach w Nowym Jorku. Ciemny róż na jej policzkach uwydatniał rysy i nadawał oczom niezwykle blask. Czoło również zaróżowione pod linią ściągniętych do tyłu włosów. Te szczegóły zabrały mu kilka chwil, dopiero po obejrzeniu zapierającej dech całości zauważył jej twarz.

Była przerażona.

Otworzył usta. Nie wiedział, co powiedzieć. W końcu wydusił:

– Czy wszystko w porządku, proszę pani?

Patrzyła niewidzącym wzrokiem w przestrzeń ponad jego ramieniem. Podążył za jej spojrzeniem, ale nie zobaczył nic niepokojącego. Krótka kolejka trzech czy czterech osób wyczekiwała przed barem. Znowu zerknął na nią. Tym razem jej oczy były skierowane prosto na niego.

– Czy pan tu mieszka? – Głos miała miękki, o świetnej dykcji, nieco drżący ze strachu.

– Tu? Ma pani na myśli w Plaża? Tak. Oczywiście.

– W którym pokoju?

– W... – Już sięgał nerwowo po klucz, ale udało mu się olbrzymim wysiłkiem woli skoncentrować na numerze wypisanym na jego drzwiach.

– Och, 1117!

– Proszę iść do góry. Będę za kilka minut. Al osłupiał. Serce zaczęło mu walić, aż poczuł niepokojące klucie w lewej skroni. Nie, to niemożliwe, chyba zwariował. Takie rzeczy to innym może i się zdarzają, ale jemu...

– Proszę! – Rzuciła uśmiech pełen kokieterii. – Nie pożałuje pan. Obiecuję.

W windzie niecierpliwie obserwował cyferki oznaczające piętra. Do jedenastki było nieznośnie daleko. Cały drżał i miał wilgotne ręce.

„Ale fart! Nie do wiary. Taka dziewczyna i za darmo?”

Dokonał błyskawicznej inspekcji pokoju. Nie wypadła najkorzystniej, był to w końcu jeden z

najtańszych. Szybko umył zęby, klepał piekący płyn do golenia marki Brut.

Następnie krytycznie spojrział w lustro na swoją zmiętą, czterdziestoletnią twarz i powtórzył sobie, że nie jest mimo wszystko źle. Tylko wziąć się w garść. Nie była na pewno dziewczyną odstawiającą szybki numer. Czego dziewczyna z takim wyglądem mogła chcieć od...

Ciszę przerwał telefon. Zastygł. Sześć sygnałów i umilkł. Może to ona dzwoniła, żeby go wyśmiać albo detektyw hotelowy. Dotąd widywał facetów wężących po hotelach z wypchaną kaburą tylko w kiepskich filmach. Pewnie ktoś podsłuchiwał rozmowę. W Nowym Jorku zakazano ustawą Sullivana noszenia broni, może podrywanie jest tu nielegalne...

Znowu cisza. Alowi dla odmiany zaczęło szumieć w uszach. Ledwo usłyszał ciche pukanie do drzwi.

Przytłumione światło korytarza pogłębiło rumieniec na jej twarzy. Wyglądała jak w gorączce, jeszcze gorzej niż na dole. Minęła go bez słowa. Obserwowała, jak zamyka drzwi. Dopiero teraz odetchnęła z ulgą.

Al chrząknął.

– Hej, wyglądasz cudownie... – Bicie serca niemal zagłuszyło słowa. – Może się czegoś napijesz? Zadzwońię do recepcji...

– Nie!

Usiadła na łóżku, przygarbiła się, oparła łokcie na kolanach i schowała twarz w dłoniach. Po chwili spojrzała na niego. Była już prawie spokojna w przeciwieństwie do

Ala.

– Nie przejmuj się mną. Jak się nazywasz?

– Andrade. Nie... Al. Słuchaj, to żaden problem, tylko wykręcę numer i wszystko przyniosą.

– Al... Muszę tu posiedzieć godzinkę albo dwie. Mogę zostać?

– Oczywiście, nie ma sprawy. Jak długo zechcesz – wymusnęło mu się. Rzeczywistość przywołała go jednak do porządku. Pożałował, że w ogóle otwierał usta, ale stało się. – Tylko... wiesz, jestem tu na konferencji. Muszę zdążyć na wieczorną sesję.

Bezwiednie spojrzała na zegarek. Wstała i zrzuciła ze stóp pantofle.

– Nie oczekuję niczego za darmo. – Odwróciła się. – Pomóż mi rozpiąć guziki.

Ręce mu drżały kompromitująco, gdy zmagał się z małymi, obciążonymi materiałem guzikami. Udało mu się w końcu rozpiąć bluzkę na tyle, by ujrzeć jej gładkie plecy. Tu też miała zaczerwienioną skórę, zauważył, przyglądając się idealnie zarysowanym łopatkom.

Spódnica opadła powoli na ziemię. Dziewczyna wsadziła palce pod gumkę rajstop i zsunęła je razem z brązowymi koronkowymi majtkami, które opinały jej zgrabną pupę.

Wciąż tyłem do niego, wpełzła na szerokie łóżko. Jej piersi kołysały się przy każdym ruchu, jasne pośladki drgały w przyćmionym świetle. Ciężko przewróciła się na plecy, zgiętym przedramieniem przysłoniła oczy. Czekala,

leżąc tak z kolanem podpartym o udo drugiej nogi. Cicho westchnęła.

Palce Ala odmówiły posłuszeństwa. Udało mu się co prawda rozluźnić krawat, ale guziki koszuli przedstawiały zbyt wielką trudność dla jego rozdygotanych dłoni. Szło mu jeszcze gorzej niż z jej bluzką. W końcu zrezygnował i zaczął majstrować przy klamrze paska od spodni. Całą operację utrudniało pokaźne wybrzuszenie, hamujące zamek błyskawiczny. Po dłuższej chwili ściągnął spodnie i majtki do kostek. Długo jeszcze plątał się w krępującej nogi stercie ubrań.

Dziewczyna na łóżku jęknęła.

Teraz zrozumiał skąd ten rumieniec, wilgoć w oczach. Nimfomanka! Nie mogła się doczekać. Potrzebowała tego jak narkotyku. Obojętnie z kim. Każdy był dobry. Był teraz bardziej pociągający i to uczucie podnieciło go jeszcze bardziej.

W błękitnych skarpetkach i białej, wytłaczanej we wzorki koszuli wlaźł na łóżko, niezgrabnie przepętlął na czworakach i rzucił się na nią.

Nie broniła się. Jej ciało było bezwładne, ale zaczęło lekko drżeć, gdy przesunął po nim rękami.

Piersi. Wspaniałe. Młode i pełne. Nabrzmiałe sutki. Ciało miała szczupłe, ale pełne w biodrach. Kolanem rozsunał jej uda, poczuł gorąco i wilgoć. Uniósł jej nogi jak najwyżej i ostrożnie wszedł w nią. Nie mógł wciąż tego pojąć, jak to możliwe.

Dwa ruchy i było po wszystkim. Ogarnęła go fala

rozkoszy tak silnej, jak nigdy podczas orgazmu. Spojrzał w dół na piękną, zaczerwienioną twarz, zaledwie o kilka cali od jego.

Otworzyła oczy. Zobaczył, że nie były wcale czarne, jak przedtem sądził, ale ciemnobłękitne, prawie fioletowe. Przyglądały mu się. Nagle dziewczyna krzyknęła.

Instynktownie stłumił ręką jej krzyk. Słysząc było tylko, jak próbuje złapać oddech. Tak jakby się dławiła.

Mimo, iż jego umysł był wytracony z równowagi, zrozumiał, że dzieje się coś złego. Dziewczyna wyglądała, jakby miała zwymiotować. Może jeszcze gorzej.

Kątem oka złowił jakiś ruch. Opuszczone rolety pozwalały wnikać do wnętrza tylko pojedynczym smugom światła. Pokój był pogrążony w półmroku. Skąd więc mógł padać na sufit ten dziwny cień?

Jego cień...

„Zaciska usta, chyba przygotowując się na torsje” – przebiegło mu przez myśl. Uważnie ją obserwował, nie był jeszcze zdolny do żadnego ruchu. Ku jego przerażeniu twarz dziewczyny zaczęła... świecić. Jak papier w lampionie wystawionym na oknach w Dzień Zaduszek.

Jego nozdrza uловиły dziwną woń. Przypominała nieco smród, który pamiętał z dzieciństwa, kiedy to wrzucił do ogniska zeszywniałe zwłoki zdechłego kota. Było to na podwórku ich starego domu.

Zdjął rękę z ust dziewczyny. Wargi rozwarły się miękko.

Obłoczek pary z sykiem wypłynął z różowego

wnętrza. Wyglądał jak nitka dymu ze świeżo zgaszonego papierosa.

Równocześnie poczuł, że biodra, do których mocno przyłgnął, zaczynają się rozgrzewać aż do bólu. Żar zaczął parzyć jego kurczący się penis, tak jakby stał kilka stóp od otwartego pieca.

Dziewczyna zakasłała – ostatnie, cuchnące tchnienie, które zamieniło się pod koniec w syk.

I spomiędzy jej zębów trysnął długi jęzor ognia, prosto w jego zdumioną, przerażoną twarz.

Rozdział 2

Całe miejsce śmierdziało.

Jeszcze trzy godziny wcześniej było tu jedno z małych wydawnictw. Dwa piętra magazynów pełnych książek i dwa zajmowane przez biura. Budynek i tak był już stary. Trzymał się dzięki sąsiedztwu dwóch nowych. Sterty papieru, chemikaliów i kurzu płonęły niczym siano.

Richard Grierson zaparkował za rogiem, zaraz koło barykady ustawionej przez policję i ruszył wzdłuż Dock Road. Ominął starannie plątaninę gumowych węży, z których gdzieniegdzie przez przetartą izolację tryskały ostre strumyczki wody. Księżyc już się zniżył, do świtu brakowało jeszcze dwóch godzin.

Tamiza leniwie płynęła między rzędami przybrzeżnych magazynów londyńskiego South Bank. Była cicha i niewidoczna, jej obecności można było się tylko domyślać. Jeszcze jeden duch starego Londynu.

Idąc dalej Dock Road, Grierson kierował się na pulsujące trupioblękitne światło policyjnego rovera i grupę ludzi gorączkowo uwijających się wokół otwartych drzwi ambulansu. Oznaczało to, że prawo i porządek już wkroczyły, by okiełznać chaos żywiołu. Wysoki, szczupły i łysiejący mężczyzna zdawał się być w centrum uwagi. Owinięty kocem i z kubkiem herbaty w ręku żywo coś objaśniał trzem mundurowym policjantom, którzy go otaczali. Jeden notował.

Grierson ominął ich. Jeszcze będzie dość czasu na rozmowy. Najpierw musiał zapoznać się z przeciwnikiem, przedstawić osobiście najnowszemu wcieleniu swojego odwiecznego wroga.

Dzięki bliskości rzeki nie było problemu z gaszeniem. Woda, czarna od popiołu, spływała przez szerokie wejście towarowe na parterze, strzeżone teraz jedynie przez resztki drewnianych drzwi, wiszące na powykręcanych od żaru zawiasach.

Z rękami w kieszeniach płaszcz przeciwdeszczowego, głową dobrze owiniętą szalikiem, Grierson wszedł w otoczenie znane mu tak dobrze jak własna sypialnia, którą opuścił zaledwie godzinę wcześniej.

Z wielką wprawą zacisnął nos przed wyziewami wypalonego budynku. Oddychał płytko przez usta. Wiedział, że resztki dymu, sadzy i smród spalenizny będą mu towarzyszyły przez resztę dnia.

Ten sposób oddychania był niezbędną umiejętnością dla agenta ubezpieczeniowego do spraw pożarów, tak samo jak para czarnych butów typu Wellington, które nigdy nie dawały się doczyścić. Na grubych podszwach uzbierała się warstwa błota i popiołu z wielu miejsc podobnych do tego.

Rozwinął także w sobie zdolność do natychmiastowego wyrwania się z najmocniejszego snu, pogłębionego jeszcze przez valium. Wstawał, ubierał się grubo w zimną londyńską noc, gotował kubek cierpkiej

herbaty, wsiadał do starego daimlera i jechał do oddalonego miejsca.

Obudził się na dobrą sprawę dopiero po przekroczeniu barier ustawionych przez policję, pośród tłustych robaków węży pożarniczych.

Potrafił działać równie sprawnie, gdy chodziło o jego ulicę i znajome punkty – sklep z owocami Morelliego na rogu, wiata przystanku z graffiti aż po dach i wreszcie dom obrócony w czarny zepsuty ząb w równym uśmiechu Macmillan Crescent. Jego dom...

Grierson kopnął z furją szerniałą stertę śmieci. Zniknęła niemal. Wokół nogawki roztańczyła się mała burza skrawków białego papieru. Strony książki były wypalone. Tekst obrzeżała niemal równa czarna obwódka, pojedyncze strony były podobne do zaproszeń na pogrzeb.

Podniósł ręką w rękawiczce jedną z kartek i trzymał ją pod odpowiednim kątem, by móc przeczytać ją w świetle wpadającym przez okno.

„...nastąpił straszliwy widok. Ciało białego mężczyzny rozciągnięte było na ziemi i rozplątane. Płomyki ognia tańczyły wokół i osmalały jego martwe członki. Indianom nie starczyło czasu, by dopełnić obrządku. Mieli według obyczaju napełnić wnętrze ofiary płonącymi węglkami i obserwować jej konanie. Kobiety ogarnęło przerażenie i strach...”

Grierson zgniótł papier i upuścił z powrotem na stertę. Ten okropny cytat nosił w sobie osobliwą ironię. Nie zaskoczył ani nie rozbawił go zbieg okoliczności, że

fragment ten przeczytał akurat w tak odpowiednim miejscu, budzącym nie mniejszą grozę. Tak naprawdę to od paru lat nic go już nie zaskakiwało i nie bawiło.

Zauważył piętro wyżej człowieka z londyńskiej brygady straży pożarnej, pochylającego się z latarką nad dziwnym kształtem. Na pierwszym piętrze panowała ciemność, więc Grierson nie mógł rozpoznać znaleziska.

– Tu nie można wchodzić, proszę pana.

Grierson podniósł twarz do światła.

– O, to pan, panie Grierson. To pana rewir? Nie wiedziałem, że Ipswich and Midland ubezpieczają takie miejsca.

Grierson wyjrzał przez ślepe okno i przyjrzał się grupie policjantów otaczających łysiejącego mężczyznę.

– Czy to właściciel?

– Ten wysoki? Tak.

– Coś interesującego na górze?

– Proszę tu nie wchodzić, zanim nie porozumiem się z nadinspektorem!

Grierson ruszył mimo ostrzeżenia po schodach.

– Ilu?

– Chyba dwoje. Ale trudno coś więcej powiedzieć.

Ze stopni zostało mało co, ale betonowe i metalowe podpory były mocne. Trzymając się blisko ściany, Grierson wspinał się na pierwsze piętro. W kilka sekund strażak znalazł się przy nim.

– Tutaj – wskazał z rezygnacją, prowadząc go w odległy kąt zrujnowanego budynku.

Dwa nieduże, długie na trzy stopy garbki leżały wprost na podłodze. Tylko ekspert mógłby od razu rozpoznać w nich zwłoki.

Wszelkie cechy ludzkie zostały zniszczone przez płomienie. Kończyny były groteskowo rozrzucone. Dłonie, stopy i inne wystające części wypalone bez śladu. Podobnie włosy i twarze. Nie można było określić płci, wieku, koloru skóry.

Twarz Griersona ani na chwilę nie zmieniła wyrazu. Umysł notował inne charakterystyczne ślady kremacji człowieka.

Obserwator nie znający się na rzeczy uznałby długie pęknięcia wzdłuż ciał za dzieło szalonego Kuby Rozpruwacza. W rzeczywistości – był to efekt wysmażenia się tkanek tłuszczowych. Tłuszcz płonął, a wytworzone ciepło rozplątało skwierczącą skórę.

Brzuchy również były otwarte. Podgrzane gazy, uwięzione we wnętrzościach rozszerzały się i eksplodowały z gorąca. Także czaszki nosiły ślady pęknięć widoczne poprzez zwęglone płaty skóry. Wysoka temperatura doprowadzała do wrzenia płyn mózgowy i para rozsadzała szwy czaszki niczym spawy starego czajnika.

Uszkodzenia kości można było zauważyć i w szerniałych kończynach. Część z nich powstała, gdy skruszałe od ognia tkanki zaczęły gwałtownie stygnąć i kurczyć się podczas gaszenia pożaru.

Grierson pochylił się nad nim, zdjął jedną rękawiczkę

i używając końca ołówka, manipulował przy jednym z ciał. Zahaczył o coś, powoli wyciągnął poplątany, częściowo stopiony, cienki kawałek metalu i spojrzał na strażaka.

– Tak. Leżeli na materacu.

Sięgnął do kieszeni i wyjął pokierszowany, owalny kształt z resztkami łańcuszka. Medalion.

– Znalazłem to parę metrów stąd. Właściciel twierdzi, że to należało do jednego z pracowników, młodego magazyniera. Wygląda na to, że uwił tu sobie gniazdko na nocne randki. Oczywiście, aż do autopsji nie możemy określić, które było kim...

Grierson słuchał z roztargnieniem. Przecież ten chłopak nie mógł go nauczyć niczego nowego o spalonych ciałach.

Prostata i macica były zwykle ze względu na swe głębokie umiejscowienie najlepiej zachowanymi organami. Nawet jeśli nie, to kości są dobrymi wskaźnikami – płeć rozróżnić łatwo po grdyce i stawach kolanowych. Nawet po tym, w jaki sposób mięśnie łączą się ze ścięgnami... Grierson rozglądał się dookoła. „Prochem byłeś i w proch się obrócisz.”

– Chyba, że to dwaj mężczyźni, oczywiście.

Strażak wzdrygnął się i zamilkł. Grierson popatrzył mu ostro w twarz.

– A jaka jest wersja oficjalna?

– Najbardziej prawdopodobna, według mnie, to źle zgaszony papieros. Któreś z nich musiało upuścić go na

materac przed... zaśnięciem.

Grierson uśmiechnął się z lekką pogardą.

– No, no. Wszędzie mówi się, że palenie jest niezdrowe. Tak byłoby i z nimi. Pana domysły są do niczego.

Zrobił kilka kroków, wytarł ołówek w rękawiczkę i włożył z powrotem do wewnętrznej kieszeni.

– Do niczego, synu. Zupełnie do dupy, prawdę mówiąc.

Wskazał na szerniałe belki u ich stóp.

– Jeśli najpierw zapalił się materac, to byłyby ślady zwęglenia na podłodze. Prawda, synu?

Młody człowiek prawie się skręcał na to „synu”. Spojrzał jednak, gdzie mu kazano.

– No tak. Ale kiedy stolarka jest w tak kiepskim stanie, to nie sposób dokładnie określić, gdzie...

Grierson przerwał ostro.

– Czy was już w ogóle niczego teraz nie uczą w tych szkołach? Czy nie możesz zinterpretować tak oczywistych śladów jak te?

Pomachał ku osmalonym ścianom.

– Nie tylko podłoga się liczy. Popatrz na te ślady tutaj. Nic nie wskazuje, że pożar zaczął się na tym piętrze.

– Więc gdzie, panie Grierson? – W głosie strażaka była tylko uprzejmość. Ostatnim wysiłkiem zdołał osiągnąć nieco spokojniejszy ton.

– Na parterze, oczywiście. Nie zauważyłeś tych plam po kałużach łatwopalnego płynu? Tak zawsze się dzieje,

nawet gdy podłoga jest nowa. Najprawdopodobniej benzyna. I jak można ominąć przecinkowate kształty na dwóch dolnych ścianach, o – tam? Czyli pożar rozniecono na parterze i ogień sam rozniósł się wyżej. Do diabła! Podpalacz praktycznie podpisał się pod swoim dziełem.

Podszedł do okna i wyjrzał na Dock Street. Właściciel wciąż popijał herbatę koło ambulansu. Nawet biorąc pod uwagę, że padające zza innych magazynów światło miało trupi, szaroniebieski odcień, skóra mężczyzny wręcz świeciła śmiertelną bladością.

Widział go prawie, jak wkrada się tu koło północy, zostawia samochód parę przecnic wcześniej. Idzie cały czas w cieniu, unika świateł samochodów i latarni. Przez pół godziny stał pewnie po przeciwnej stronie i zbierał się na odwagę. Pomyślał o rachunkach bez pokrycia, o czerwonych znakach w księgach, ostatecznych terminach płatności i groźbach wierzycieli. To musiało przeważać. No i grube odszkodowanie, nowe perspektywy.

Znosił benzynę po trochu, niepostrzeżenie, termos jest tu najwygodniejszy. Albo nie – za jednym razem, śmiało, w kanistrze. Dojdą do tego w swoim czasie. A jak podpalił?

Wykształcony, jakby nie było człowiek, który z pewnością widział niejednego dreszczowca, mógł wymyślić coś ciekawszego niż rzucona zapalka. Może znajdą resztki jakiegoś sprytnego mechanizmu, plątaninę stopionych drutów i spalonego plastyku. Rekonstrukcja byłaby dla Griersona drobną przyjemnością. Mógł na przykład

dokonać zapłonu za pomocą telefonu. Wtedy nie trzeba w ogóle się zbliżyć, a to zawsze ryzyko. Albo jeszcze inaczej – mechanizm zegarowy. Wystarczy wewnątrz taniego budzika od Woolwortha. Pozostaje wtedy tylko się modlić, żeby ogień strawił ślady doszczętnie.

Ale tak nigdy się nie dzieje. Coś zawsze zostaje – resztki, opary, znaki, skrawki i opiłki, zarejestrowane dźwięki, kolor dymu, natężenie ciepła. Linie papilarne ognia. Jego natura.

Niektóre rodzaje ognia były przyjaciółmi Griersona. Ale ten był wstrętny. Brzydził się nim.

„Nie pomyślałeś tego sobie, chłopie, prawda?” – mówił do siebie. Po części do siebie, po części do właściciela, który był zbyt daleko, by go posłyszeć.

– Ma ktoś może coś do zjedzenia, chłopcy?

– Raczej nikt nie przewiduje w takich przypadkach apetytu, proszę pana.

Uśmiechnął się kwaśno. Nawet troszkę go to rozśmieszyło. Odwrócił się do inspektora ze straży.

– Może są jakieś szanse na trochę herbaty i jakąś kanapkę? Umieram z głodu.

Rozdział 3

Pod gmachem Insillu, siedzibą spółki Ipswich and Midland akurat kręcono jakąś reklamę telewizyjną. Grierson niedbale zaparkował swój zdezelowany samochód przy bramie wjazdowej do podziemnego garażu. Stał, założył ręce do tyłu i oglądał, jak ekipa ustawia światło. Poplamione zaciekami, wielkie zielone litery dawno tak nie lśniły. Nawet fontanna koło wejścia ożyła. Woda zmyła większość brudu i papierków po lodach, których gruba warstwa narastała przez niemal dekadę.

– Nie do poznania, prawda? – próbował go zagadać stróż z parkingu. Na chwilę wyszedł z betonowego tunelu i wystawił twarz ku słabym promieniom słońca. Grierson spojrział na niego. Mężczyzna wyraźnie chciał porozmawiać, widywali się przecież codziennie.

„Po Mary nikt. Nikt nigdy więcej”. Poprzysiągł to sobie i postanowił wytrwać. Żadnych przyjaźni, bliższych znajomości, nikt kogo mógłby stracić i znowu cierpieć.

– Bez poufałości. Lepiej podnieś barierkę, dobra?

Nawet nie próbował, by zabrzmiało to nieco grzeczniej. Wszyscy znali już ten szorstki ton.

Uśmiech znikł z twarzy sympatycznego strażnika. Podniósł belkę, Grierson przejechał. Gdy go mijał, wydało mu się, że tamten rzucił jakieś niecenzuralne słówko. Jeszcze jeden dowód, że musi pilnować swojej szczelnej

maski.

Ktoś zaparkował na jego miejscu numer 93 mimo napisu „Zarezerwowane dla p. Griersona”. Wjechał więc dwa miejsca dalej i stanął na białych literach, mówiących, że jest to rewir p. DeVriesa. Z bagażnika wyjął tobołek z brudnego płótna i nacisnął guzik windy.

Wysiadając na dwudziestym dziewiątym piętrze, rozejrzał się z niesmakiem po nowym wystroju pokoju przyjęć spółki.

Odkąd około osiem miesięcy temu Ipswich and Midland została przejęta przez konsorcjum Insill, w starej spółce sporo się zmieniło. Błyszczący nowy hall, jarzeniówki, abstrakcje Morrisa Louysa, kontuar, który cudacznie zwężał się z jednego boku niczym dziób statku obładowanego stertą prospektów i reklam. Najważniejsze, że nie musiał tu bywać zbyt często. Skwapliwie unikał takich wizyt.

Jeśli chodzi o personel, a zwłaszcza część nowej amerykańskiej administracji przysłanej przez zarząd Insillu, to serdecznie ich nie cierpiał. Na przykład DeVries. Grierson poczuł kamień w żołądku na samą myśl o czekającej go rozmowie ze swoim genialnym zwierzchnikiem.

Oстрыm spojrzeniem zgasił uśmiech na twarzy małej brunetki za biurkiem. Od razu było mu raźniej. Ruszył korytarzem do swojego pokoju.

– Panie Grierson?

Odruchowo odwrócił się.

– Pan DeVries chciałby z panem mówić. Jak najszybciej.

Grierson mruknął.

– Wejdzie pan od razu? Mogę sprawdzić, czy jest wolny...

A jednak nie było mu pisane wykręcić się od tego. Jeśli pedantyczny DeVries zostawił wiadomość, by szukali go nawet tutaj, to pewnie tuzin podobnych zastałby u swojej sekretarki. Nie mówiąc o kartce nad pisuarem w męskiej toalecie dla zarządu.

Obrócił się na pięcie i ruszył hallem do biura zarządu Insillu. Otwarto je jeszcze zanim wysechł atrament na dokumentach o połączeniu spółek. I nim ktokolwiek z siedmiuset trzydziestu sześciu pracowników zorientował się, że są praktycznie na bruku.

Było to jeszcze jedno rozczarowanie dla Griersona. Stracił wielu starych przyjaciół. Jego niechęć czasem aż kipiała i prawie nienawidził nowych pracowników.

Stał przed sekretarką strzegącą wejścia do biura DeVriesa. Opuścił swoją brzydką torbę na ziemię i ze złośliwą pokorą czekał, aż go zauważy.

Sheila Westberg widziała go od dłuższej chwili, ale udawała, że wpatruje się w ekran komputera. Zanim wszedł, śledziła wydruk zależności między natężeniem liczby wypadków drogowych, a fazami księżyca. Trudno było kwestionować sens tego, gdyż obliczenia jasno wykazywały związek między tymi zjawiskami. Ilość katastrof w czasie pełni bardzo wzrastała, ludzie byli

wtedy bardziej podatni na wszelkiego rodzaju zaburzenia psychofizyczne. Albo mieli większe ciągoty do alkoholu.

Takie modele cykliczne można było zaobserwować i w związku z innymi rodzajami wypadków. Najwięcej zawałów serca, na przykład, miało miejsce w poniedziałek, kiedy napięcie między pracą a domem – wypoczynkiem a wysiłkiem – jest największe. Wypadki w domu, wypadki przemysłowe, w sporcie, katastrofy lotnicze miały swoje wykresy.

Ale jedna kategoria z reguły wykazywała stałe tendencje. Były to pożary domów. Oczywiście, pewien wpływ miały tu pory roku. Apogeum wypadało na środek zimy, gdy ryzyko zwiększały grzejniki olejowe. Ogólnie jednak, niezależnie czy jest lato, zima, jesień czy wiosna – codziennie w Anglii ogień pochłaniał ofiary z taką samą energią.

Przyczyn nie trzeba było daleko szukać. Gęstość zabudowań w większości miast i miasteczek powodowała, że ludzie ginęli uwięzieni na wyższych piętrach budynków. Wielu lekceważyło i będzie lekceważyć przepisy p. poż. i zasady walki z ogniem. No i te łatwopalne syntetyki, które wypełniają każdy dom. Polistyren i poliuretan płonąc wydzielają trujące gazy, które podsycają płomienie jeszcze bardziej.

Dodać tu można setki takich zapalników, jak wadliwe instalacje elektryczne, wypadki w kuchni, niedopałki, wybuchy gazu, używanie otwartego ognia, podpalacze. Ci ostatni – to prawdziwa plaga, coś w rodzaju narodowej

epidemii.

Sheila podniosła wzrok. Była już gotowa, aby spojrzeć w jego zimne, szare oczy, osadzone głęboko w zgorzkniałej twarzy, którą kiedyś widziała radosną i kochającą.

– Cześć, Richard!

– Cześć.

– Gdzie się podziewałeś? Nie widzimy się zbyt często...

Zignorował to.

– Giles pytał o ciebie wczoraj wieczorem – Ile on ma już lat? Dziesięć?

– Nie. Prawie jedenaście.

„Jedenaście. Peter miałby jedenaście w tym miesiącu. Ósmego. Chodził razem z Gilesem do klasy...” Sheila zobaczyła, że jego spojrzenie twardnieje. Rozpaczliwie chciała zapobiec katastrofie.

– Wpadnij kiedyś na kolację. Dzieciak uwielbia cię.

Ale usłyszała w zamian:

– Może kiedyś. Przypomnij mi. – Podniósł swój tłumok. Wskazał na drzwi za jej plecami. – Chyba będę musiał tam wejść...

Sheila z rezygnacją przycisnęła guzik na biurku.

– Oczekuje cię.

Zawsze, kiedy wchodził do biura Jamesa DeVriesa, wydawało mu się, że znalazł się w salonie dekoratora. Ściany pokryte boazerią, beżowy dywan – nic nie nosiło śladu czyjejś osobowości. Podobnie było z ogromnym

Ficusem i Floribundą Bresciae, które zasłaniały widok na centrum Londynu.

Widoczki Londynu, pędzla Topolskiego, były wybrane nie dla zaspokojenia czyichś gustów, ale by wypełnić przestrzeń. Miały po prostu pasować do kolorystyki dywanu, zasłon i – tu Grierson pozwalał myślom na nutkę ironii – do garnituru DeVriesa marki Savile Row, koszulki Turnbull and Asser i butów od Lobba. No i do obudowy komputera Hewlett Packard 2700.

Komputer był jedynym elementem świadczącym, że to biuro. Dziwacznie wyglądała tu czarna żelazna figura, wspomnienie DeVriesa o pochodzeniu z południowej Afryki. Jego matka była Afrykanką, a ojciec – Amerykaninem. Rzeźba stała ukryta za roślinami, jej oczy wpatrywały się w katedrę St. Paul i panoramę Londynu.

Jeśli Grierson nie miał dotąd powodu, by nie lubić DeVriesa, to ta figura od początku działała na niego odpychająco. Zresztą wyznaczony przez Amerykanów naczelny dyrektor w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy zdawał się robić wszystko, by zostać wrogiem swoich podwładnych.

– Richard!

DeVries nie siedział jak zwykle za biurkiem, ale rozpiął się w samej koszuli na jednym z wielkich, głębokich foteli, tworzących pozory przytulnego kącika tego supernowoczesnego biura. Dyrektor pomachał do niego, wskazał fotel i wyciągnął rękę. Grierson uściśnął

ją, usiadł i zaczął oglądać paznokcie.

– Właśnie wróciłem z tego pożaru na South Bank. – Powąchał palce. – Wciąż jeszcze śmierdzą.

– Jeden z naszych budynków? Jakieś ofiary?

– Nie będziemy musieli płacić. Podpalenie i morderstwo.

Otworzył płócienną torbę i wyjął jakieś resztki poskręcane przez ogień, które położył delikatnie na stoliku do kawy koło tabliczki „Dziękuję za niepalenie”.

DeVries przyglądał się pytająco. Grierson porządkował szerniałe elementy.

– To – wskazał na jakieś druciki błyskające warstewką stopionego szkła, zespawane przez gorąco z żółtą metalową nakrętką – pozostałości zapalnika. Po prostu żarówka, przedziurawiona i wypełniona benzyną. Podłączył ją do zegara, druciki nagrzały się i...

DeVries słuchał z zainteresowaniem. Podniósł w dwóch palcach resztki medalionu.

– A do czego to, do diabła, mogło służyć?

– Do niczego. Ten dzieciak, który spłonął, go nosił. Właśnie rznął dziewczynę. Hm, sądzę, że dziewczynę. To wykaże autopsja. Wiesz, co dzieje się z ciałem...

Ciekawe spojrzenie DeVriesa przygasło. Na twarzy odmalował się wstręt. Patrzył na dłoń, tak jakby dotykał czegoś obrzydliwego.

– Na Boga, Richard!

Grierson uśmiechnął się.

– Cóż, zwłoki jak zwłoki. Nic szczególnego.

DeVries niemal od razu pobiegł, potracając sprzęty do prywatnej łazienki przylegającej do biura. Woda szumiała przez dłuższą chwilę.

Grierson nerwowo spacerował po pokoju. Zerknął na wydruk komputera, nad którym zastał DeVriesa. Były to obliczenia strat wynikłych z pożarów w USA. Dominowały wielkie liczby. W rubryce „Szacowane Straty” często zdarzało się określenie: „Powyżej 10 min”.

DeVries wrócił. Miał przekrwione oczy, czerwony nos i usta. Na twarzy pozostał wyraz wstrętu. Prawą rękę miał jeszcze mokrą i mydło za paznokciami.

Grierson powiedział bez związku:

– Słyszałem, że w Los Angeles nie mają w biurach krzeseł, tylko wanny.

– Hm... W kilku. Charlie Porterfield ma takie coś. Odbywałem tam spotkania. Powinieneś spróbować.

Myśl o konwersacji z gołym DeVriesem w sadzawce pełnej letniej wody była dla niego nie do zniesienia po nocnych widokach.

– Musiałbym przedtem schudnąć.

DeVries prezentował najbardziej pokaźny brzuch w spółce. Grierson z błyskiem satysfakcji obserwował, jak tamten usiłuje go wciągnąć.

Dyrektor odwrócił wydruk i podsunął mu.

– Byłeś kiedyś w Stanach, Richard?

– W Nowym Jorku.

– Fajne miejsce, co?

– Bo ja wiem. Miałem godzinę czasu przy przesiadce

na Kennedy, gdy leciałem na Bermudy. Chodziło o tych Kubańczyków, którzy wysadzili brytyjski 747. Pamiętam, że herbata w bufecie była okropna.

– Ludzie z zarządu Insillu automatycznie są członkami Pan Am Clipper Club. Czyli mają specjalne pomieszczenia na każdym większym lotnisku. Darmowe napoje. Obsługę teleksową. Ekstra jedzenie.

– Jeśli nie mają takiego, jak w Nalton-on-the Naze, to dzięki, nie skorzystam.

Twarz DeVriesa zdradzała, że zaplanował dla rozmówcy coś niemiłego. Przyglądając się szefowi, Grierson musiał jeszcze raz przyznać rację tym, którzy dopatrywali się w nim podobieństwa do Richarda Nixona.

– Potrzebują najlepszego agenta. Nie mogą poradzić sobie z kilkoma pożarami. Na górze mają kłopoty. Myślałem o tobie, Richard.

– Zapomnij o tym. Zresztą w Insillu zawsze szcycili się, że ich specjaliści są najlepsi na świecie. Ktoś podsuwał mi artykuł o facecie – jak on się nazywał? Chyba Lattimer, prawda? – Zrobili z niego mieszankę Sherlocka Holmesa i Jamesa Bonda.

– Lattimer męczy się z tym od dwóch miesięcy. Bez rezultatów.

– Czasem tak jest. Poczekajcie jeszcze.

– Nie możemy. Nie chodzi tu o jakieś magazyny. – Podsunął wydruk. – Hotele, centra handlowe, fabryki. Potrzebny jest ktoś nowy, by to pchnąć.

– To szukajcie.

– Szukaliśmy. Przeglądali kartoteki wszystkich z Insillu. Komputer wybrał ciebie.

– Bzdury.

– Bez żartów, Richard. – Głos DeVriesa spoważniał.

Kiedy był zły, do jego wykwintnej angielszczyzny przenikały ślady południowoafrykańskiego akcentu.

– Charlie Porterfield wyraźnie powiedział, że mamy cię dostarczyć choćby w kajdankach. Zresztą, o czym my dyskutujemy? Jesteś tu tylko pracownikiem, a ja przełożonym.

Grierson jednym ruchem wrzucił do torby swoje dowody z Dock Street. Wewnętrznie czuł narastającą furie.

– Miło się z tobą gawędziło, DeVries.

Ale właśnie tej nocy spłonęło Universal Studio w Hollywood. Poślaniec dostarczył mu bilet pierwszej klasy do Nowego Jorku ze zwolnieniem z pracy, do wyboru.

Grierson z satysfakcją zignorował luksusowe poczekalnie Clipper Club na lotnisku Heathrow. Usiadł w barze i czekał. Herbata, zauważył, była nie lepsza od tej w Stanach.

Rozdział 4

– „Podziemia USA”

– Nie widziałem – „Brudny Harry”

– Z Clintem Eastwoodem? – Jack Lattimer przytaknął. – Oczywiście. Znam to. Jak każdy, chyba.

Zaczął naśladować Eastwooda, gdy ten w scenie rabunku z pogardą wymachiwał bronią.

– „Ale przed magnum 44, największym pistoletem na świecie, który mógłby jednym strzałem czyściutko oderwać ci głowę, jedynym pytaniem które mógłbyś sobie zadać, byłoby...”

Lattimer i człowiek z reklamy Universal Studio razem dokończyli:

– Czy jest mi dobrze? No jak, ty śmieciu?”

– Wielki film. – Lattimer uśmiechnął się.

– Najlepszy. W całości nakręcony tutaj.

Przedstawiciel Universalu położył rękę na ramieniu kierowcy limuzyny i wielki lincoln zwolnił.

Ulica, którą jechali wyglądała jak amerykańskie miasteczko z westernu. Dwupiętrowe sklepy, posterunek policji, kino. Ostre słońce zdradzało jednak prawdę. Widać było, że to tylko sztuczka scenografa. Nie było to Gallipolis, czy Bluefield z West Virginia, ale atrapa każdego amerykańskiego miasteczka, stosownie do filmowych potrzeb.

Kiedy Lattimer odwrócił się od okna, napotkał wzrok

swojego przewodnika.

– Wiesz, wyglądasz jak...

Zacisnął zęby. Widział swoje odbicie w przyćmionej szybie.

W ciemnych okularach, czarnym garniturze i białej koszuli – typowy gliniarz. Ciągłe mu to mówili. Bezwiednie nauczył się zacinać usta w cienką linię, stać w niedbalej pozie z rozstawionymi nogami, z rękami na biodrach. Każdy, kto obejrzał choć jeden film kryminalny, od razu widział w nim kogoś, na czyje pytania należało odpowiadać jak najstaranniej i bez ociągania.

Aktorzy często stosowali te sztuczki. Przynajmniej raz albo dwa w miesiącu zaczepiano go w kolejkach lub na postojach taksówek – „Czy nie jest pan czasem...”.

Lattimer dokończył za niego.

– Robert Ryan?

– Tak. Oczywiście. Bob Ryan. Wielki aktor.

– Ale nie żyje.

– Tak jak większość najlepszych.

Za rogiem limuzyna zaczęła lekko podskakiwać, przejeżdżając przez sieć kabli. Światła były skierowane na samochód stojący kołami na chodniku. Lattimer rozpoznał mężczyznę popijającego kawę w cieniu markizy z napisem „Wołowina i podroby – U Jacka”. Sklep tworzyły tylko okna i czerwone draperie.

– Czy to Rock Hudson?

– Tak. Chcesz go poznać?

Sięgnął znowu do ramienia szofera, ale Lattimer go

powstrzymał.

– Lepiej jedźmy tam, gdzie trzeba. Dobrze?

Spojrzał na swój chronometr sanyo i nacisnął guzik. W kwarcowym okienku odczytał czas nowojorski.

– Muszę kogoś odebrać z lotniska jutro o drugiej po południu.

– Z Londynu? Nie przejmuj się. Dostarczymy cię tam na czas. Carlos tego dopilnuje.

Kiedy limuzyna skręcała w American Street, minęli otwartą platformę z pasiastymi siedzeniami. Grupka turystów rozglądała się z ciekawością, strzelały migawki. objaśniała ich młoda przewodniczka, której spódnica mini odsłaniała pięknie opalone nogi.

Lattimer zdążył usłyszeć:

„Panie i Panowie – nasza wycieczka do centrum Miasteczka Filmowego Universal dobiega końca, zapewne wiecie już dlaczego. Pożar zniszczył między innymi końcową część naszej trasy. Policja i eksperci ze straży pożarnej nikogo jeszcze nie dopuszczają. Ale za to zapraszamy państwa na Rodeo Show, który zaraz zacznie się na arenie «Dziki Zachód»„.

Lattimer zapytał:

– Czy to odbije się niekorzystnie na waszych interesach?

– Bo ja wiem, Jack? Jakby nie było, te wycieczki zawsze nieźle nabijały nam kiesę. Pozwalają utrzymać kilka studiów. Wpływy pokrywają wiele niezbędnych wydatków. Są miesiące, kiedy zarabiamy więcej na

wesołym miasteczku i oprowadzaniu turystów niż na filmach. Czyli jest to wielka strata.

Lattimer nie zdradził się, że wie coś o tym.

Końcowy etap – to raczej nieciekawa przejażdżka, parę chwil w „Świątyni Psyche” stylizowanej na starożytne mury i szybki powrót do sieci sklepików dla turystów. To stąd płynęły prawdziwe pieniądze. Przynajmniej tak było, gdy dwa lata temu zwiedzał Universal z żoną i synem. Ta wyprawa do Kalifornii miała być ostatnią próbą ratowania ich małej rodziny przed rozpadem. Ale jak większość pomysłów Sherry, był to niewypał. Wałęsali się po Disneylandzie, kłócili w apartamencie Chateau Marmont i gorzko żalowali wycieczki po Universalu, bo Jack Junior zwymiotował na podłogę podczas pokazu filmów w atrapie Boeinga 747.

Sherry wróciła z synem do Nowego Jorku i w dziesięć dni później wniosła o rozwód. Mieli się poza weekendami nie widywać. Poczucie winy znowu ogarnęło Jacka. Coraz częściej zaniedbywał się w rodzinnych obowiązkach. I teraz znowu straci jedno spotkanie z powodu tego zarozumiałego Anglika, którego wsadzili mu na kark.

Drogę zagrażała prowizoryczna bariera. Dwóch strażników odsunęło ją i limuzyna poniosła Lattimera w inny wiek.

Universal Western Street była najczęściej używaną częścią wytwórni. Oczywiście przed pożarem. Ulica wyglądała teraz jak po przejeździe dzikich Indian.

Część uległa całkowitemu zniszczeniu. Drewniane atrapy sklepów były szerniałe. Po ziemi wiły się nadtopione kable, leżały różne zapomniane rekwizyty. Wszystko nadpalone i mokre.

Wysiedli. Nawet tu, w krainie fantazji, długo trzymał się smród wilgotnego, zwęglonego drewna, chemikaliów używanych do gaszenia. I rozpaczy.

Był poruszony. Rozglądał się. Ciekawe, ile westernów kręconych na tym terenie oglądał? Setki. Epizody z „The Virginian” i „Alias Smith and Jones”. Może, nie pamiętał już, kilkanaście lat temu – „Wagon Train” i „Poszukiwany żywy lub martwy”. Były częścią jego życia. Kojarzyły mu się z Holiday Inn, gdzie wyczerpany po całodniowym śledztwie, ciężko opadał na fotel i gapił się w telewizor. Zbyt zmęczony, by przygotować sobie coś do picia. Albo weekend z synem, kiedy to zoo, kino i sklepy straciły już swój smak i pozostało tylko szare oko, nieprzerwanie dostarczające nowych wrażeń.

Jeśli cokolwiek zasługiwało na zniszczenie, to chyba to miejsce. Pomnik potęgi iluzji i jej zwycięstwa nad rzeczywistością... Otrząsnął się. Te wywody były nieco śmieszne w wykonaniu agenta ubezpieczeniowego. Miał zajmować się faktami, a nie deliberować nad problemami moralno–estetycznymi. Przypomniał sobie z ekranu Jacka Webba – „Wszystko, czego chcemy, to fakty, proszę pani”.

Ludzie ze straży pożarnej Los Angeles kręcili się

wśród zniszczeń i przy pomocy ręcznych gaśnic tłumili każdy płomyk i blask żaru. Gdy napotkali coś interesującego, pokrzykiwali i wywlekali to na drogę.

Lattimer przejrzał stertę „ciekawostek” i znalazł resztki kilkunastu butli gazowych, pękniętych niczym piłki.

– Jeden z budynków – objaśniał jego przewodnik, wskazując wypalone fronty – był przygotowany do scen z pożarem. Pod oknem stał rząd palników zasilanych gazem. Wyglądało to tak, jakby pokój wewnątrz płonął.

– Myślisz, że to mogłoby być przyczyną?

– Przecież wiesz, Jack, że ci nie odpowiem. Ty jesteś specjalistą.

Lattimer zaczynał nienawidzić tego szerokiego uśmiechu, który wykwitał mu na twarzy przy każdej okazji i tej opalenizny kalifornijskiego chłopczyka. Facet wiedział, jak wszyscy tu zresztą, że jeśli Insill wykaże im zaniedbanie lub podpalenie, to nici z odszkodowania. Zostaną sami ze stertą rachunków za remonty.

Lattimer odrzucił przebitą skorupę pojemnika.

– Porozglądam się chwilę. Poczekasz tu na mnie?

– Hm, dobrze... Ale moi szefowie mówili, że mam się cały czas tobą opiekować...

– Nie martw się. Jestem już duży, poradzę sobie.

Zostawił go zaniepokojonego u drzwi lśniącej w słońcu limuzyny i ruszył brudną drogą między rozchwianymi atrapami.

Ogień rozprzestrzeniał się w sposób dziwny dla

wyćwiczonego oka. Jakby kluczył. Jedna strona była zrujnowana, druga niemal nie tknięta przez płomienie. Tylko woda pod ciśnieniem obluzowała podpory, wybiła szyby i zniszczyła gipsowe ozdoby. Ściany z dykty były namoknięte i wypaczone.

Po śladach zwęglenia skonstatował, że pożar wybuchł gdzieś dalej i posuwał się wzdłuż drogi. Ale gdzie? Poza Western Street nie było w promieniu co najmniej stu jardów żadnych śladów. Przeszedł jeszcze kawałek. Znowu pogorzelnisko – grupa wiktoriańskich kamienic wzdłuż zacienionej alei. Dekoracja setek musicali Betty Gracie lub Alice Faye. Dwie były wypalone do ziemi, z pobliskiego drzewa pozostał tylko osmalony pień i kupa skręconych liści na zniszczonym chodniku.

Jack mrużył oczy przed słońcem. Zastanawiało go, jak ogień mógł dojść aż tutaj, nie zostawiając po drodze wypalanej powierzchni. Może iskry z wybuchu gazu? Jakaś gałąź niesiona podmuchem. Ale tamtej nocy nie było przecież silnego wiatru. Rozejrzał się. Prawie nie było widać Western Street. Musiał to być niezły wybuch, żeby płonące kawałki czegoś łatwopalnego doleciały aż tak daleko.

Jeśli ogień miałby być przeniesiony przez wiatr, to jego źródło powinno znajdować się w prostej linii, wyznaczonej przez dwa miejsca pożarów. Obliczył kąt i ruszył w odpowiednim kierunku przecinając kompleks pustych, nietkniętych budynków o niewiadomym przeznaczeniu i polacie wysuszonej przez słońce trawy.

Dawno nie prowadzono tu żadnych prac. Teren był zaśmiecony, sprzęty poszarzałe i zarośnięte, zbyt zaniedbany nawet jako cel nostalgicznych wycieczek. Drewno poszarzało od deszczu, tynki poodpadały. Gdzieś Lattimer znajdował resztki rzymskich pseudozabytków.

Odkurzył pierwszy wypalony ślad.

Była to tylko plama, nie większa od talerza. Widocznie trawa gwałtownie się zajęła, płonęła przez moment i przygasła.

Upuszczona zapalka albo niedopałek? Lattimer posuwał się niemal na czworakach wokół małej powierzchni. Nic nie znalazł. Wyprostował się i zaczął rozważać możliwość zapłonu przez zogniskowane na szkle promienie słoneczne. To brzmiało prawdopodobnie, nawet pogoda była odpowiednia – ostre słońce i sucha trawa.

Potem zobaczył jeszcze jedną plamę. I następną.

Było ich jedenaście w mniej więcej metrowych odstępach. Identyczne, ciemne, węgliste łaty. Śledził je aż do granicy studia.

Stanowił ją wysoki i solidny parkan, nie metalowa siatka. Trzeba było być akrobatą lub mieć drabinę, by pokonać gładką powierzchnię.

Ale komuś się udało. Znalazł ślady wyskrobane przez czubki butów, zgniecioną trawę w miejscu, gdzie ciężko wylądował.

Staął w tym punkcie i spojrzał na budynki studia,

lekkie spowite smogiem Los Angeles. W nocy trudniej było cokolwiek zlokalizować. Ten ktoś musiał kręcić się po okolicy, czekać, by oczy przyzwyczały się do ciemności, zebrać przerzucone wcześniej narzędzia – butelki z benzyną, coś na rozpałkę...

Lattimer stał bez ruchu. Te osmalone łaty do niczego mu nie pasowały. Kto by tak się zabawiał? Może dzieciaki? Ale to było zbyt dziwne, jak na dziecinne psoty. Plamy były idealnie regularne.

Jeszcze raz przyjrzał się. Coś mu się nasuwało. Postanowił prowizorycznie zmierzyć powierzchnię plam. Stał przy pierwszej. Uczynił krok. Stopą trafił dokładnie przy drugiej. Czyli mniej niż jeden jard.

Podobnie było z następnymi i następnymi. Zatrzymał się. Mimo upału chłód przebiegł mu po plecach. Wypalone łaty idealnie odpowiadały krokom biegnącego człowieka.

Płonącego człowieka, którego stopy zostawiały ogień wszędzie, gdzie dotknęły.

Rozdział 5

Znowu usłyszał brzęk.

Dźwięk wydawany przez mosiężne drzwiczki w drzwiach frontowych, gdzie listonosz wrzucał poranne gazety i listy.

Brzęk i stuknięcie. Jakby metal o metal.

Powoli, niemal przez sen, podążył ku drzwiom coś drażniło jego nozdrza. Coś co wisiało w nieruchomym powietrzu sypialni, nieco ciężkim od sennych oddechów. Nieco go to rozbudziło.

Otworzył drzwi pokoju.

Korytarz był pełen dymu.

Nie zwijał się on w szare obłoki, nie płynął po pomieszczeniu. Był gęsty, nieprzejrzysty, niczym melasa. Wspinał się po schodach ku jego stopom, kostkom, kolanom. Otworzył szerzej drzwi.

Próbował biec, ale coś go krępowało. Stopy uwięzły w miejscu. Mógł tylko patrzeć, jak cuchnąca lawa unosi mu się aż do piersi. Pulsowała i mieniła się perłowo i szaro, miejscami czarno. Nieuchronnie sięgała mu do gardła.

Gdy cały pogrążył się w dymie, mimo woli powstrzymał oddech. Dziwne – wcale się nie dusił. Jego szeroko rozwarte oczy oglądały wszystko jak zza matowej szklanej kuli, otaczającej jego głowę. Od spodu opary były niemal przezroczyste. Widział na dobre dwadzieścia

stóp, a mrużąc oczy – nawet dalej.

Był to dziwny przypadek *deja vu*. Już kiedyś widział coś podobnego. W czasie wakacji, w małej wiosce w Suffolk, kiedy spacerował w porannej mgle. Miał przejść kawałek polami. Pod stopami chrzęściły mu zamarzniete tafle niewidocznych kałuż. Rozejrzył się – pole widzenia było w każdym kierunku ograniczone do dwudziestu stóp. Tylko w dole nic nie było widać już w okolicach pasa.

Spojrzał pod nogi, spodziewając się zobaczyć brunatne, zamarzniete bruzdy. Ale nic nie znalazł. Jakby unosił się w powietrzu. Strach dotknął lodowatym palcem jego pleców.

Wysilił wzrok. Szukał czegoś, na czym mógłby się skoncentrować. Wypatrzył czarną kroplę w morzu szarości. Wykonując rękami ruchy jak przy pływaniu, posuwał się ku niej, nie wnikając, co to może być.

Albo kto.

To coś miało ręce i nogi. Głowę. Ramiona zwisały bezwładnie wzdłuż tułowia, dłonie i stopy dyndały jak u szmacianej lalki. Ciało było ciężkie, niczym u topielca, wysuwało się uparcie z objęć. Wydawało przykry zapach ludzkich wyziewów.

Chwycił tłuste, czarne włosy i podniósł głowę. Zobaczył martwą, ślepą twarz Mary. Przeczynał, że to ona.

Otworzył oczy. Były pełne przerażenia, niemal szału.
– Richard, coś się pali. Czuć dym Nagle poczuł spaleniznę.

Wypuścił z palców włosy Mary, głowa opadła jej na piersi. Bezwładne ciało zaczęło odpływać, pchane nieznaną siłą. Jeszcze próbował chwycić ją za róg nocnej koszuli, ale oddaliła się i przysłoniła ją warstwa dymu.

Płomienie sięgały jego ust, gardła, płuc. Suchy kaszel rozrywał piersi. Walczył o haust powietrza, ale wciągnął tylko dym. Nie mógł oddychać. Nie widział. Z oczu trysnęły łzy. Ustami poruszał niczym ryba. Rzucał się targany spazmami.

– Co u diabła? Uważaj pan!

Grierson otworzył oczy. Pierwszą rzeczą, którą ujrzał, była twarz mężczyzny w białej koszuli i błękitnym włóczkowym krawacie. Był skulony w kącie fotela, tuż koło owalnego okna, za którym raził ostry błękit.

Wsluchiwał się w otaczające go dźwięki – brzęczenie talerzy, szmery rozmów i dominujący pulsujący szum, który wziął za odgłosy płomieni. Rozejrzał się. Reszta pasażerów wielkiego 747 zajmowała się czytaniem konwersacją, część drzemała.

– Miał pan koszmar, co?

Facet, którego przestraszył, uśmiechał się do niego. Wyjął papierosa i zapalił.

Grierson obruszył się. Wyciągnął rękę i nacisnął guzik koło lampki. Stewardesa roznosząca napoje pochyliła się nad nim.

– Myślałem że to część dla niepalących.

– Tak, ma pan rację. – Spojrzała na jego sąsiada. – Przepraszam, ale muszę pana prosić o zgaszenie

papierosa.

– Ale nikt poza tym panem nie protestował!

– Niemniej znajduje się pan w części dla niepalących.

Mężczyzna ze złością zdusił spory niedopałek: i oburzony spojrzął na Griersona. Dziewczyna odeszła wzdłuż rzędów.

– Jeśli mam ochotę zapalić, to moja sprawa. Jeszcze nikomu nie zaszkodził dym z jednego papierosa.

Szarpnął beżową zasłonkę i zaczął ostentacyjnie wyglądać przez okno. Widoczna część nieba była nadal oślepiająco niebieska. W dole błękit podtrzymywała warstwa kłębiastych, śnieżnych chmur. Grierson spojrzął na zegarek, chwilę liczył w myślach i uznał, że muszą być niedaleko Nowego Jorku.

Spojrzął ku sufitowi. Wzdłuż całego samolotu biegło grube plastikowe wybrzuszenie.

– Wie pan, co w tym jest?

Zignorował pytanie i jeszcze zacieklej wbił wzrok w neurozmaicony widok.

– Instalacje. Mnóstwo drutów. Ale przede wszystkim rury z powietrzem. Tłoczą je bez przerwy, by utrzymać w kabinie odpowiednie ciśnienie. Przesuwa się w nich około sześć tysięcy stóp sześciennych na minutę. Co trzy minuty atmosfera tego pomieszczenia jest całkowicie wymieniana. Wiesz pan, co to oznacza?

Sąsiad jednak wypatrzył wyjątkowo atrakcyjną chmurę, która skupiała całą jego uwagę.

– To idealne środowisko dla ognia. Szybkie,

nieprzerwane dostawy tlenu, czyli tego, co jest najpotrzebniejsze. Zdziwiłby się pan, jak szybko płomienie mogłyby rozprzestrzenić się w tej kabynie. Wiem, bo widziałem. Jestem agentem ubezpieczeniowym i specjalizuję się w pożarach.

Mężczyzna nadal milczał. Ale słuchał. Grierson stwierdził to z uśmiechem wyższości.

– Niecały rok temu Stacja do spraw Badań Pożarów w Cardington przeprowadziła demonstrację. Użyli starego samolotu w hangarze, przystosowanym do prób tego typu. Ten eksperyment był jednym z najważniejszych. Kosztował ponad ćwierć miliona funtów.

Grierson rozejrzał się dookoła.

– Zbudowali kompletną kopię kabiny 747. Te same materiały. Jediną różnicą w środku były kamery. W specjalnych ogniotrwałych pojemnikach, oczywiście. Rozpalili ogień – bardzo mały, taki na przykład, jak przy krótkim spięciu w instalacji. Albo nie dogaszonego niedopałka, upuszczonego na obicie fotela. Wie pan, ile czasu trzeba było, by cała kabina stanęła w ogniu?

– No, ile? – Wydusił wbrew woli.

– Od podpalenia do chwili, gdy wszystko płonęło – dwie minuty, siedemnaście sekund. Ogień rozszerzał się z niewiarygodną szybkością. To było przerażające.

Mężczyzna oblizał wargi.

– Ale prawdziwy samolot, z pewnością...

– W czasie eksperymentu stworzono idealne warunki. Tak jak tutaj. Przepływ tlenu był taki sam Owszem stał na

ziemi. W prawdziwym samolocie ludzie niby mogą skorzystać z wyjść awaryjnych. Ale zwykle nie jest to możliwe. Gdyby tu wybuchł pożar, nie byłoby żadnego ratunku.

Grierson wiedział już, że jego opowieść wciągnęła słuchacza. Sięgnął do obicia i postukał.

– Wie pan, z czego to jest?

– Nie.

– Pianka poliuretanowa. Jak większość wykończeń i mebli w tej kabinie. Znajdzie pan tu również inne rodzaje plastyku. Ich dym jest bardzo trujący. Zawiera na przykład tlenek węgla i kwas cyjanidowy. Tak, tak. Brzmi to niewiarygodnie, ale to prawda. Ale one nie są jeszcze, tak jak ich produkty rozpadu, najgroźniejsze. Gdy się odetchnie raz lub dwa kwasem cyjanidowym – to koniec. Oczywiście, tlenek węgla, czyli czad, powoduje najłagodniejszą śmierć. Ale tlenek azotu lub chlorek wodoru są bardzo przykre. Wypalają drogi oddechowe, wie pan, i człowiek krztusi się, i dławi, zanim skona.

Palacz nie mógł od niego oderwać wzroku. Oczy wylaziły mu na wierzch.

– Proszę sobie wyobrazić, że wybucha pożar. Kabina wypełniłaby się toksycznymi dymami w przeciągu kilku sekund. Powstanie panika, a gdy po chwili zgasną światła, ludzie zaczną szaleć. To nieuniknione. Izolacje płoną w pierwszej kolejności, druty stykają się, spięcia. Równocześnie zacznie się topić poliuretan. Krople płonącej smoły z piankowych ścian będą kapać na ludzi,

zapalając odzież i włosy. A załoga nie będzie miała zielonego pojęcia, że coś jest nie w porządku. Chyba, że jakaś stewardesa przedrze się do nich.

Sąsiad Griersona siedział bez ruchu. Wyobraźnia pracowała. Zaczął węszyć. Odwrócił się i ku swemu przerażeniu zobaczył, że ktoś próbuje, chyłkiem jak on, zapalić papierosa. Już podniósł się, by wszcząć protest, ale Grierson ciągnął dalej.

– Jeśli o nas chodzi – kontynuował, w duchu śmiejąc się do rozpuku – nie mielibyśmy najmniejszych szans. Nie byłoby czym oddychać. Tylko trujące opary. Płuca będą wyłazić gardłem w spazmatycznym kaszlu. Jednak mięśnie klatki piersiowej znowu się skurczą – i następny haust gryzącej mieszanki...

– Proszę pana, przecież ja tylko...

– Dym i płomień w ciemnościach, wrzaski, płacz i lament – to byłoby prawdziwe piekło. Ludzie jak ćmy, objijający się o drzwi, okna, ściany, żeby wyjść. – Wyjrzał przez okno. – Ale nie byłoby dokąd pójść. Sześć mil pustki. Nawet gdyby się pan wydostał, to przyniosłoby śmierć zimno i brak atmosfery na tej wysokości. Martwy wpadłby pan do morza. Wszystko, co można zrobić, to siedzieć w kącie, zatykać uszy przed wyciem konających i czekać na smród palącego się własnego ciała...

Stewardesa pochyliła się nad nimi i miłym głosem poinformowała:

– Nowy Jork za dwadzieścia minut, panowie.

Spojrzała na sąsiada Griersona. Jego twarz była

ziemistoszara, mokra od potu. Lekko drżał.

– Czy pan dobrze się czuje. Może podać aspirynę?

Lattimer obserwował nową grupę pasażerów wychodzących z pomieszczeń odprawy celnej i paszportowej. Jeszcze raz obejrzał fotografię przysłaną z Londynu.

Przedstawiała ona chudego, łysiejącego mężczyznę w znoszonym garniturze i wielkich buciorach. Niósł teczkę tak wypełnioną papierami, że jej wieko nie domykało się. Bagaż obciągał mu rękę i pewnie obijał kolana. Rozpoznał budynek za nim – był to Old Bailey.

Odwrócił zdjęcie. Do drugiej strony przyklejono komputerowy wydruk z karty personalnej.

„Richard Grierson. 43. Starszy śledczy do spraw roszczeń Ipswich and Midland, teraz Insill, W.B. 18 lat w I and M. Birmingham, Glasgow, Londyn, Berlin. Na obecnym stanowisku od 1978 r. Grupa zaszeregowania A-22. Wdowiec (żona i dzieci zginęły w pożarze domu w 1979r.).”

Znowu przyjrzał się zdjęciu i rozejrzał się po hallu. Grierson jako człowiek na dobrą sprawę był mu całkowicie obojętny. Ale to, co sobą reprezentował, trochę go niepokoiło. Odruchowo zaczął obgryzać paznokcie. Nawyk, z którym zrywał już ze sto razy.

Grierson wszedł do hallu i zatrzymał się kilka metrów od Lattimera.

Jeśli ten powypychany garnitur nie był tym ze

zdjęcia, to musiał być jego bratem bliźniakiem To samo z butami, koszulą i krawatem. Tylko poplamiony i niedbale przerzucony przez ramię płaszcz przeciwdeszczowy bez paska był czymś nowym. No i bagaż. Zamiast ściągniętej sznurkiem teczki Grierson niósł pękającą w szwach zieloną walizkę z plastyku. Jej zewnętrzna kieszonka na zamek była otwarta. Zawierała oczywiście stertę niechlujnych papierów.

Nie trudził się rozglądaniem po nowym, zapewne, otoczeniu czy szukaniem kogoś, kto miałby go stąd zabrać. Odstawił walizkę – po prostu otworzył dłoń i upuścił swój bagaż na podłogę oddaloną jakieś osiemnaście cali, i wyłowił z kieszeni płaszcza wygnieciony egzemplarz „Time’a”, i zaczął czytać.

„Ty gnojku” – pomyślał Lattimer. Zrezygnowanym krokiem, jakby to nie był hall lotniska Kennedy, lecz poczekalnia gabinetu dentystycznego, przemierzył te kilka metrów brudnego marmuru i wyciągnął rękę.

– Pan pewnie jest Grierson?

Grierson opuścił czasopismo sześć cali w dół i obejrzał go wnikliwie. Twarz miał kamienną. W końcu przełożył „Time’a” do lewej dłoni i krótko uściśnął rękę Lattimera.

– A pan – Lattimer?

Lattimer zrozumiał, że Grierson był równie niechętny temu spotkaniu, jak on. Mógł liczyć co najwyżej na arogancję, którą sam zamierzał potraktować przybysza.

Wcale nie ułatwiało mu to sprawy. Bał się, że mimo

wszystko tamten przyjechał z odpowiednim nastawieniem
Z poczuciem wyższości. Lattimer skrzywił się. Miał to
być miły, niezobowiązujący uśmiech.

– Witam w Nowym Jorku – powiedział. Ale nie
trzeba było być specjalnie przenikliwym, by
dopowiedzieć sobie resztę.

„Mam nadzieję, że dostaniesz tu w dupę.”

Rozdział 6

Przydzielono im duży pokój na najwyższym piętrze biurowca Insillu przy Park Avenue.

Lattimer patrzył, jak słońce kryje się za Central Parkiem, a most na East River zaczyna w oddali błyskać światłem. Na ulicach zaczynało być tłoczno – wieczorny szczyt.

Grierson nie odrywał się od kartotek dostarczonych przez Lattimera. Był całkowicie pochłonięty lekturą, z furją wgryzał się w dane. Im prędzej wypełni swoje zadanie, tym wcześniej powróci do Londynu.

– Numer siedemnasty.

Lattimer podsunął akta w błękitnej firmowej okładce Insillu. Przed Griersonem piętrzyła się już cała sarta papierów.

– Fabryka wyposażenia lotniczego Transair w New Jersey. Produkowali sprzęt nawigacyjny. Zniszczona całkowicie. Straty – szesnaście milionów.

Grierson otworzył grubą teczkę. Fotografie z miejsca wypadku były standardowe. Podobnie jak wszędzie – szerniałe, powykręcane metalowe części; księżycowy krajobraz, jaki ogień pozostawia, gdy płoną podłogi, przedmioty, wyposażenie i czasem ludzie wprost na gołej ziemi.

– Ktoś zginął?

– Jedna osoba. Strażnik.

– Nowy?

– Nie. Dwanaście lat w przedsiębiorstwie. Rozważaliśmy podpalenie, ale nie było dowodów. Transair przeżywał akurat dobrą passę. Straty dotknęły ich w najgorszym momencie. Muszą zerwać świetny kontrakt na wyposażenie nowego terminalu w Kanadzie.

– Czy to wszystko?

– Nie wystarczy? Siedemnaście wielkich pożarów w niecały rok. Wydaliśmy jak dotąd ponad czterdzieści trzy miliony dolarów, a wciąż napływają nowe roszczenia.

– Zdarza się.

– Nie. W historii towarzystw ubezpieczeniowych USA nigdy. Wszelkie statystyki są do wyrzucenia. I nie chodzi tylko o Insill. Także Guaranty, Hartford i inne firmy mają podobne problemy. Wielkie pożary przemysłowe, hotele, kompleksy wytwarzające produkty o najwyższej zaawansowanej technologii, studio filmowe...

– Nie było tego w kartotece.

– Tereny studia Universal. Piętnaście akrów miasteczka filmowego. Dwadzieścia dwa miliony. My pokrywamy.

– Nie ma dokumentacji?

– Pożar był wczoraj. Prosto z Los Angeles musiałem jechać na lotnisko po pana.

– Byłoby lepiej, gdyby zamiast tego zrobił pan coś pożytecznego. Albo został tam.

Lattimer z trudem panował nad sobą. Był już sfrustrowany tym stałym napięciem. Ten facet bez

przerwy go prowokował. Poza tym nie mógł pozbyć się wizji płonącego człowieka z Universalu. Te regularne plamy, dziwny charakter pożaru. Wszystko idealnie pasowało. Postać krążąca po okolicy, wyjąca z bólu. Biegł, pozostawiając płomienie wszędzie, gdzie się zbliżył.

... Opowiedzieć to Griersonowi znaczyło obudzić w nim jeszcze głębszą pogardę.

Lattimer ciężko wstał.

– Nie wiem, jak pan, ale ja muszę się czegoś napić.

– Ostatnio, jak tu byłem, mieli dobre piwo.

Lattimer nacisnął guzik na wielkim biurku. Jedna z sekretarek Porterfielda zajrzała z uśmiechem przez uchylone drzwi. Czyli biuro wyposażono nawet w miłą obsługę na czas ich współpracy. Grierson trochę się rozchmurzył na ten objaw dbałości o jego wygodę.

– Czy pija się tu piwo?

Cicho otworzyła wielki lustrzany barek, który zajmował większą część jednej ze ścian. Lodówka zawierała rzędy puszek i butelek w kartonikach.

– Pamięta pan nazwę tego piwa?

– To było coś niemieckiego.

– Hm. To zostanie nam Pabst, Budweiser, Schlitz, Heineken, Carlsberg...

– Och, wszystko mi jedno. Obojętne.

Lattimer pozwolił dziewczynie wyjąć dwa Heinekeny i rozlać do wysokich szklanek. Było dobre, czuł jak przemywa mu gardło z resztek sadzy i dymu z Universalu.

Spojrzał znad szklanki i spotkał się ze wzrokiem Griersona.

„O kurczę, on też o tym myśli.”

– Zostawił pan coś pilnego w Londynie?

Grierson pociągnął z rozkoszą jeszcze jeden łyk.

– Magazyn. Podpalenie. Dwie ofiary.

Lattimer nie musiał komentować. Człowiek o oczach takich jak Grierson potrafił przejrzeć myśli rozmówcy.

– Mm... – „Jak on się do diabła nazywa?” – Mm, Richard, masz rodzinę?

Grierson bez słowa wyjął portfel i podał Lattimerowi nieco podniszczone zdjęcie. Amerykanin obejrzał kobietę z dwojgiem dzieci, chłopcem i dziewczynką, na kolanach.

– No, nieźle. De lat ma teraz chłopak?

Grierson wyciągnął rękę. Lattimer rzucił jeszcze okiem i oddał zdjęcie.

– Peter miałby jedenaście. Sarah była osiemnaście miesięcy starsza. Właśnie 8 maja przypadają urodziny mojej żony.

– Przepraszam... Miałby?

– Nie żyją. Podpalacz. Pięć lat temu. Najprawdopodobniej ktoś, kogo posadziłem za podpalenie jakichś budynków. Przypuszcza się, że wlał benzynę przez otwór na listy i wrzucił zapalniczkę. Chciałem dostać się do gaśnicy na parterze, ale kiedy próbowałem wrócić im na ratunek, schody były już zajęte.

Zajrzał do pustej szklanki z zaciekami piany.

– Dobre piwo.

Lattimer rozprostował palce, które słuchając kurczowo zacisnął na swojej szklance.

– W barku jest jeszcze mnóstwo.

– Nie, dzięki.

Grierson wstał i zaczął zgarniać papiery.

– Gdzie mam się zatrzymać?

– Wynajęliśmy ci pokój w hotelu Plaža. Może być? To tylko kilka przecznic stąd.

– To tam mieli ten pożar?

– Nie bój się. Tego budynku nie da się spalić. Solidny jak skała.

– Co było przyczyną?

– O... To właśnie po to cię ściągnęli.

Grierson po raz pierwszy pozwolił sobie na uśmiech. Lattimer ze zdumieniem przyglądał się jego nagle przyjaznej twarzy.

– Nie przejmuj się tym wszystkim. Każdy kiedyś potrzebuje pomocy... Jack? Nie pomyliłem imienia?

Lattimer przytaknął.

– Nie zawsze można samemu decydować o swoich posunięciach, Jack. Ale skoro mnie zmusili, żebym tu przyjechał, to postaram się wykorzystać czas jak najlepiej. Czy miejsce pożaru w Plaža jest zabezpieczone?

– Dwie ofiary i żadnych dowodów. Trochę potrwa, nim nowojorskie gliny pozwolą im odnowić ten pokój.

– Zaczniemy od tego. Jutro o dziesiątej?

– Dobra. – Lattimer wstał i pomógł Griersonowi założyć płaszcz.

- Podwiozę cię.
- Dziękuję. Muszę rozprostować nogi.

Patrzył, jak Grierson szedł przez pokój, na tle okna z panoramą poszarpanego wieżowcami nieba Manhattanu. Przygięta postać, jedno ramię obciążone przez walizkę, pod drugie naładował sobie kupę akt Insillu, których błękitne, nowe okładki miały już powyginane rogi.

W tym samym czasie milę dalej, dziewczyna, która mogła być kluczem do zagadki, szła wśród zapadającego zmroku po Duane Street. Przepchała się przez grupkę stojącą u wejścia do baru L'Equipe, którego nazwa złociła się nad drzwiami fantazyjnie powyginanymi literami. Idący za nią Adam Goldman wymamrotał:

- Do diabła, Carol. Będziemy czekać godzinami.

Mimo protestów Carol Woolcott przeprowadziła jego i Lenę na początek kolejki. Banknot dziesięciodolarowy, wsunięty dyskretnie w zachęcająco otwartą kieszonkę kamizelki maitre d'hotel, otworzył im drogę do baru. Usiadła i odetchnęła. Pierwszy raz tego dnia.

– Kolejka dla mnie – zamówiła. Kiedy napięcie wywołane strachem zelżało, chciała napić się czegoś mocniejszego.

Lena dobita do niej po chwili. Dyszała ciężko i ukradkiem dziobnęła łokciem w bok grubej kobiety, z którą zdążyła się już pokłócić o miejsce.

- Tu musi być z dwieście osób, Carol. Zawsze

wyszukujesz takie miejsca.

Carol uśmiechnęła się do siebie. Ukryła przed nimi, że L'Equipe znalazła się miesiąc temu w „Przewodniku po najlepszych nowych barach w Ameryce” wydawanym przez Esquire. Rezultat był oczywisty. Mieszanka ludzi z reklamy, businessmanów, dziwek, niebieskich ptaków, rozwódek i alkoholików kotłowała się w piwnicy nowojorskiego TriBeCa, przyciągnięta niewątpliwie przyjemnością ocierania się o osobników, których stać było na wydatek dwu i pół dolarowy na magazyn.

O wpół do ósmej tłok jeszcze się powiększył. Właśnie dlatego wybrała to miejsce. Czuła się jak w przedziale metra w godzinach szczytu. Nikt nie mógł jej dopaść samej.

Odkąd zasiedli na barowych stołkach, nikt nie śmiał opuścić cennego miejsca. W ciągu dwóch godzin Carol zjadła dwie miseczki orzeszków i wypła pięć podwójnych Chivas Regals z lodem. Dopiero, gdy pęcherz dał jej się naprawdę we znaki, zdecydowała się udać do toalety. Powierzyła swoje miejsce Lenie i Adamowi. Długą, okropną chwilę przebijała się przez tłum.

Ulżyła sobie i siedziała teraz na desce klozetowej, podsłuchując przez cienką ściankę.

- Dwa drinki i już ładuje mi łapę pod spódnicę!
- Ale wygląda na milutkiego...
- No... Fajny jest. Kto mówi, że się odsuwałam Tylko że powinien przynajmniej zaproponować kolację.

– Przecież żarcie jest tutaj takie drogie.
– To dobrze. Mogłabym mu się zrewanżować jajecznicą na śniadanie.

– Marzenie...

– Hm... Słuchaj. Może pozbędziemy się...

Carol zaśmiała się bezgłośnie. Dziewczyny odeszły. Gdyby jakiś facet to słyszał. Jeszcze miesiąc temu sama prowadziła takie rozmowy, była wesoła, wiodła beztroskie, pełne radości życie wśród przyjaciół...

Ale to minęło...

Siedziała chwilę cicho i nasłuchiwała. Wydawało się jej, że ktoś ukrył się w sąsiedniej kabinie.

– Jest tam kto? Hej!

Pusto.

Była sama.

Nagle panika ścisnęła jej kolana. Przerazenie spłynęło na nią niczym struga lodowatej wody. Drżały jej nogi, żołądek kurczył się boleśnie. Dygocąc z trudem podciągnęła majtki i spodnie. Ostrożnie uchyliła drzwi, skulona, nie wając się rozejrzeć, pomknęła do wyjścia.

W biegu zdążyła zobaczyć w lustrze swoją zeszywniałą ze strachu twarz. Szczupła dziewczyna w szarym kostiumie, nawet ładna, mimo wytrzeszczonych z przerażenia oczu.

Carol Woollcott wiedziała – to zwykle spotykało ludzi, gdy byli sami.

Jej pierwszym odruchem było usilne szukanie towarzystwa. W pracy nie było problemu. Wielka agencja

ogłoszeniowa taka jak Primus, zawsze była pełna ludzi. W barze przewijały się tłumy z filiżankami kawy i ciastkami. W ostateczności można było skorzystać z nieuwagi szefów i wymknąć się na obchód sąsiednich biur, gdzie miała masę znajomych.

Carol była znana ze swojego poczucia humoru. To ona pierwsza dowiadywała się o najróżniejszych ciekawostkach, plotkach. Jej szufladę wypełniały wycinki prasowe, co dowcipniejsze ogłoszenia.

Do pokoju Carol wszyscy lgnęli jak pszczoły do miodu.

Po pracy starała się wychodzić ze znajomymi. Carol wiedziała, gdzie w Soho czy TriBeCa można elegancko zjeść i wypić. Na przykład L'Equipe. Chodziła z kolegami na głębszego. Jak dzisiaj.

Zatrzymała się w korytarzu. Obecność kelnerów i gości przyniosła jej ulgę. Ta ludzka ściana chroniła ją przed losem, jaki czekał tych, którzy dali się zaskoczyć w samotności.

Adam i Lena wyraźnie dobrze się bawili. Trzymał rękę na jej ramieniu. Śmiali się. Musiała przerwać tę idyllę. Za nic nie mogła sama wrócić. Przeczynała, że wieczór zakończą w trójkę na jej wielkim łóżku. Już przedtem to się zdarzało. Wzdrygnęła się i zaczęła obliczać, ile razy. Zawsze to lepsze, niż zostać sama.

Ponieważ gdy będziesz sama, to zginiesz.

Rozdział 7

Grierson obudził się mokry w ciemnym pokoju.

Przez minutę siedział wyprostowany na łóżku, czuł jak pot ścieka mu po nagiej piersi. Kiedy skutki sennego koszmaru zniknęły, udał się do łazienki. Wypłukał usta i trzy razy zanurzył głowę w umywalce pełnej letniej wody.

Zegarek wskazywał czwartą dwanaście rano. Środek nocy, kiedy rodzą się dzieci i umierają ludzie. Oświetlone blaskiem pełni ulice Manhattanu były zadziwiająco ciche. Odległy dźwięk syreny policyjnej był jak wycie dzikiego zwierza w zaroślach Central Parku.

Według czasu londyńskiego była dziewiąta dwanaście. Zwykle kładł się po pierwszej i budził się właśnie w okolicach tej godziny. Przelot samolotem zrujnował jego biologiczny rozkład dnia. Jeszcze parę dni minie, zanim zacznie zachowywać się jak normalni ludzie. Z rezygnacją wlaź do łóżka i naciągnął prześcieradło na ramiona.

Nie.

Dzisiaj to nie był jego zwykły koszmar senny, który budził go niemal codziennie.

Sen był inny. Nie ta mgła, ciało Mary, stukający dźwięk.

Coś innego.

Szukał pośród słabo utrwalonych sennych obrazów. Pamiętał tylko ogień, dym, pokój taki jak ten...

Pożar. Trzy tygodnie temu. W tym hotelu.

Zapalił nocną lampkę, wygrzebał odpowiednie dokumenty, dossier nr 8. Usiadł na brzegu łóżka w spodniach od piżamy i zaczął przeglądać zszyte dwadzieścia siedem stron maszynopisu.

Najpierw zwykła historia. Brygada straży pożarnej zaalarmowana przez obsługę hotelu wyłamała drzwi. Pokój był wypełniony dymem. Dwa ciała niemal usmażone na resztkach łóżka. Mężczyzna był bez wątplenia gościem hotelowym, ale tożsamości dziewczyny, niemal całkowicie spopielonej, nie ustalono.

Przebiegł dokument oczami raz jeszcze. Jego podziw dla Jacka Lattimera, do którego przedtem się nie przyznawał, zaczął rosnać. W pożarach ginęło tyle ludzi, że śledczy rzadko zawracał sobie głowę czytaniem raportów straży pożarnej. Lattimer musiał to starannie przestudiować, świadczyły o tym liczne haczyki, podkreślenia i znaki zapytania w tekście.

Porzucone niedopałki sugerowane przez ekspertów zaliczały się do klasyki pożarniczej. Typowy wypadek, wykluczający możliwość samobójstwa. Tylko wariat z obsesją piromańską mógłby położyć niedopałek na prześcieradło i czekać leżąc, aż zajmie się pościel i płomienie dotrą do materaca. Obserwować, jak kopci się jego wnętrze, a przynoszące błogą nieświadomość dymy powoli wypełniają pokój.

Często trzeba było godzin, aby ogień rozpałił się na tyle, żeby stworzyć stos nieprzytomnej ofierze. Gdy

wreszcie do tego dochodziło, metalowa rama łóżka tworzyła coś w rodzaju rusztu. Resztki pościeli i materaca utrzymują odpowiednią temperaturę. Prawdziwe krematorium.

Przypadek z hotelu Plaža dla niezbyt dokładnego badacza mógłby być modelowym przykładem pożaru sypialni zainicjowanego przez niedopałek. Było jednak parę drobiazgów podkreślonych przez Lattimera. Nadal siedząc na brzegu łóżka i susząc mokre włosy, Grierson przeglądał czarno-białe, błyszczące fotografie o standardowym formacie 8 na 10. Były niewyraźne i prześwietlone – typowe zdjęcia z ciemnego, osmalonego pomieszczenia, zrobione przy użyciu lampy błyskowej.

Jedno go zastanowiło. Poczul lekki zawrót głowy i przedsmak satysfakcji. Znał to wrażenie. Pojawiało się, gdy stawał na świeżym tropie, wiodącym do rozwiązania jakiejś zagadki. Niektórzy zwali to intuicją.

Na ciemnoczerwonym dywanie, który pokrywał podłogi we wszystkich pokojach w Plaža leżało coś, co w innym człowieku wywołałoby dreszcz grozy. Była do pokiereszowana damska lewa dłoń z rozcapierzonymi palcami. Wyglądała jak szczątek jakiegoś biednego zwierzątka pożartego przez wściekłą bestię.

Właśnie to tak go poruszyło.

Musiał wejść do tego pokoju. Nie za parę dni. Nie jutro o dziesiątej. Teraz.

Sięgnął po telefon. Cofnął rękę. Przecież wskazówki jego zegarka wskazywały dopiero kwadrans po czwartej.

Machnął z irytacją ręką i zaczął wykręcać numer.

Był w trakcie gorączkowych wyjaśnień, gdy odkrył, że głos po drugiej stronie pochodzi z automatycznej sekretarki Lattimera.

„... ale jeśli zechciałby pan zostawić wiadomość, to oddzwonię najszybciej, jak będzie to możliwe. Ma pan trzydzieści sekund od usłyszenia sygnału.”

Grierson ze złością cisnął słuchawkę i zaczął na chybił trafił naciągać ubranie. Niepostrzeżenie przemknął na jedenaste piętro.

Był przygotowany na rząd pasków z pieczętkami policyjnymi albo przynajmniej plombę. Ale drzwi pokoju numer 1117 niczym nie wyróżniały się spośród rzędu innych. Całe szczęście, że w Plaza nie stosowano zamków elektronicznych. Zwyczajny, seryjny zamek Yale o standardowym wzorze stanowił nikłą ochronę przed nieproszonymi gośćmi.

Grierson uważał, że w jego pracy należało mieć pewne wyobrażenie na temat zabezpieczeń drzwi. Istotne przecież było, czy ktoś grzebał w zamku lub próbował go wyłamać. Na samym początku swojej kariery zapoznał się z pewnym zawodowym podpalaczem, którego uprzednio posłał na kilka lat do więzienia i poprosił o lekcje. Pomysł sam w sobie rozbawił starca. Zgodził się na intensywny kurs włamywania, który uczynił Griersona ekspertem w tej dziedzinie – od robienia odcisków kluczy począwszy, a na wysadzaniu betonowych bunkrów skończywszy.

Lekko wcisnął do zamka wytrych. Trzymał go

pewnie w palcach, nie mogły teraz drgnąć. Łowił kolejne zapadki. Ciche pstryknięcie. Prawie słyszał chropowaty głos starego Lansella: „Ślicznie zrobione, Dickie, synu”.

Grierson uśmiechnął się do swoich myśli i przekręcił owalną klamkę.

Był przygotowany na widok pogorzeliska, czarnobiałe fotki nie były jednak w stanie oddać atmosfery.

Na przykład zimno – pokój był chłodny niczym piwnica, duszny, powietrze było ciężkie i martwe.

Było też całkiem ciemno. Najpierw sądził, że zasunięto ciężkie zasłony na oknach. Gdy jednak wzrok oswoił się z ciemnością, zauważył, że dostępu światła bronił nie gruby plusz, a sadza, gęsta i tłusta niczym czarny aksamit. No i ten zapach. Pogorzeliska zwykle śmierdzą wilgocią i zgnilizną spowodowaną przez duże ilości wody. Tu było inaczej. Jego nos zwietrzył kwaśną woń piany. I coś jeszcze. Duszący, tłusty odór, który zaatakował wywołując torsje, ścisnął nozdrza i usta.

Grierson dotąd sądził, że zna wszystkie kompozycje zapachowe, które jest zdolny wytworzyć ogień. Ale to było coś innego.

Stał cicho w ciemności, czuł jak oczy przyzwyczajają się do półmroku i zaczynają rozróżniać niezbyt oddalone pojedyncze przedmioty.

Pomagał mu fakt, że pokój był bliźniaczo podobny do jego własnego.

Na wprost niego, troszkę może z lewej – łóżko. Z

fotografii wiedział, że pozostała z niego jedynie nadtopiona rama. Z trudem wypatrzył kanciastą figurę z taśmy rozpiętej na podłodze dookoła niego i resztki popiołu pozostałego ze znalezionych ciał.

Z prawej – łazienka. Drzwi były zamknięte. Koło nich powinno stać biurko z czterema szufladami i dużym, stojącym lustrem. Obok znajdował się składany stojak na walizkę. I zaraz z prawej – mała wnęka.

Poruszając się na oślep niczym nietoperz, wymacał kontakt. Niechcący dotknął czegoś zimnego o fakturze skóry. Wzdrygnął się i cofnął dłoń.

Żółtawe światło wydobywało z ciemności jedynie kształty. Sadza pokrywała wszystko, z żarówką i plastikową torbą włącznie. To jej dotknął, gdy szukał przełącznika.

Nie była to właściwie sadza. Substancja była bardziej tłusta. Potarł palcem powierzchnię torby i ze wstrętem oglądał lepkaż ślizgającą się między kciukiem a palcem wskazującym. Było to coś przypominającego tłuszcz z okruszkiem chleba czy osad, jaki pokrywa długo nie myty piecyk.

Otworzył szeroko drzwi i stanął w progu pokoju. Szarożółte światło pogłębiało niesamowite wrażenie.

Był przygotowany na sadzę na ścianach i suficie, na straszliwy kontrast – śmiertelna czerń wypalanej górnej części ścian graniczyła z nietkniętą resztą pokoju. Łatwopalne gazy niczym opary benzyny gromadziły się w górnej części pomieszczenia, gdzie na dodatek musiało

być najwięcej powietrza. Dlatego ocalał wysoki na dwie stopy pas beżowej tapety w zielone paski.

Najbardziej zaskoczyły go ślady świadczące o niezwykle wysokiej temperaturze, jaka musiała tu panować.

Ofiary pożarów domów rzadko spalały się doszczętnie. Ogień zabija gorącem zanim się udusisz, a dusisz się zanim spłoniesz. Opary dławią płomienie, często jeszcze przed przyjazdem straży pożarnej.

Ale ten ogień prawie buzował.

Lustro nad biurkiem było okopcone i popękane, a jego srebrna warstwa stopiła się gdzieś. Kilka pozostałych cali odbijało zdumioną twarz Griersona.

Tuż koło jego stóp stał telefon. Lampa przy łóżku była przysłonięta strzępami sznurkowego klosza. Leniwe ruchy powietrza kołysały zwęglonymi frędzlami, z których niczym woda z sopli odrywały się czarne kawałki.

Grierson zaryzykował i nacisnął przycisk przy podstawie lampki. Żarówka słabo rozbłysła wspomagając lampę z wnętrza.

Z łóżka nie zostało nic poza szerniałymi, poplątanymi sprężynami materaca i innymi metalowymi częściami tak wypaczonymi, iż ramy były niemal owalne.

Spojrzał na sufit, na okrąg o średnicy sześciu stóp obrysowany czarnym popiołem.

To nie miało sensu. Jak to możliwe, by...?

– Proszę stać, nie ruszać się z miejsca!

Był tak pochłonięty myślami, że dopiero po paru

sekundach zdecydował się odwrócić. Napotkał skupiony wzrok i pistolet kaliber 38 w ręku groźnie wyglądającego policjanta w nowojorskim mundurze.

Zza jego pleców trwożliwie wyglądała pokojówka i dwóch innych pracowników Plaża.

Zrezygnowany podniósł ręce.

Kiedy Lattimer przybył, główny hall Plaża od strony Central Park South był pusty. Jedyne recepcjonistka drzemała niespokojnie za swoją ladą. Automatycznie sprawdził zegar nad głową. Była piąta czterdzieści pięć.

Ubrany był w zielony pulower wycięty w „serek”, pod który nie zdążył nic włożyć, jeansy i mokasyny bez skarpetek. Nie miał czasu, żeby się ogolić, czy zrobić coś więcej poza przejechaniem ręką po włosach. Bezlitosny gliniarz ledwo zgodził się na umycie zębów. Nacisnął dzwonek na ladzie. Człowieczek w uniformie zerwał się z miejsca. Przybiegł też młody urzędnik z zaplecza, maskując wytrzeszczeniem oczu swoją, nieprzyzwoitą w pracy, senność.

– Czym można panu służyć?

Lattimer bez słowa wyciągnął legitymację. Urzędnik wskazał na podwójne drzwi z matowego szkła po prawej stronie.

Grierson stał koło okna; szef ochrony hotelu i policjant, który go aresztował, z ulgą przywitali wejście Lattimera.

Podszedł prosto do Griersona.

– Czy koniecznie musiałeś się włamywać? – syknął. – Co miałeś tam takiego pilnego, że nie mogło poczekać pięciu godzin?

Grierson wzruszył ramionami. Lattimer spojrzał na zmęczone twarze jego obstawy.

– Będziesz miał szczęście, jeśli od razu nie wsadzą cię do samolotu do tego twojego Londynu. Albo do więzienia.

– Szkoda by było. Myślę, że coś mam.

– Co!?

Grierson nadal patrzył w okno. Lattimer zrezygnowany zaproponował:

– Panowie, słyszałem, że w Plaża serwują najlepszą kawę w Nowym Jorku.

Patrzyli na niego pytająco.

– Może byśmy zamówili sobie po kubeczku i pogawędzili o naszym kłopotcie?

Rozdział 8

Adam Goldman włączył radio i czekał, aż czajnik wreszcie zacznie gwizdać. Zdziwił się, gdy dotarły do niego pierwsze dźwięki muzyki. Podświadomie był przygotowany na beat, a tu leciało coś klasycznego. Szybko chwycił gałkę i odszukał radiostację KISS. Reklamowała się ona znakiem wilgotnych ust i obiecującym hasłem „Więcej muzyki mniej gadania”. KISS kojarzyła się Adamowi ze zmysłowością, odprężeniem. Muzyka podniecała go na równi z dobrą trawką, atłasowymi prześcieradłami i lustrami zwielokrotniającymi ekscytujące widoki, częste w jego mieszkaniu.

Ale to nie była jego dzielnica. Nie był to nawet modny West End. Wschodnia Dziewięćdziesiąta stanowiła dla Adama teren obcy. Z niesmakiem rozglądał się po mieszkaniu.

Kuchnia była wąska i ciasna, włączona kuchenka rozgrzewała powietrze nie do zniesienia. Adam spróbował otworzyć małe, za,, kurzone okno z widokiem na szarą rzekę Hudson, ale zamek stawiał opór.

Oprócz zwykłego, przerdzewiałego haczyka w ramie okna tkwił nowy zamek. Z uporem majstrował przy nim nożem. Wreszcie z ulgą otworzył je na oścież. Jego wysiłki wynagrodził świeży powiew nowojorskiego wiosennego powietrza. Parę stóp niżej wypatrzył

metalową drabinę przeciwpożarową. Na dodatek w radiu zabrzmiały pierwsze nuty jego ulubionego hitu, chropawej wersji utworu Barry'ego White* a „Czuję, jakbym kochał się z tobą”.

Próbował pogwizdywać, zdjął cicho poświstujący czajnik z kuchenki, nalał wodę do filiżanek z kilkoma łyżeczkami kawy rozpuszczalnej i wrócił do pokoju.

Mijając wpólotwarte drzwi sypialni, zatrzymał się na chwilę w progu. Spojrzał na dwie kobiety rozłożone na wielkim, skotłowanym łóżku.

Lena spała, oddychając głęboko niczym zadowolone zwierzę. Zwinęła się w kłębek, dotykając niemal kolanami ciemnopurpurowych sutek.

Jasna, szczupła, nieco chłopięca Carol leżała na plecach z twarzą zakrytą przed porannym słońcem wpadającym przez okno. W półmroku jej ciało było niemal przezroczyste. Podpuchnięte oczy tonęły w ciemnych plamach rozmazanego makijażu i zmęczenia.

Adam spojrzał na jej lewe ramię i uśmiechnął się. Widniejący tam siniak był jego dziełem. Przyłgął ustami do miękkiego ciała i ssał tak długo, aż zaczęła błagać, by przestał.

- A teraz ty.
- Nie mogę.
- Och, możesz, możesz.

Zniecierpliwiał się. Spojrzał znacząco na Lenę. Posłusznie przesunęła się przez jego rozłożone na środku łóżka ciało. Dotarła do Carol. Język Leny prześlizgnął się

po brzuchu przyjaciółki, rozłożyła jej nogi i ukryła tam głowę. Po chwili Carol zaczęła jęczeć i miarowo kołysać się, kurczowo chwyciła Lenę za włosy, zesztyniała i opadła na pościel, ciężko dysząc.

Adam poczuł, jak jego penis się naprężył. Lubił takie wspomnienia. Spojrzał z zadowoleniem na swoje muskularne, owłosione ciało, podrapał się po krzyżu i zaczął rozważać, czy nie wziąć by Carol jeszcze raz.

Podobała mu się bardziej niż Lena – gorąca, szybka i zwierzęca. Czysty seks, jaki mógł znaleźć u setki innych kobiet Ale Carol była czymś specjalnym. Delikatna, dyskretna, pachnąca. Czysta. Uwielbiał czuć, jak jej subtelne piękno poddaje mu się, patrzeć na niechęć w jej oczach, dławić ją, słyszeć, jak krzyczy z bólu w poduszkę.

Zastanawiał się nad resztą weekendu. Była sobota i nie planował nic aż do jutrzejszej partii squasha. Dzień z Carol i Leną wystarczyłby mu na tydzień.

Bawił się tą myślą, manipulując bezwiednie sztywniejącym członkiem Czekał, aż kawa ostygnie. Pierwszy łyk przypomniał mu o cukrze. Wrócił do kuchni i sięgnął do tej samej szuflady, gdzie poprzednio znalazł kawę.

Kiedy się pochylał, poczuł, jak coś kłującego i łaskoczącego uderzyło w jego ramię. Instynktownie klepnął w bolące miejsce, by zabić wyimaginowanego komara. Obejrzał je, ale nie było śladu rozgnieczonego owada. Nie słyszał też żadnego bzyczenia.

„Musiał gnojek wlecieć przez okno” – rozmyślał

wsypując cukier i mieszając zawzięcie. Teraz wiedział, czemu Carol tak starannie zamykała okna.

Spacerując po mieszkaniu i rozglądając się po sprzętach, doszedł do wniosku, że Carol zabezpieczyła się nie tylko przed komarami.

Obejrzał pokój. Te stare kamienice z East Side były bardzo solidne. Okna oprawione w ciężkie, drewniane ramy, inaczej niż w jego przytulnym gniazdku. Jako dodatkową ochronę Carol dała założyć na każdym z nich kraty. Niezły pomysł. Może gdyby sam takie miał, to szmaciarz, który włamał się do niego, gdy był na zasłużonych wakacjach na Bahamach, nie zdołałby pozbawić go większej części majątku.

Drzwi też. Już wczoraj wchodząc zauważył, że są wyjątkowo ciężkie, a podwójny zamek z blokadą był nie do sforsowania przy użyciu tradycyjnego wytrycha.

Czemu Carol zawracała sobie tym wszystkim głowę? Przecież mieszkanie było niezbyt kosztownie wyposażone. Żadnemu złodziejowi nie opłaciłoby się walczyć z tym żelastwem dla tych paru gratów.

Dopijał już resztki kawy, gdy poczuł, że coś z nim jest nie tak. Nie były to mdłości. Raczej jakby był na haju – jak po prochach. Pocił się, gorąco uderzało mu do głowy, serce trzepotało się w piersiach, jakaś obręcz ścisnęła mu płuca.

Przez chwilę zamarł ze strachu. Wylew? Niemożliwe. Był zdrowy, szczupły, nie przekroczył jeszcze trzydziestki. Coś w kawie? Do diabła, co to mogło być?

Przecież była to zwykła Nescafe, prosto ze słoika.

Kofeina? Może dostał jakiejś alergii na kofeinę. Nigdy nie miał czegoś takiego, ale tylko to wydawało mu się prawdopodobne. Dotknął czoła. Skóra była rozgrzana. Musi się jakoś ochłodzić. Zimny prysznic...

Wstał i zataczając się pobiegł do łazienki. Czuł niemal zawroty głowy. Coraz gorzej. Oparł się ciężko o ścianę pokrytą chłodnymi kafelkami. Ledwo trzymał się na nogach. Z trudem odkręcił kurek. Zimna woda chlusnęła na pękającą z gorąca głowę. Poczucił się wspaniale. Było mu tak dobrze, że mógłby tak stać i stać.

Mimo kojącego efektu gwałtownego ochłodzenia skóry, jego wnętrze wciąż...

Krzyknął ze strachu, gdy poczuł, jak jakaś para rąk obejmuje go od tyłu. Miękkie ciało przytuliło się do jego pleców.

– Świetny pomysł – powiedziała Lena. – Jest tak cholernie gorąco.

Zaczęła go gładzić, przywarła udami do jego pośladków. Spojrzał na nią. Coś ścisnęło go za gardło. Było mu jeszcze goręcej. Było z nim źle. Tak źle, że nie mógł znaleźć słów, żeby to wyrazić.

Wrzask Leny wyrwał Carol z niespokojnego snu i kazał gwałtownie wstać na równe nogi. Była półprzytomna, otumaniona snem. Ogłupiała patrzyła na drzwi łazienki, z których buchała para.

Nagle z kłębiącej się chmury wypadła Lena. Carol zamarła. Górna połowa jej ciała pokryta była pęcherzami i

oparzeniami. Wyła ze strachu i bólu, miotała się po mieszkaniu z rozpostartymi ramionami. Była ślepa.

Carol momentalnie otrzeźwiała. Ogarnęło ją dobrze znane uczucie paniki. Okrążyła leżącą na dywanie Lenę i poszła do łazienki. Wiedziała, jaki widok ją czekał.

Para unosząca się spod prysznicza przysłaniała jej postać Adama Goldmana. A raczej tego, co z niego zostało.

Był skurczony, ciało błyskało niebieskimi i żółtymi płomieniami. Woda wciąż tryskała z prysznicza, ale płynące kaskady zdawały się jeszcze podsycać ogień. Para zamieniała się w duszący dym, cuchnący rozkładem.

Carol stała niema w drzwiach. Łzy toczyły się po jej policzkach. Nie współczuła Adamowi. Już nie potrafiła wykrzesać z siebie żadnych uczuć. Od paru tygodni wiodła wewnętrzną walkę o życie. Niszczyło to jej psychikę. Mogła tylko cieszyć się, że umknęła im jeszcze raz.

Grierson wcisnął się w przednie siedzenie dwudrzwiowej hondy Lattimera.

– Myślałem, że wszyscy Amerykanie mają kilkumetrowe krążowniki szos.

– Pewnie nie słyszałeś o naszym prawie alimentacyjnym. Chevrolet przypadł mojej żonie. Zostawiła mi to. Jechali Piątą milcząc. Nadal bez słowa Lattimer wjechał do parku i stanął przy budce z hot-dogami.

– Nie wiem jak ty, ale ja jeszcze nic nie jadłem.

Kupił dwa hot-dogi, dwie coca-cole i poprowadził go na ławkę, skąd roztaczał się piękny widok na Central Park. Tam gdzie chuligani panowali o zmroku, spacerowały teraz piękne kobiety w sukienkach od Halstona i prowadziły na smyczach wypielęgnowane pieski. Prywatne pielęgniarki w białych fartuchach pchały swoich przykutych do wózków pracodawców. Dzieciaki szalały na deskorolkach ze słuchawkami walkmanów na uszach.

Wręczając Griersonowi hot-doga Lattimer powiedział:

– Miałem w kieszeni pozwolenie na oględziny tego pokoju. Czy nie mogłeś, do cholery, poczekać kilka godzin?

– Dzwoniłem do ciebie. Nie miałem ochoty dyskutować z automatem – Dobra. Byłem u mojej byłej żony w Scarsdale. Teraz była moja kolej, żeby wziąć syna na weekend Zrobiło się późno, więc przenocowałem. Gdybyś znał Sherry, to byś mi tylko współczuł.

Grierson podniósł głowę i spojrzał na Lattimera.

– Przepraszam. Nie wiedziałem. Gdzie zostawiłeś dzieciaka?

– Kiedy mnie wezwali, zadzwoniłem po Sherry. Przyjechała i zabrała go. To zdarzało się już przedtem. Znowu będę słuchał wyrzutów.

Grierson milcząc żuł bułkę.

– Mówiłeś, że znalazłeś coś – przerwał ciszę

Lattimer.

– To te zdjęcia. Ciała. Były całkiem zwęglone.

– Mężczyzna jeszcze jako tako wyglądał. Ale dziewczyna... tylko resztki kości i zęby. Nikt by nie rozpoznał w tym kobiety bez dłoni.

Grierson właśnie coś przeżuwał w skupieniu. Wreszcie wyciągnął z ust coś twardego, oderwał kawałek poplamionego ketchupem papieru i zawinął kęs. W pobliżu nie było kosza. Z wyrazem lekkiego obrzydzenia kończył bułkę.

– Lewa ręka. Nie tknięta ogniem – rozważał. – Nie uważasz, że to dziwne?

Lattimer przytaknął.

– Sufit nad łóżkiem jest okopcony, jak gdyby od dużego palnika. Lustra też popękały. Klosz na lampie spłonął, a żarówka wciąż działa.

– Te materace płonęły jak diabeł. Wytwarza się okropna temperatura. Zapłon jest powolny, ale jak już raz się zacznie... – Lattimer mówił nieco bez przekonania.

– Mówiłeś, że ten facet zginął w płomieniach. Czy miałeś dokładnie to na myśli?!

– We krwi pobranej z serca nie znaleziono tlenu węgla.

– Dowód, że nie udusił się, nie uważasz?

– Do czego zmierzasz, Richard?

– To jasne, że to nie był pożar od materaca. Nie udusił się. Umarł od potwornie wysokiej temperatury. Spójrzmy na inne wyjścia. Przecież nie wszedł do

płonącego pokoju i nie położył się na łóżku.

– Znaleźliśmy nie spalone ubranie. Zwykle nikt zbliżający się do ognia nie rozbiera się do naga.

– A może to było morderstwo? Zabił dziewczynę i podłożył ogień, by zatrzeć ślady zbrodni? Mógł potem stracić kontrolę nad ogniem i sam zginąć.

– Nie znaleziono żadnych śladów podpalenia. Sprawdziliśmy pozostałości łóżka i pościeli, sadzę na ścianach. No i znowu ten fakt, że facet był goły.

– Hm. Sam wiesz, że piromania łączy się często z nadpobudliwością seksualną. Podpalacze często się nawet masturbują wpatrując w ogień...

– Richard, przecież tu nie ma znaków charakterystycznych dla działalności piromana. Jeśli masz jakąś naprawdę sensowną teorię, to może przedyskutujemy ją, zamiast fantazjować.

Dookoła nich zaczął krążyć wielki, brzydki pies. Spojrzał na Griersona, zaskamlał i pomachał ogonem. Po chwili połykał w pośpiechu resztki hot-doga.

– Czy coś ci to przypomina? Mam na myśli ofiary pożarów. Ogień płonący w tak wysokiej temperaturze, że pozostawia tłuste wypalone miejsca na małej przestrzeni?

Wytarł palce, zmiął papier i wcisnął go do pustej puszeki po coli.

Zaczął niemal recytować.

– „Kopcząca para o cuchnącej woni unosiła się w pokoju. Ciemna, tłusta warstwa pokryła ściany i sufit. Krzesła, stół i zawsze obecna butelka stały jakby

nietknięte”. Słuchaj, a o zwłokach było tak: „bezkształtna kupka, coś na kształt kawałka drewna posypanego białym popiołem”. Nie widzisz podobieństwa? Bo ja tak.

– Znam ten opis. Czytałem to kiedyś.

Lattimer przeczytał swego czasu niemal wszystko, co dotyczyło ognia. Ale słowa Griersona zawiodły go w literackich wspomnieniach daleko od dzieł fachowych – do lat studenckich.

W college’u wybrał literaturę angielską, bo nie miał innej możliwości. W ciągu dwóch lat musiał przebrnąć przez około pięćdziesiąt powieści dziewiętnastowiecznych. Niewiele zapamiętał, ale ta utkwiała mu w głowie na dobre.

– To „Bleak House”. Śmierć starego nieszczęśnika. Jak go tam zwali? Krook..

– Cieszę się, że czytacie Dickensa w Ameryce.

– Ale przecież Krook umarł z powodu... jak to się nazywało? Samoistna kremacja? – Spojrzał przy tym ostro na Griersona. Brzmiało to trochę jak niewybredny angielski dowcip. – Nie mówisz chyba serio.

– Ale to pasuje. Nie tylko do pożaru w Plaża, do innych także.

Lattimer wstał i obszedł ławkę, kładąc łokcie na jej oparciu. Patrzył w dal.

– Tak... Ale samoistna kremacja ciał ludzkich? Ponosi cię wyobraźnia. Bzdury. Co roku mamy szalone doniesienia od krewnych osób, które niby zostały ogarnięte płomieniami bez przyczyny. Sprawdzano to i

zawsze było jakieś racjonalne wytłumaczenie. – Okrążył znowu ławkę i patrzył Griersonowi prosto w twarz.

– Czy zetknąłeś się kiedykolwiek z ewidentnym przypadkiem?

– Nie, ale słyszałem, jak strażacy...

– Strażacy ciągle coś wynajdują. Są chorobliwie podejrzliwi i zabobonni jak żeglarze.

– Nie próbuję cię do tego przekonywać. Mnie to też nie mieści się w głowie. Ale znajdź coś innego, co by tak pasowało. Myślę, że powinniśmy przynajmniej trochę poszperać. Może to tylko legenda, a może...

Lattimer przypomniał sobie wypalone odciski stóp na suchej trawie na tyłach Universalu.

– Tak – zdecydował. – Warto się temu przyjrzeć.

Nagle poczuł nieodpartą chęć, by natychmiast pędzić do biura, do swojego komputera i przeanalizować dane z siedemnastu wypadków pod nowym kątem. Pomysł był może sam w sobie śmieszny, ale komputer potrafi rozwiązać wątpliwości. Jeśli uzyska potwierdzenie swoich fantastycznych domysłów... Wolał tego nie rozważać...

Spacerkiem wrócili do samochodu. Zamyśleni, nie zwrócili uwagi na wycie syren dochodzące od Amsterdam Avenue z mieszkania na Upper East Side.

Rozdział 9

„Co za cholerny szpital” – pomyślał Grierson oparty o ścianę w windzie mknącej na dwudzieste siódme piętro budynku Insillu.

Drzwi otworzyły się. Ukazał się długi biały korytarz o podłodze lśniącej białym winylem. Ciągnął się w nieskończoność. Z umieszczonych w suficie mlecznych świetlówek sączyło się przytłumione światło. Pielęgniarki w białych fartuchach, sztywnych czepkach i bezszelestnych tenisówkach popychały wózki z pacjentami, lekarze z węzami stetoskopów na szyjach krążyli tam i z powrotem, pogrążeni w fachowych, jakby się wydawało, dyskusjach. Minęło ich właśnie dwóch spieszących do windy. Grierson posłyszał:

– Nie wmawiaj mi, że rynek future też nie wiąże kapitału. Najlepiej lokować w nieruchomościach. To nic, że w transakcjach długoterminowych można uzyskać nieco więcej, ale ryzyko...

„Typowy szpital” – uznał Grierson podążający za Lattimerem ku długiej ladzie, za którą siedziało sześć dam o sztywnych twarzach. Wyglądały nieco niesamowicie w zielonkawym świetle minikomputerów. Kiedy dochodzili do lady, jedna z pielęgniarek rzuciła do mikrofonu.

– Pan Dellarobbia? – Jeden z pół tuzina mężczyzn oczekujących przy biurku wstał. – Gabinet numer siedem, proszę. Wskazała na korytarz.

– Badania lekarskie przy ubezpieczeniu od nieszczęśliwych wypadków – powiedział Lattimer. – Robimy to taniej i lepiej niż w innych szpitalach. Nie zdarzają się lipne zaświadczenia, w których pomija się na przykład kłopoty sercowe klienta.

Położył grubą teczkę i zwrócił się do jednej z recepcjonistek.

– Muszę się widzieć z Horowitzem. Natychmiast.

Zielone światło odbijało się na twarzy kobiety o wąskim nosie, identycznym jak u Meryl Streep. Na plakietce na jej topograficznie jednostajnej piersi widniało imię Chasch.

– Jest na całodniowej konferencji. Czy są panowie umówieni?

– Proszę mu powiedzieć, że jest tu Lattimer z Działu Dochodzeń. W związku ze sprawą dwieście dwadzieścia trzy. Jeśli chce potwierdzenia, to niech zadzwoni do Porterfielda.

Tylko nazwisko Porterfielda zdało się wyrzeć na niej jakieś wrażenie. Podniosła słuchawkę i, zakrywając usta, coś do niej wymamrotała.

– Dr Horowitz może poświęcić panom kilka minut. Pokój 549, poziom niżej.

Woleli zejść schodami awaryjnymi, niż czekać na windę.

Grierson zapytał:

– Kim jest ten Horowitz?

– Dyrektor do spraw medycznych. Był kiedyś

najlepszym lekarzem sądowym w Kalifornii, do momentu, kiedy Porterfield go nie podkupił. Wyliczył sobie, że lepiej mieć całą sprawę pod własną kontrolą i nie polegać na raportach policji czy korzystać z usług prywatnych laborantów.

– Jaki on jest?

Lattimer zacisnął usta.

– Nie chciałbym sprzedawać mu używanego samochodu.

Piętro dwudzieste szóste było przeznaczone przede wszystkim dla administracji. Jednak idąc wyłożonym dywanami korytarzem, Grierson zauważył na mijanych drzwiach oznaczenia dwóch laboratoriów patologii, rentgena, sali operacyjnej i wreszcie kostnicy.

Podążając za jego wzrokiem Lattimer powiedział:

– To, co zostało z naszej ofiary z Plaża jest tam. Razem z kilkoma innymi. Same ciekawe przypadki.

Horowitz miał jeszcze cieńszy nos niż siostra Chasch. Przyglądał się badawczo, jak Lattimer rozkłada stos papierów na dzielącym ich biurku. Grierson usiadł i rozejrzał się po pomieszczeniu. Horowitz dzielił upodobania DeVriesa do sztuki prymitywnej. Zbieranina azteckich figurek śledziła ich z za szyby oszklonej szafki z wielkim cyfrowym zamkiem. Horowitz był pewnie jednym z tych lekarzy, którzy z rozkoszą grzebali się w szczątkach wielkich egzotycznych nekropolii. Jego ścisły umysł gardził zabobonnymi obawami przed przekleństwami strzegącymi grobów dawnych kultur.

– Richard został tu zaproszony z Londynu. Ma mnie wspierać w dochodzeniach.

– Och, podpowiadam tylko troszeczkę – powiedział Grierson. – Jeśli jest w czym, oczywiście.

Jego świeżo nabyta tolerancja wobec Lattimera zaczęła powoli przeradzać się w sympatię, pogłębioną dzieloną z nim niechęcią do ludzi pokroju Horowitza i nie widzianego jeszcze Porterfielda.

– Słyszałem już, że mieliście kogoś wezwać. – Ciekawość zwyciężyła dystans wobec przedstawiciela wielce chwalonej przez jego zwierzchników nowej filii i zagadnął: – A jak wygląda w Londynie sprawa personelu medycznego?

Grierson wspomniał jowialnego doktora Barena z jego ukwieconymi wypielęgnowanym geranium parapetami, niechlujnymi kartotekami i Emmą Downes, jego pielęgniarką, która zawsze znajdowała czas, żeby opatrzyć skaleczony palec i była rezerwową w międzywydziałowych rozgrywkach siatkówki.

– Całkiem inaczej. Jestem oszołomiony tym, co dzisiaj widziałem.

Horowitz przyjął to jako pochlebstwo. Spojrzał na dokumenty, którymi Lattimer ostentacyjnie szeleścił.

– Dobra. Co my tu mamy?

Ku aprobachie Griersona, Lattimer nie bawił się w zbędne wstępy. Żadnych: „pomyślałem sobie...” czy „może w tym coś jest..”. By przekonać Horowitza do czegokolwiek, trzeba było ukryć wszelkie objawy

wahania.

– Samokremacja – rzucił.

Horowitz skrzywił się w złośliwym uśmiechu i spojrzał w sufit.

– Powiedz, że żartujesz.

Lattimer spojrzał na Griersona. Milczeli.

– Pasuje do faktów.

– Bzdury! Historyjka do brukowca!

– Saul, jestem równie sceptyczny jak ty. Ale opisy są uderzająco podobne. – Otworzył teczkę. – Zróbmy kilka porównań.

– Słuchaj, Lattimer. Nie wątpię, że jesteś dość cwany, by dopasować fakty do najbardziej wydumanej hipotezy, a z taką mamy tu do czynienia. Zielone ludziki z Wenus też pewnie maczały w tym świecące paluszki. Albo boska opatrność. Trzymajmy się tego, co ma chociaż niewielką dozę prawdopodobieństwa.

Grierson wtrącił cicho:

– To jest więcej, niż prawdopodobne.

Horowitz zignorował go.

Lattimer był uparty.

– Saul, nie zawracałbym ci głowy, jeśli nie miałbym przekonujących dowodów. Jeśli mnie nie wysłuchasz, to udam się dwa piętra wyżej.

Horowitz spojrzał z furią i wystukał numer.

– Czy pan Porterfield mógłby poświęcić chwilę czasu?

Piętro zarządu robiło przytłaczające wrażenie. Może

nieco słabsze niż wczoraj, ale ta luźniejsza dla Griersona atmosfera nie była bynajmniej zasługą Charlesa Masona Porterfielda.

Jego świetlisty wzrok i uśmiech na zamówienie były wyjęte żywcem z plakatu prezentującego modelowego człowieka sukcesu lub businessmana z perspektywami. Podobnie jego strój – biała, wykrochmalona koszula, gładki, szary garnitur, który nosił niczym mundur skrojony przez renomowanego krawca.

Dzięki opaleniznie z Hawajów i wiosłowaniu w Savile wyglądał zdrowo, pewnie i nonszalancko. Grierson widział w nim twardego, bezwzględnego faceta, który manipulował wielkimi spółkami i korporacjami tak swobodnie jak dobry hazardzista z przedmieść New Jersey obstawiający dwudolarowy zakład.

Przywitał ich uśmiechem.

– O, Bill i Saul!

– Zapewne nie zna pan jeszcze Richarda Griersona z Londynu – przedstawił Lattimer.

Uścisk Porterfielda był zimny, wyważony do perfekcji. Wyrażał akceptację i dystans.

– Cieszę się, że obydwie części Insillu będą razem nad tym pracować. Wiele spodziewamy się po was, Europejczykach.

– To może nie trzeba było zwolnić nas tyłu na samym wstępie?

Grierson niemal czuł, jak za jego plecami Lattimer i Horowitz wstrzymali oddechy. Porterfieldowi nawet nie

drgnęła powieka.

– Wiem, że jest to przeważająca opinia. Cięcia były jednak niezbędne. Ale zobaczymy, jakimi wynikami zakończy się ten rok. Dobrze. A więc, dżentelmeni, z czym do mnie przychodzicie?

Lattimer zaczął.

– Myślę, że wiemy już o co chodzi w sprawie 223.

Porterfield milczał, więc Lattimer kontynuował.

– Słyszał pan zapewne o pewnym zjawisku znanym od dawna. Obserwowano je już w czasach rzymskich, o ile można wierzyć tak dawnym doniesieniom. Nazywa się to samoistna kremacja. W skrócie polega ono na tym, że w pewnych warunkach ciało ludzkie może samo z siebie zacząć płonąć niczym wilgotne siano lub inne substancje pochodzenia organicznego.

Na twarzy Porterfielda pojawił się wyraz uprzejmego zainteresowania.

– W czasach wiktoriańskich wierzono w to powszechnie. Uważano, że przyczyną jest sprężenie we wnętrzościach łatwopalnych gazów powstających po spożyciu dużych ilości alkoholu. To oczywiście nonsens. Udowodnił to dziewiętnastowieczny chemik, baron Justus von Lieberg, poprzez serię eksperymentów z wycinkami ze zwłok ludzkich nasyconymi alkoholem. Od tego czasu medycyna nie zajmowała się zjawiskiem SK. Ale wiara w nie jest zadziwiająco powszechna.

Horowitz pogardliwie parsknął dając do zrozumienia, jakie jest jego osobiste zdanie o całej sprawie. Lattimer

nie zważał na niego i zaczął szperać w dokumentach.

– Mam tu wyciąg z kilku niedawnych wypadków, które można podciągnąć pod SK.

Porterfield podniósł do oczu pierwszą kartkę.

Nad drukowanym tekstem umieszczono fotografię. Pokazywała ona męską stopę i część zwęglonej nogi, leżącą na podłodze w łazience, obok dziury o szerniałych brzegach.

Lattimer objaśniał.

– To dr James Spencer, pięćdziesięcioletni emerytowany lekarz z Coudersport w Pensylwani. Ta kończyna i garstka popiołu to wszystko, co z niego zostało. Ciało płonęło tak gwałtownie, że spadło przez wypaloną dziurę do piwnicy...

Wyrwał mu kartkę i wcisnął inną.

– A to z angielskiej gazety. Ofiarą była sześćdziesięciosiedmioletnia kobieta z Hammersmith w Londynie. W nocy piętnastego stycznia 1958 roku, siedząc z wnuczką i zięciem przed telewizorem, nagle zaczęła się palić. W niewiarygodnie krótkim czasie został tylko popiół i prawa dłoń.

Lattimer wyciągnął trzecią fotografię. Był na niej starszy mężczyzna w okularach siedzący w fotelu. Lewy rękaw jego koszuli był w połowie podpięty.

– A to rzadki przypadek SK, w którym ofiara przeżyła. To akwizytor z Georgii. Przed wypadkiem był idealnie zdrowy. Podróżował sam w wagonie sypialnym. Jego krzyki zaalarmowały obsługę. Kiedy go znaleźli,

miął poważnie poparzoną klatkę piersiową, uszkodzony rdzeń kręgowy, a lewe ramię wymagało amputacji.

– Kiedy to było? – zapytał Porterfield – W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym.

– Czy żyje?

– Nasi ludzie z Atlanty właśnie go szukają.

– Sprawa 223 obejmuje... co? szesnaście pożarów?

– Siedemnaście, licząc Universal.

– Siedemnaście podejrzanych pożarów, które są niewątpliwie wynikiem podpalenia, a przyczyny nie da się ustalić. Sądzicie, że wszystkie były spowodowane przez płonących ludzi?

– Próbujemy jedynie wskazać, że ślady pasują idealnie do przypadków SK. Ciało w Plaża płonęło tak intensywnie, że nie pozostało prawie nic poza dziwnym kształtem z popiołu i sadzy. Temperatura płomieni, pokryte tłustą sadzą ściany, ocalały fragment ciała...

– Plaża? Być może. A co z Wright – McClintick?

Grierson przypomniał sobie pożar w rafinerii Wright – McClintick. Mówiono o tym nawet w dzienniku BBC. Chmury czarnego dymu z płonących zbiorników składu ropy rozprzestrzeniały się nad Teksasem i zanieczyściły atmosferę trzech stanów.

– W takim miejscu wystarczy pojedyncza iskra – powiedział Grierson. – Biegnąca ofiara SK stanowi ruchomą pochodnię.

– Jeden z naocznych świadków zeznał, że widział kogoś tuż przed pożarem, ale wtedy nie uważałem tego za

coś istotnego. To samo w Universalu. Umiejscowienie ognisk było charakterystyczne i bezplanowe, tak mógł przemieszczać się oszalały z bólu człowiek. Odrzuciłem tę myśl, była zbyt fantastyczna.

– Pierwsza mądra rzecz, którą wygłosiłeś, odkąd jesteśmy w tym pokoju – wtrącił zgryźliwie Saul Horowitz. Zwrócił się do Portefielda: – Dość tego! Myślę, że ze względu na swoje doświadczenie i pozycję w Insillu mogę wyrazić swoją opinię, panie Porterfield. Nie wierzę w ani jedno słowo, które tu padło. Płacicie mi sporo forsy, w zamian staram się jak najlepiej dbać o wasze interesy. Nie mogę dłużej tego wysłuchiwać. O co mi chodzi? Nie tylko o bezpodstawność całej teorii – stek bzdur. Lattimer wysmażył całą historyjkę, by umyć łapki i uwolnić się od odpowiedzialności. Siły nadprzyrodzone, też coś. Po prostu nie może dociec, co spowodowało te pożary i uchwycił się sztuczek z połykaczami ognia. Zaraz zacznie gadkę o poltergeistach i deszczu żab. Jeśli dalej będziemy wchodzić w działkę Andersena, to nigdy nie dojdziemy prawdy. I ja, a nie kto inny, będę musiał tłumaczyć się przed udziałowcami z wielomilionowych strat. Ciekawe, czy gładko przełkną, że ich pieniądze pochłonęło jakieś tere fere.

Rozdział 10

Grierson obserwował zwiężające się oczy Porterfielda i wiedział, że Horowitz popełnił błąd taktyczny.

– Udziałowcy to mój problem, Saul. Jeśli masz jakieś uwagi z dziedziny medycyny, to proszę, słuchamy.

– Uwagi medyczne? Dobrze. Pierwsza i najważniejsza. Skąd ta pewność, że SK w ogóle istnieje?

Lattimer podsunął mu pod nos fotografie. Horowitz odepchnął je niecierpliwie.

– Czy któryś z was wie, ile czasu potrzeba, żeby spalić zwłoki w piecu krematoryjnym? Cztery godziny. Najpierw płoną przez dziewięćdziesiąt minut w temperaturze tysiąca dwustu sześćdziesięciu stopni. Potem czeka się jeszcze sto pięćdziesiąt minut w tysiącu stopni. I nawet wtedy trzeba ręcznie kruszyć pozostałe fragmenty kości. I wy pytacie, czy jest możliwe, aby człowiek sam z siebie chemicznie wytworzył dość ciepła, by unicestwić mięso, płyny i kości? W sekundy, a nie godziny? Niemożliwe!

– A jednak coś te ciała spaliło – rzeki Porterfield – Chyba nie sugerujesz, że raporty są naciągane, prawda?

Horowitz energicznie pokręcił głową.

– Nie. Ale de odczytanie objawów, pominięcia w obserwacjach, błędy eksperta medycznego lub niewprawnego śledczego... Słuchajcie. To się zdarza. Na przykład w wypadku z Georgii. Takie coś było już

opisywane. Tutaj lekarze uważają, że przyczyną mogło być nadużycie balsamu na reumatyzm na bazie siarki. A siarka płonie jak napalm, o ile wiecie. Może staruszek upuścił papierosa na obicie fotela i przysnął. Starsi ludzie często są nieostrożni.

– Dobrze – powiedział Grierson. – Uznajemy, że dziesięć procent tych przypadków możemy przypisać łatwopalnym płynom do wcierania z siarką lub czymś podobnym. A co z resztą? Jakie byłoby logiczne rozwiązanie?

Horowitz kontynuował.

– Statystycy mylą się tym razem. Mylą zjawisko zachodzące w małej grupie z epidemią. Wyobraźcie sobie, że zanotowano poważny wzrost zachorowań na choroby dróg oddechowych w Walii. Pewnie okazałoby się, że dotyczy to jedynie górników. Ale wasze tak zwane przypadki SK w większości obejmują osoby starsze. Starzy ludzie często ulegają wypadkom. Zasypiają, zapala się na nich ubranie. Ogień się rozprzestrzenia, temperatura rośnie, aż płomień ogarniają całe ciało. Tkanka tłuszczowa płonie... i mamy rezultaty takie jak w tych waszych wycinkach prasowych. I nic w tym wszystkim dziwnego. Po prostu igracie ze statystyką, a tu trzeba spojrzenia bardziej kompleksowego.

Lattimer zapytał:

– A jak wyjaśnisz zeznania świadków, którzy widzieli, jak ofiary dosłownie wybuchały płomieniami?

– Czytałem już relację o latających spodkach i

zielonych ludzikach – ciągnął złośliwie. – Świat jest pełen wariatów.

– Kiedy byłem młodszy, wyśmiewałem się z doniesień o piorunach kulistych – powiedział Grierson. – Teraz to zjawisko zostało dokładnie zbadane i opisane. Jack i ja nie chcemy, żebyś uwierzył w coś niezwykłego lub wręcz paranormalnego. Pragniemy jedynie, byś uznał za rzadkie zjawisko naukowe, że ciało ludzkie może jednak zapalić się samoistnie. Czy to takie nie do przyjęcia? Wilgotne siano, mokre ładunki ziarna raz po raz płoną. Czemu nie ciało?

– Przede wszystkim, ciało ludzkie bardzo się różni od siana. Stogi zapalają się w wyniku prostego procesu chemicznego. Wnętrze stogu fermentuje, emituje ciepło, a otaczająca je warstwa działa jak izolator termiczny. Ciepło nie może się wydostać, temperatura narasta i... I już.

Horowitz poklepał się po klatce piersiowej.

– A teraz spróbujcie zrobić to samo z człowiekiem. Załóżmy, że jakiś tajemniczy proces podgrzeje limfę. Wiecie, co się najpierw stanie? Padniecie trupem. W temperaturze sześćdziesięciu stopni Celsjusza wszelkie czynności życiowe zanikają. Aby zapalić się, martwe ciało musiałoby dalej produkować ciepło do osiągnięcia punktu zapłonu – czterystu do pięciuset stopni. A wy opowiadacie o kobietach i mężczyznach biegających i podpalających wszystko, co się da. Może podejmiecie się wyjaśnienia, jak ciało może wytworzyć taką temperaturę i

nie obumrzeć?

Lattimer odezwał się.

– Może to rodzaj gwałtownej reakcji chemicznej, a paliwem są najpierw jakieś mniej ważne organy?

– Hm... – Horowitz zachichotał. – A krew obraca się we wrzący bourbon.

Spojrzał na Porterfielda.

– Panie Porterfield, to tylko strata czasu.

Grierson wyciągnął jeszcze jedną kartkę.

– Kazałem komputerowi wyszukać wszelkie materiały związane z SK. Dostałem to. – Podsunął Horowitzowi.

W czasie kiedy ten czytał, Grierson zwrócił się do Porterfielda.

– To raport brytyjskiego naukowca zajmującego się bezbakteryjnym zwyrodnieniem kości, chorobą nurków pracujących na dużych głębokościach. Uważa on, że bąbelki gazu, które to powodują, są wynikiem rozszczepienia jąder atomów w ciele, przebiegającym w postaci serii miniwybuchów atomowych. Cały proces zasilany jest małymi dawkami uranu dwieście trzydzieści osiem, który każdy ma w kościach.

Grierson uśmiechnął się.

– Idea SK staje się więc prawdopodobna.

Porterfield zwrócił się od Horowitza.

– Saul, czy rzeczywiście mamy w ciele uran?

Horowitz wzruszył ramionami.

– Oczywiście. Śladowe ilości. Jeden z wielu metali

ciężkich.

Położył raport.

– Muszę to przeczytać dokładniej. Ale co to ma do diabła wspólnego z tymi wypadkami? Wydaje mi się, że Dział Dochodzeń nie zajdzie daleko, zabawiając się w fizyków jądrowych.

Porterfield zmarszczył brwi.

– Nie widzę powodu, żeby wątpić w dobre intencje Jacka czy... hm... Richarda, Saul. – Spojrzał na Lattimera.

– Ale wciąż zastanawia mnie... Czy powinienem wierzyć... jak to nazwaliście?... w samoistną kremację. – Podniósł garść dokumentów. – Mamy jednak prawie tuzin przypadków tego zjawiska w ciągu ostatnich stu lat. Z drugiej strony, czy to możliwe, żeby dalszych siedemnaście miało miejsce w ciągu kilku miesięcy?

– Może to jakaś plaga? – spekulował Lattimer. – Mutacja jakiegoś wirusa? Opryszczka była rzadką chorobą do 1980 roku. O AIDS też mało kto słyszał. A teraz każdy dzieciak z podstawówki potrafi opisać objawy.

– Ale choroba, która powoduje, że ciało zaczyna płonąć? – Porterfield skrzywił się. – Byłoby więcej świadków, osób, które przeżyły. Wiem, że ludzie unikają rozgłosu w takich sprawach, ale ktokolwiek by takie coś zauważył, musiałby przynajmniej wezwać straż pożarną.

Lattimer rozłożył ręce.

– Może potrzebny jest jakiś specjalny warunek, któremu muszą towarzyszyć określone okoliczności.

Przypomnijcie sobie chorobę legionistów. Nikt nie mógł dociec, skąd to się brało.

Choroba legionistów była klasycznym przypadkiem takiej tajemniczej infekcji. W czerwcu 1978 roku sto osiemdziesiąt dwie osoby, które bywały lub miały jakiś przelotny kontakt z Amerykańskim Klubem Legionistów w Hotelu Bellevue Stratford w Pensylwanii, zapadały na ciężką dolegliwość dróg oddechowych, podobną do zapalenia płuc. Dwadzieścia dziewięć osób zmarło. Choroba była niezakaźna, nikt kolejny nie zaraził się od innej ofiary, wszyscy „łapali” ją gdzieś w hotelu lub w jego bezpośrednim otoczeniu. Eksperci w końcu wyśledzili rzadki szczep bakterii w baterii do chłodzenia wody, skąd krążyły one po rurach budynku i systemie klimatyzacji. Trzeba było pięciomiesięcznych badań, by wyodrębnić samą bakterię.

– Nie sędzę, żeby było to przypadkowe – powiedział cicho Grierson.

Porterfield skupił się dla odmiany na nim – Nic nie wskazuje, aby w naszym przypadku istniała jakaś naturalna przyczyna w postaci na przykład infekcji.

Położył ręce na dokumentacji sprawy 223.

– Byłoby to potworne. Weźmy sam przebieg tych pożarów.

Nawet Horowitz wyglądał na zainteresowanego.

– Opracowałeś już przebieg?

– Jeszcze nie. Ale jesteśmy blisko. Czuję to.

Lattimer rzucił Griersonowi ostre spojrzenie. Sytuacja

była nieciekawa i na pewno nie pomogłoby, gdy Porterfield uznał, że jego partner jest szalony.

– Myślę, że... – zaczął Grierson.

– Myślę! – przerwał Horowitz. – Dość już tego myślenia.

Lattimer popatrzył w stronę Porterfielda, oczekując pomocy. Przewodniczący uciszył Horowitza jednym ruchem ręki.

– Chcę posłuchać obydwu stron, Saul.

– Nasze przypuszczenia... – Grierson kontynuował zmęczonym głosem – opierają się na fakcie, że to musiały być podpalenia. Możliwe, że ktoś zgłębił sekret procesów SK i używa go do swoich zbrodniczych celów. Pożary inicjowane przez ludzkie miotacze ognia.

Porterfield spojrział na Horowitza.

– Saul?

– To bujdy, panie Porterfield! Nie ma dowodów, że SK istnieje, zrozumcie to wreszcie, po co więc rozważać, czy można ją skutecznie wywołać.

A jeśli chodzi o grupę samobójczych kamikadze, wysmarowanych czymś łatwopalnym i ochoczo podpalających się, by spowodować straty Insillu, to wybaczcie, ale nie będę się ośmieszał. Ta wasza teoria i tak ma dziury. Pożar w Plaża, na przykład. Jeśli ta dziewczyna, która leży na moim piętrze, była podpalaczką, to czemu by wciągała w to przedstawiciela Amtrak ze Stockton? I to w najlepiej zabezpieczonym przed pożarami hotelu w Nowym Jorku? Chyba nie dla

odszkodowania. Jego polisa wygasła dwa lata temu.

– Nie mówię, że mamy odpowiedź na wszystko – Grierson udawał grzeczność. – Ale jest oczywiste, że te pożary łączą się ze sobą. Tym ogniwem jest podpalenie. Podpalaczowi udało się w jakiś sposób opracować metodę, która uniemożliwia udowodnienie czegokolwiek. Może to nie jest SK. Ale od tego można zacząć.

Porterfield spojrział na dokumenty. Lewą ręką obracał nerwowo pierścień na prawej dłoni. Grierson zwrócił uwagę na wzór – wąż połykający swój ogon.

– Nie wiem – powiedział w końcu. – Najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie może okazać się bzdurą. W każdym razie to wszystko, co w tej chwili mamy. Wy dwaj zaczniecie badać to od góry do dołu. Jeśli nic z tego nie wyniknie, to spotkamy się znowu.

Biuro Lattimera nie było urządzone z takim przepychem jak pokoje jego szefów, ale Grierson czuł się tutaj jak w domu. Rozejrzał się z aprobatą po nielicznych, skromnych meblach, wysokich aż po sufit stertach czasopism technicznych i książek, pamiątkach – na ścianach wisiała oprawiona strona z „New York Timesa” z wielkim nagłówkiem: „Podpalenie przyczyną pożaru szpitala – Detektyw Towarzystwa Ubezpieczeniowego przyjmuje gratulacje Burmistrza”.

– Rada Miejska Londynu nigdy nie pofatygowała się z jakimiś gratulacjami.

– To był szpital publiczny. Opozycja zrobiła z tego w

ostatnich wyborach kij na burmistrza. Miasto nie wyposażyło budynku w odpowiednie zabezpieczenia i tym podobne. Rozpętała się wokół tego cała burza. A obiekt miał znaczenie dla miasta. Jeśli by nie było tego szpitala, to wszyscy narkomani i alkoholicy musieliby być umieszczeni w hotelach. Czyli sprawa gardłowa. Słuchaj – Lattimer położył rękę na telefonie. – Chciałbym zadzwonić do dzieciaka...

– Właśnie miałem iść po gazetę.

– Stoisko jest w hallu na dole.

Idąc do drzwi, zdążył zobaczyć, jak Lattimer pośpiesznie podniósł słuchawkę i wystukał numer. Miał na twarzy ten szczególny wyraz, jaki znał ze swojej, kiedy Peter spóźniał się ze szkoły. Gdyby się wiedziało, ile dzieci kosztują, nie pieniędzy jednak, a strachu, czy ktokolwiek by się na nie decydował? Skurcz serca, którego doznał na myśl o synku, dał mu odpowiedź.

Na stoisku z gazetami znalazł „Guardiana” sprzed trzech dni – numer, który zapewne dostarczono mu pod drzwi w dniu, kiedy wyjechał do Nowego Jorku. Kupił także „New York Post”, ale bardziej był ciekawy doniesień z angielskiej gazety. Ruszył do windy.

Lattimer skończył już rozmowę.

– Powiedziałem, że przyjadę na godzinę lub dwie. Jeśli zostawię ci wszystkie akta...

– Nie przejmuj się. Mam mnóstwo zajęć. Chcesz przejrzeć gazetę?

Lattimer rozłożył ją na biurku i nagle rzucił cicho:

– Do diabła!

Całą pierwszą stronę zajmowała wielka fotografia.

Pokazywała ona poczerniałą łazienkę. W centrum było widać stojak z prysznicem. Na podłodze leżał podłużny kształt, podobny do kłody zwęglonego drewna. Nagłówek głosił: „Mężczyzna spalił się pod prysznicem – patrz strona 3”.

Lattimer z pośpiechu oderwał róg gazety.

„Policja odmawia ujawnienia szczegółów potwornego wypadku, który wydarzył się dzisiaj rano w mieszkaniu 117 przy Dziewięćdziesiątej Wschodniej na Upper East Side w Nowym Jorku. Ofiarę, której jeszcze nie zidentyfikowano, znaleziono pod prysznicem. Przypuszcza się, że odkręcił go, by zgasić płomienie ogarniające jego ciało. W mieszkaniu były w czasie wypadku jeszcze dwie kobiety, jedna z nich jest dotkliwie poparzona...”

Lattimer już wystukiwał numer. Grierson uważnie się wczytywał w tekst. Słuchał równocześnie, jak jego kolega ciska się przy aparacie, klnie, kłamie, płaczkliwie błaga, straszy i zgrywa się, otwierając im drogę do niezbędnych informacji.

– No! – powiedział w końcu zaglądając do notesu. – Facet nazywał się Adam Goldman. Pracował w agencji ogłoszeniowej. Mieszkanie należy do Carol Woollcott. Pracuje w tej samej agencji. Maszynistka. Nie wiedzą nic o trzeciej osobie. Jakaś dziewczyna w każdym razie. Jest w złym stanie i najprawdopodobniej nie wyjdzie z tego.

Woolcott miała szczęście. Lekkie zatrucie dymem i szok. Chcą ją oskarżyć o morderstwo.

– Miałaby ich podpalić? – Grierson był rozczarowany.

– Właśnie to próbują udowodnić. Kłótnia kochanków. Jedna dziewczyna zazdrosna o drugą oblewa swojego chłopaka i rywalkę benzyną i podpala zapałkami. Ale mają z tym problem Nie znaleźli w mieszkaniu ani śladu jakiegoś płynu łatwopalnego. Poza tym oparzenia dziewczyny nie wyglądają na powstałe od płomienia substancji chemicznej, ale od bezpośredniego zetknięcia z otwartym ogniem.

Lattimer upchał dokumenty pod ramię i sięgnął po płaszcz.

– Pewnie chcesz usłyszeć najlepsze? Otóż zanim ta dziewczyna straciła przytomność, zdążyła powiedzieć, że Goldman dosłownie trysnął płomieniami. W jej ramionach. Właśnie razem brali prysznic. Może nie będziesz musiał siedzieć tu całe dziesięć dni.

Kiedyś tam w przyszłości przypomniał sobie swoje słowa i uznał je za ironię losu.

Rozdział 11

- Hydro Carb punkt do góry.
- Dobrze.
- Eastern Hotels ćwierć do góry.
- Hm...
- Computech jeden w dół.
- W dół? – Tony Mantegna wyjął z ust romeo y juliett tak gwałtownie, że popiół opadł mu na zmierzwione włosy porastające klatkę piersiową i posypał białym pyłkiem złoty medalion z wizerunkiem pary w uścisku. – Co u diabła ma znaczyć ten spadek?

Mimo kiepskiej słyszalności w słuchawce telefonu na jego luksusowym jachcie wyczuł w głosie swojego brokera strach.

– Krążą plotki, że Ruskin ma odejść. Bez niego nie są wiele warci.

– Mówiłeś, że ten kontrakt Transair, który przejęli, ma dać im ponad trzydzieści osiem dolarów na akcję.

– Mieli już potwierdzenie. Gdyby nie ten Ruskin, dostaliby go. Wiesz, jak to jest Późnym popołudniem w piątek kurs jest stały, a przed poranną kawą w poniedziałek z byle powodu leci na łeb.

Mantegna spojrział na lśniącą powierzchnię Pacyfiku. Przy dobrej widoczności, o ile taka w ogóle się zdarzała w Kalifornii, mógłby stąd zobaczyć brzydką betonową konstrukcję Santa Clara Valley, która sprawiała mu tyle

kłopotów.

– Czy Ruskin naprawdę odchodzi?

– Mówi się, że dostał ciekawą propozycję.

– Od kogo?

– Od szmacciarzy z Synapse. Ruskin już sporo z nimi pracował.

Mantegna zasłonił mikrofon.

– Niech ktoś przyniesie mi pióro i papier – rzucił.

Drzwi kabiny otworzyły się. Dziewczyna, która przyniosła pióro i notes, była naga i na jej ciele, poza utlenionym kokiem na czubku głowy, nie było ani włoska. Różowe spojenie jej ud było delikatne jak u dziecka, wrażenie pogłębiała warstewka oliwy błyszcząca na jej skórze.

– Lester chce wiedzieć, czy długo jeszcze.

– Pięć minut. – Uśmiechnął się do dziewczyny. – Pilnuj, żeby nie ostygło, kochanie.

Przesłała mu pocałunek i odwróciła się do wyjścia. Jego oczy śledziły wysmarowane, opalone pośladki. Odkrył mikrofon.

– OK. Jak się nazywają? Skąd są?

Minutę później wyszedł na zalany słońcem pokład. Na środku rozłożony był duży, żółty dmuchany materac. Leżały na nim dwie dziewczyny – farbowane blondynki, równo opalone na miodowy kolor, zagłębienia pach i wzgórki łonowe starannie pozbawione włosów. Dwie żywe lalki. Barbie spod jednej sztancy.

Mantegna wyrzucił resztę cygara i obszedł materac

krytycznie się przyglądając.

– Więcej oliwy.

Kiedy jedna z dziewczyn rozlewała srebrny strumyk oliwki dla dzieci na plecach swojej koleżanki, Mantegna oglądał dużą kamerę video 3/4 Song Umatio. Umocowana była w uchwytach, które normalnie powinny podtrzymywać wędki.

– Jesteście gotowi?

Lester Noyce oderwał się od wizjera. Opuścił przydymione szkła na soczewki swoich okularów w rogowych oprawkach. Wyleciał ongiś z CBS. Był tam jednym z lepszych kamerzystów. Znaleźli u niego po zdjęciach w Kambodży sześć porcji heroiny. Został więc najlepszym specem od filmów video. Video Unlimited Mantegny dobrze opłacało jego usługi.

– Ja jestem gotowy. Ty chyba też. – Spojrzał na dwie dziewczyny ślizgające się w jeziorkach oliwki. – One już od dawna. Czekam tylko na naszą gwiazdę.

Mantegna wspiął się po drabinie na górny pokład. Wielki, czarny mężczyzna ubrany był tylko w obcięte jeansy i miał fantazyjnie podgoloną głowę. Spał siedząc na kapitańskim krześle z wysokim oparciem. Stopy oparł na desce rozdzielczej.

– Dobra, Sledge. Czas na show. Wyjmij go i zrób, żeby stanął.

Sledge leniwie zlazł na dół. Z lekką nonszalancją urodzonego profesjonalisty rozpiął suwak spodenek i upuścił je na pokład Jego penis wyglądał niczym zmięty

ogórek. Stał w rozkroku i obserwował dziewczyny.

– Gdzie mam to zrobić?

Myśli Mantegny wciąż krążyły wokół lśniących pośladków ociupinkę szczuplejszej dziewczyny.

– Jak masz na imię, kochanie?

– Cinnamon...

– Cinnamon, pozwól, że streszczę ci akcję.

Usiadł koło niej.

Poczuł znany dreszcz. Między nim, a dziewczyną musiało być jakieś pokrewieństwo dusz. Zawsze dobrze mu szło z kobietami. Trochę pomagał mu wygląd, ale takich jak on, dobiegających do czterdziestki Al Pacinów było na pęczki. Mało któremu udawało się jednak tak łatwo jak Mantegnie.

To co Björn Borg robił z piłką tenisową, a Johnny Miller z kijem golfowym, Mantegna mógł osiągnąć igrając z kobietami. Był naturalny. Był też zawodowcem. Kobiety nie tylko go pragnęły. Ufały mu. Tych swoich zdolności używał w zimny i wyrachowany sposób.

– Sledge gra faceta z Mafii – szeptał do natłuszczonej dziewczyny. – Jeśli go nie zadowolisz, to złamię ci kark i wyrzuci za burtę. Z twoją siostrą to samo. Musicie naprawdę się postarać.

Spojrzał na Sledge'a. Ciepłe słońce i naoliwione ciała robiły swoje. Ogórek przybrał rozmiary palki policyjnej.

– Dobra, przygotować się. I Sledge... – przyciągnął czarnego do siebie i wyszeptał mu do ucha: – To ma być do naszej Serii Specjalnej. Dostaniesz jeszcze dwieście,

jeśli pokażesz coś niezwykłego. Rozumiesz? Chcę słyszeć, jak wrzeszczą.

Sledge uśmiechnął się i rzucił na materac całkiem ochoczo.

– No, panienki. Co powiecie?

– Zabawimy się troszkę, nie?

Mantegna usiadł koło kamery i obserwował, jak taśma się powoli przesuwa.

Słońce już zachodziło, gdy jacht wpływał do przystani. Lester znosił swój sprzęt do sfatygowanego japońskiego jeepa, a Mantegna udał się do kabiny.

Dziewczyna, która kazała mówić do siebie Cinnamon, jeszcze płakała. Oparła się na ramieniu koleżanki i szlochała. Łzy wypływały nieprzerwaną strugą z czarnych zagłębień, z których ledwie było widać oczy. Opalenizna wyglądała groteskowo, przebijała przez nią szarość przerażenia.

Mantegna wyłuskał dwieście dolarów i wręczył Sledge'owi.

Czarnuch wetknął je za pas spodenek.

– To do zobaczenia, psze pana.

Przelazł przez burtę i udał się do wypolerowanego royce'a. Za kierownicą siedziała biała, trzydziestoparoletnia kobieta, odziana w taką masę rekwizytów od Halstona, Gucciego, Jaurdana i Yves St Laurenta, że można by wyposażyć cały butik przy Rodeo Drive. Patrzyła na Sledge'a z uwielbieniem Cinnamon wciąż wypłakiwała się na ramieniu drugiej dziewczyny.

W jeansach i krótkich koszulkach wyglądały na dwie siedemnastolatki, które uciekły ze szkoły w Boise w Indianie. I była to całkowita prawda. Chciały zakosztować prawdziwego życia.

Ale dzisiaj poznały nieco więcej, niż oczekiwały.

Jeśli były inteligentne, powinny wyciągnąć odpowiednie wnioski.

Tony wyciągnął cztery banknoty z grubego zwitka, zastanowił się i dodał jeszcze jeden. Wręczył je drugiej dziewczynie, która wpatrywała się w niego bez słowa.

– Nic jej nie będzie – uspokajał. – Wydobrzeje za dzień lub dwa.

Obserwował, jak wlokły się pomostem do dziesięcioletniego czerwonego mustanga z oderwanym zderzakiem i wielką nalepką: „Jeśli to lubisz, to do dzieła!”.

Tony Mantegna uśmiechnął się. On to naprawdę lubił. Sledge też. I klienci Commaiseurs Club jego Video Unlimited, którzy płacili tysiąc dolarów wpisowego i po dwieście za każdy film nakręcony na łodzi. Tyle osób miało być dzisiaj zadowolonych, Cinnamon może trochę mniej, ale dodatek specjalny powinien szybko ukoić jej żale.

Mantegna już dawno wyrobił sobie własną filozofię. W życiu jest jak w starym żołnierskim skeczu. Jednego z rekrutów wkłada się do beczki i turla ku uciesze kolegów. Każdego dnia jest to ktoś inny. Tylko że zawsze może się okazać, że teraz twoja kolej. Nigdy wszyscy nie mogą być

zadowoleni, zawsze ktoś ponosi pewne koszty szczęścia innych.

Znowu zaśmiał się w duchu. Właściwie to niezły temat na film. Trzeba to zanotować...

Przypomniała mu się karta w tylnej kieszeni spodni. Wyciągnął i przeczytał: „Synapse. South San Antonio Road”.

O dziwo, automat na końcu mola nie był zepsuty. Wykręcił kierunkowy do Nowego Jorku i potem numer, którego nigdy nie zapisywał i nie dzwonił po niego do domu. Przez minutę wsłuchiwał się w monotony sygnał. Trudno. Może poczekać.

Szedł przed siebie, ściskając w rękę cenną taśmę z dzisiejszego seansu.

Zastanawiał się, czy by nie zadzwonić do kilku przyjaciół, nie otworzyć skrzynki Courvoisiera i nie zrobić małego przyjęcia z okazji ukończenia nowego filmu. Idąc pogwizdywał. Był szczupły, ciemny, odziany w kosztowne obcisłe spodnie i jedwabną koszulę. Podążał ku swojemu czarnemu porsche targa z tabliczką MRVUDEO. Samochód był specjalnie wyposażony w różne pomocne urządzenia i skrytki. W jednej z nich spoczywał naładowany Army Colt 45.

Mantegna nie miał słuchu. Trzeba było mieć nie lada wprawę, by rozpoznać melodię „My Way”.

Kapitan okręgu nazywał się Pavlovich. Lattimer znał go z innych spraw. Ale Pavlovich nie był zbyt skory do

pomocy. Nerwowy, chudy człowieczyna z męczącym tikiem lewej powieki siedział za zawalonym papierami biurkiem i ledwie raczył zwracać na nich uwagę.

– Jack, wyznaczyłem już kogoś do tej sprawy – powiedział nie podnosząc wzroku.

– Gdzie go znajdę?

Spojrzał gdzieś w przestrzeń nad nimi. Pomieszczenie wypełniał kłębiący się tłum skutych gwałcicieli, opuszczonych mężów, prostytutek, handlarzy kokainą i policjantów.

– Kto zajmuje się pożarem na Wschodniej Dziewięćdziesiątej?

– O’Flannery – odkrzyknął ktoś.

– Daj go tutaj.

– Jest w sądzie.

– Jutro – rzucił Pavlovich.

– Możemy rozejrzeć się po mieszkaniu? Pogadać z tymi, co przeżyli.

– Tą. Druga dziewczyna właśnie zmarła.

– Cholera – wyszeptał Lattimer. – Więc czy możemy porozmawiać z Carol Woollcott?

– Jest podejrzana o morderstwo, Jack.

Grierson spojrzał pytająco. Lattimer pośpieszył z wyjaśnieniem – Jeśli ktoś poza jej adwokatem będzie próbował coś z niej wyciągnąć, to będzie to uznanie za naruszenie prawa.

Pavlovich powiedział:

– To prawda. Złapcie jej adwokata lub zdobądźcie

nakaz.

– Trzymacie ją pod zarzutem morderstwa tej pary? – zapytał Grierson.

– Właśnie tak.

– A co z zeznaniem tej zmarłej dziewczyny, że Goldman sam się zapalił, gdy kąpali się razem?

Pavlovich zerwał się z krzesła.

– Jak do diabła...!?! – Potarł dłonią łysą czaszkę. – Nie, nie chcę wiedzieć, skąd się tego dowiedzieliście. Zrozumcie jednak, ta dziewczyna konała w męczarniach, majaczyła.

– A co, jeśli zapewniłbym, że mówiła prawdę. I mógłbym to udowodnić?

Po raz pierwszy Pavlovich słuchał ich z uwagą. Gliniarz spojrzał na Lattimera.

– Czy on jest normalny?

Lattimer przytaknął.

Grierson szybko kontynuował.

– Możemy zaraz to wyjaśnić. Oczyszczyć Carol Woolcott, uwolnić pana od tej sprawy. Ale musimy wejść do mieszkania.

– Jak ktokolwiek lub cokolwiek może spalić się pod odkręconym prysznicem?

– Niech nam pan da dwadzieścia cztery godziny, a wyjaśnimy wszystko. Już to powiedziałem.

Pavlovich westchnął i sięgnął po notes. Naskrobał parę słów i przesunął po biurku do Lattimera.

– Zmiatajcie stąd. Pokażcie to strażnikowi. Nie

próbujcie niczego dotykać.

Grierson nadal naciskał.

– Musimy też pogadać z dziewczyną.

– Jeszcze nie.

– Nie rozumie pan? – Grierson uniósł się. – To ma zasadnicze znaczenie.

Pavlovich już sięgał z powrotem po kartkę. Lattimer zreflektował się w porę i schował ją prędko.

– Dziękujemy kapitanie. Odwdzięczę się. – Chwycił Griersona za rękaw. – Chodźmy stąd.

W drodze powrotnej do samochodu powiedział do Griersona:

– Powinieneś nauczyć się trochę o amerykańskim sposobie prowadzenia interesów, Richard. Najpierw wymyślasz Porterfieldowi za zwolnienie twoich kumpli. Teraz gotów byłeś skoczyć do gardła kapitanowi policji. Tą metodą nic nie załatwisz. Nie jesteś Philipem Marlowe'em.

– Mamy czego chcieliśmy, czyż nie?

– Tak – zgodził się Lattimer. – Ale są granice. I tak mieliśmy dużo szczęścia.

– O granicach mówi się wtedy, kiedy uderzy się w którąś głowę.

Grierson wszedł do samochodu i spojrzął na zegarek.

– Jeśli nie jest za późno, to moglibyśmy spróbować wdrzeć się do szpitala, gdzie trzymają tę Woolcott. – Obejrzał krytycznie Lattimera. – W białym fartuchu możesz łatwo ujść za lekarza.

Rozdział 12

Jechali milcząc po Broodwayu wzdłuż kin o ozdobnych frontonach. Atmosfera nocnego życia Manhattanu – restauracje, kina, bary, nawet przechodnie – stawała się coraz mniej uchwytna, w miarę jak zbliżali się do Zachodniej Osiemdziesiątej i Dziewięćdziesiątej, zabudowanych starymi, wielkimi kamienicami.

Dziewięćdziesiąta była cicha. Lattimer powoli mijał stary blok, którego okna zacieśniał nieco nowszy budynek ozdobiony brązowym kamieniem. Większość domów odpowiadała typowym nowojorskim standardom – kiedyś luksusowe, o schodach wyłożonych marmurem. Wykończenia z brązu i ciężkie oszklone drzwi były podniszczone i pokryte patyną. Graffiti na ścianach, sterta śmieci w każdym ciemniejszym kącie, okna strzeżone przez kraty albo uszczelnione pudłami rdzewiejących klimatyzatorów. Z licznych tabliczek ostrzegających o groźnych psach, reklamujących firmy ochrony mienia i automatyczne alarmy antywłamaniowe, łuszczyła się emalia.

Lattimer wspomniał swoją sterylną kawalerkę w domu nad rzeką i nasunęło mu się, że mógłby zapytać kapitana, czy Carol będzie potrzebowała jeszcze tego mieszkania... Nacisnął dzwonek domofonu.

Młody czarny posterunkowy nagle wyskoczył z przylegającej przybudówki, która musiała kiedyś należeć

do stróża. Lattimer wyciągnął kartkę Pavlovicha i podsunął gliniarzowi. Ten przeczytał ją dokładnie i zdecydował się nacisnąć brzęczyk zwalniający zamek.

– Nikt mi nie mówił o agentach ubezpieczeniowych – powiedział niepewnie, kiedy ruszyli w trójkę do windy.

– Jak chcesz, to zadzwoń do kapitana Pavlovicha – zaproponował Lattimer. – Możemy poczekać.

Policjant zmarszczył czoło i zasunął kutą kratę.

– Chyba wszystko w porządku.

Winda ruszyła do góry.

– Nie będziecie nic ruszać, dobrze? Kapitan powiesi mnie, jeśli zostaną zniszczone jakieś ślady.

Musieli poczekać chwilę, zanim wyłowił klucz z przepastnej kieszeni.

Wąski korytarz był cichy. Zza ściany nie dochodziły odgłosy rozmów czy telewizora. Tak jakby cały budynek został opuszczony. Ale Grierson czuł, że za każdymi drzwiami byli ludzie czujni na każdy dźwięk, ciekawscy. Śmierć zawsze ciągnęła za sobą ponury welon ciszy. Czekali, aż znikną najdrobniejsze materialne ślady tragedii, by mogli zaliczyć ją do wspomnień.

W momencie, w którym drzwi stanęły otworem, Grierson rozpoznał znajomy zapach. Usłyszał, jak Lattimer gwałtownie połyka ślinę.

– Śmierdzi jak w Plaża – powiedział Grierson.

– Pamiętasz „Bleak House”? „Odór jakby zbyt długo smażono krwiste mięso na ruszcie.”

Policjant poprowadził ich do łazienki zapalając po

drodze światło. Tutaj woń była jeszcze bardziej intensywna. Z kabiny usunięto już szczątki Goldmana, reszta pozostała nietknięta.

Białe kafelki kabiny były poczerniałe, z plastikowej zasłony pozostało kilka stopionych pasków. Na suficie widniał smolisty jęzor sadzy tak czarnej, że zdawała się pochłaniać światło.

Podczas gdy gliniarz dłubał niecierpliwie przy klamce, a Lattimer kręcił się bez celu po pokoju, Grierson stał w milczeniu. Jego oczy rejestrowały i analizowały każdy szczegół.

Gdy już się napatrzył, wrócił do korytarza i uchylił inne drzwi. Znalazł się w sypialni. Zapalił światło i obejrzał skotłowane łóżko. Dwie kobiety, było w raporcie. Ale nic nie wskazywało, aby ktoś spał na kanapie. Świętej pamięci pan Goldman musiał mieć niezłą noc.

Starannie zbadał podłogę, ściany i sufit. Lattimer i gliniarz przyłączyli się do niego.

– Zmarła dziewczyna miała na pewno rację co do jednego – stwierdził Grierson. – Pożar zaczął się w łazience. Nigdzie indziej nie ma śladu płomieni.

Lattimer rozejrzał się. Wciąż nie mógł zgodzić się z tym, co jego rozum zakwalifikował jako nie możliwe.

– A kuchnia?

Grierson spojrzał na policjanta. Chłopak pokręcił głową.

– Sprawdźmy lepiej sami.

Weszli do kuchni. Grierson wymacał kontakt.

Zapłonęła żarówka i coś drobnego przemknęło po podłodze. To karaluch wydostał się z torebki po cukrze i uciekał w popłochu. Obok cukru stał słoik rozpuszczalnej kawy. Okno było otwarte na oścież.

Otwarte okno. Jedyne w mieszkaniu.

Grierson podszedł i wyjrzał przez kraty.

Drabinka przeciwpożarowa, biegnąca dwa piętra wyżej do dachu i cztery piętra w dół, była pokryta rdzą. Stopnie wyglądały na nie używane od lat.

Okno kuchenne wychodziło na tył domu. Grierson wychylając się zobaczył naprzeciwko identyczny budynek, oddalony o około dwieście stóp. Przypomnił sobie film „Okno od tyłu”. Wpatrywał się w oświetlone kuchnie i łazienki.

Jego umysł zarejestrował automatycznie, że okna mieszkania na wprost mieszkania Carol były ciemne.

Kiedy się odwrócił, Lattimer kończył właśnie metodyczne i drobiazgowo oględziny kuchennych ścian i podłogi. Znalazł jedynie zwykłe plamy od pary i tłuszczu.

– Dobrze. Zgadza się, że zaczęło się w łazience. Ale nie pytaj mnie jak.

Chwycił za jeden z prętów zabezpieczających okno w kuchni.

– Trzeba być wariatem, żeby odciąć sobie jedyne dojście do drogi przeciwpożarowej. – Potrząsnął prętem. Ani drgnął. – Nowe. Nie chciałbym się tutaj włamywać.

Grierson myślał o tym samym. Tępo wpatrywał się w przestrzeń dzielącą ich od drugiego budynku. Był tak

pochłonięty, że nie próbował przenikać wzrokiem ciemności w przeciwległym mieszkaniu.

Czarno odziana postać bacznie go obserwowała, klęcząc przy jednym z dwóch trójnogów. Jeden z nich podtrzymywał mikrofon kierunkowy Semmheisera długości kolby karabinu. Był on niezwykle precyzyjny. Na drugim umocowany był aparat fotograficzny Nikon z metrowej długości teleobiektywem.

Obiekt w całości wypełniał okienko aparatu. Migawka trzasnęła. Świetnie. Do mężczyzny w oknie podszedł drugi i zaczęli z ożywieniem dyskutować. Słowa zabrzmiały w pustym pokoju tak czysto, jakby padały z odległości metra.

– Może czegoś się przestraszyła. Pewnie były jakieś włamania w okolicy. Albo gwałty. – Mężczyzna odwrócił się tyłem. Natężenie głosu nieco spadło, ale pytanie, które padło, było wystarczająco wyraźne.

– Wie pan coś o tym?

Dłoń w czarnej rękawiczce nacisnęła migawkę. Ta fotografia nie wniesie wiele nowego. Lattimer miał już u nich grubą kartotekę. Kim jednak mógł być ten starszy z angielskim akcentem? Identyfikacja nie będzie trudna. Zdjęcia powinny być bardzo dobre. Facet może być groźny...

Grierson po raz ostatni rozejrzał się po kuchni. Coś w tym miejscu go intrygowało, nie mógł jednak dociec, co. Często zdarzało się, że rozwiązanie nachodziło go we śnie. W postaci koszmaru. Musiał zgłębić to teraz. Nie

mógł sobie pozwolić na kilkunastogodzinne opóźnienie.

W zadumie podążył za Lattimerem i młodym policjantem do pokoju.

– Skończyłeś? – zapytał Lattimer stojąc koło drzwi.

– Chyba tak.

Spojrzał na podłogę. W cieniu kanapy zauważył jakiś znajomy kształt.

Biała porcelanowa filiżanka leżąca na boku.

Jego myśl powędrowała do kuchni. Słoik kawy i torebka cukru. Czyżby była to ostatnia czynność Goldmana, zanim udał się pod prysznic? Filiżanka kawy? No i to jedyne otwarte okno...

Kryjąc gwałtownie podniecenie, Grierson poklepał się po kieszeni.

– Moje pióro. Musiałem je upuścić.

Szybko poszedł do kuchni modląc się, by strażnik został z Lattimerem Obserwator z budynku naprzeciwko już się pakował, kiedy interesujący go starszy człowiek znowu ukazał się w oknie. Coś go tknęło. Może ten niepozorny gość coś wykombinował? A może sprzyja mu zbieg okoliczności?

Jak dotąd cała sprawa była chroniona po prostu przez wysokie nieprawdopodobieństwo. Zawsze można wyjaśnić w sposób konwencjonalny przyczyny każdego pożaru, nawet, jeśli nie sposób dociec jego źródła. Któż bawiłby się w tak nedorzeczne spekulacje, a tylko one mogły prowadzić do wyjaśnienia. Trzeba było jednak przedsięwziąć drobiazgowo środki ostrożności.

Spakował taśmy i sprzęt, ukradkiem opuścił budynek, wrzucił skrzynki do nie wyróżniającego się niczym ciemnego samochodu i udał się do najbliższej budki telefonicznej.

Lattimer w drodze do samochodu jeszcze raz obejrzał się za siebie.

– Dobra. Powiedz mi teraz, co wypatrzyłeś w tej kuchni.

Grierson wyciągnął z kieszeni dwa zwitki folii. W jednym było kilka łyżeczek ciemnego proszku, a w drugim podobna ilość białych kryształków.

– Niech zgadnę. Kawa i cukier.

– Prawdopodobnie ostatnie produkty spożyte przez Goldmana.

– Wsiadł do samochodu. – Chciałbym, żeby nasz przyjaciel Horowitz rzucił na to okiem.

Horowitz wyszedł z ciemności i przez chwilę rozglądał się przez szybę drzwi po zabytkowym foyer siedziby Insillu. Grierson właśnie potrząsał strażnikiem, trzymając go za klapy munduru. Nieszczęśnik wyrwał się i otworzył przed Horowitzem szklane drzwi.

– Przepraszam, proszę pana. Oni mi wygrażali i zmusili, żebym zadzwonił do pańskiego mieszkania.

Z rękami wciśniętymi w kieszenie płaszcza przeciwdeszczowego Horowitz rzucał wściekłe spojrzenia raz na Griersona, raz na Lattimera. Woda ściekała mu na czoło i wąsy.

– Musimy dostać się do laboratorium – powiedział Lattimer.

– Jest czynne od dziewiątej trzydzieści. – Ostentacyjnie spojrzął na włochaty nadgarstek, ale nie znalazł tam zegarka. Zerknął więc na elektryczny zegar na ścianie ponad drzwiami wind. – Macie jeszcze około dwunastu godzin czasu.

– Nie możemy tyle czekać – nalegał niecierpliwie Lattimer.

– Nasz koronny świadek został przeniesiony do skrzydła więziennego szpitala Bellevue. Nie dostaniemy się do niej, jeśli nie zdobędziemy dość dowodów, by wydali nam nakaz sądowy.

– Więc skąd ten pośpiech? Jeśli wy nie możecie się do niej dostać, to inni też nie.

– Wolimy na to nie liczyć.

Lattimer spojrzął na zegar. Cyferka oznaczająca minuty pstryknęła i zmieniła się.

– Słuchaj, czy nie moglibyśmy pogadać w laboratorium?

– Co chcecie tam robić?

– Przypuszczamy, że zdobyliśmy próbkę czegoś, co wywołuje SK.

Horowitz westchnął.

– Boże, czy wy nigdy nie dacie za wygraną? Co to jest?

Grierson wyjął z kieszeni paczuszki. Były dokładnie zaklejone, ale sama myśl, że zawartość mogłaby zarazić

go czymś nieznanym spowodowała, że jego plecy pokryły się gęsią skórą.

– To powinno pana przekonać.

– Co w nich jest?

– Tego właśnie chcemy się dowiedzieć.

– Dobrze – powiedział ciężko. – Ale jeśli przywlekliście mnie tutaj tylko dlatego, żeby udowodnić Porterfieldowi, że robicie coś poza dźubaniem w nosie, to gorzko pożałujecie.

Jechali w milczeniu.

Ciche, idealnie czyste laboratorium wyglądało imponująco. W oślepiającym blasku jarzeńówek lśniło niczym ostrze noża.

Horowitz włączył większość lamp.

– Dajcie to. – Podniósł torebki do światła. – Przypomina cukier. A to ciemne?

– To kawa rozpuszczalna. A to drugie, to cukier, zgadłeś.

– Chyba nie każecie mi teraz badać kawy i cukru?

– Raczej to, co oprócz nich tam jest – powiedział Lattimer. – Pochodzą z kuchni z mieszkania, gdzie dzisiaj rano spłonął człowiek. Przypuszczamy, że mógł coś połknąć w kawie z cukrem – ostatniej rzeczy, którą pił przed śmiercią.

– Coś połknąć? Co na przykład?

– Jakieś chemikalia – powiedział Grierson. – Coś, co działa jak katalizator.

– To nam zawęża pole – medytował Horowitz. – Czy

macie pojęcie, jak skomplikowane jest ciało ludzkie? Wystarczy śladowa ilość trucizny, by sparaliżować system nerwowy.

– Moglibyśmy zacząć od stwierdzenia, że coś tam w ogóle jest – zasugerował Grierson. – Macie może parę szczurów albo małpkę?

– I to, i to.

– Więc zrobmy roztwór kawy i cukru, wstrzyknijmy i zobaczymy, co się stanie.

Horowitz spojrział na nich.

– Zwierzęta są drogie. Ja też.

– Dochodzeniówka pokryje – uciął Lattimer.

Horowitz zatrzymał się i ruszył do drzwi oznaczonych napisem: „Pokój dla zwierząt”.

Wrócił z dwoma drucianymi klatkami. W każdej siedział biały, gruby szczur. Wydawały ćwierkające dźwięki i kręciły się w kółko.

– Dobrze. Skończmy z tym.

Grierson i Lattimer obserwowali niecierpliwie, jak Horowitz rozpuszcza małe ilości proszku z każdej próbki w wodzie destylowanej i napełnia dwie strzykawki. Pedantycznie je oznaczył. Powiedział tonem lektora:

– Obserwujcie. Wstrzykuję szczurowi A roztwór cukru. – Z wprawą wyciągnął zwierzątko z klatki i wbił igłę w tłusty bok. – A teraz wstrzykuję szczurowi B roztwór kawy.

Grierson mimo woli wstrzymał oddech. Sekundy płynęły. Wypuścił powietrze. Szczury drapały się po

miejskach nakłuć i popiskiwały, nie zwracając uwagi na wpatrzone w nie trzy pary oczu.

Po około pół minuty, Horowitz oderwał wzrok.

– Ile to może potrwać?

Grierson odparł.

– Nie wiadomo.

– Poczekajmy jeszcze piętnaście minut.

Horowitz wstał, podszedł do ściany, zdjął małą gaśnicę i położył nie opodal na laboratoryjnym taborecie.

– To na wypadek...

Lattimer i Grierson nie zwracali na niego uwagi.

Piętnaście minut wlokło się w nieskończoność. Szczury nie wykazywały zaniepokojenia. Siedziały nastroszone i osowiałe w rogach klatek.

– Może to działa tylko na istoty ludzkie? – Lattimer rzucił Griersonowi zdesperowane spojrzenie.

– Co zamierzacie dalej? Można zrobić jeszcze mnóstwo doświadczeń. Wezwę asystenta. – Spojrzał znacząco na Lattimera. – Zamierzacie pokryć koszt?

– Oczywiście.

– W porządku. – Horowitz podniósł słuchawkę i wystukał numer. – A wy moglibyście wyjść stąd. – Spojrzał na plastikowe torebki. – Idźcie sobie na kawę z cukrem.

Grierson cofnął się od drzwi i jeszcze raz spojrzał na szczury. Ochłonęły już i zachowywały się irytująco normalnie.

Było już jasno, gdy Horowitz stanął w drzwiach biura Lattimera. Z wyrazu jego twarzy można było bez trudu przewidzieć, jakie słowa padną.

– Nic oprócz czystej kawy i białego cukru kryształu.
– Rzucił kartkę z wynikami. – Kompletna strata czasu i pieniędzy. Liczonych podwójnie. – Zatrzymał się koło wyjścia. – Oszczędziłem wam trochę czasu. Kopia tego raportu o waszych owocnych poczynaniach leży już na biurku Porterfielda.

Kiedy zatrzaskał za sobą drzwi, Grierson odezwał się cicho.

– Cóż, nie było to takie pewne...

Lattimer potarł zmęczoną twarz. Dwudniowy zarost zaszeleścił niczym zgnieciony pergamin.

– Może tę kawę piła któraś z dziewczyn, a nie Goldman.

Grierson pokręcił głową. Głos jego intuicji nigdy nie przemawiał do niego tak silnie.

– Po prostu za mało o tym wiemy. Myślę o tym specyfiku. I jego skutkach wywieranych na ludzi.

– Coś sobie przypomniałem.

Odwrócił się do monitora swojego komputera i włączył go. Ekran zapłonął zielenią.

– Przepuściłem dane tej Woolcott i pozostałej dwójki przez komputer. Chyba już coś będzie.

– Szukasz, czy byli notowani w Insillu? Po co ci to?

Lattimer spojrzał na niego zmęczonym wzrokiem.

– Może ci się nie spodobają nasze metody, Richard, ale jest wiele pożytecznych rzeczy, których powinieneś się nauczyć.

Ekran błyskawicznie wypełniał się rządkami liter.

– Nasz dział komputerowy zajmuje czteropiętrowy budynek w Charlottesville w Virginii. Jesteśmy podłączeni do baz danych z setek różnych działów. Medycyna, prawo, chemia... co tylko zechcesz. Mamy dostęp do najnowszych publikacji i informacji o każdym ludzkim przedsięwzięciu.

– To chyba nie pomoże w naszym śledztwie.

– Może nie wprost. Ale Insill ma przywilej na przykład co do kartotek policyjnych. Zaraz dowiemy się, czy Goldman coś odsiadywał, jakie miał karty kredytowe, czy był w wojsku albo czy...

Grierson nagle się zainteresował.

– Pokaż mi, co wiesz o tej Woollcott.

– Nie byłem pewien pisowni imienia, więc poprosiłem o wszystkich Woollcottów.

Lattimer obserwował wypełzające na ekran rzędkę znaków.

– Woollcott Aleksander..., Woollcott Benjamin Leo..., Woollcott Carol... Dobrze. Urodzona... Grupa krwi... Numer Ubezpieczenia Społecznego. Kilka kar za parkowanie w złych miejscach. Samochód ubezpieczony u Hartforda. W 1981 r. wezwana do uregulowania siedmiuset dolarów...

Lattimer usiłował wyłowić coś interesującego o dziewczynie, w której mieszkaniu spłonął Goldman, ale informacje były co najmniej skąpe i nie wносиły nic nowego.

– To do niczego. Lepiej obejrzyjmy Goldmana.

Richard powstrzymał jego rękę. Wpatrywał się w następny wydruk.

– Woollcott Karen – czytał półgłosem.

– I co?

– Ta sama data urodzenia. – Wskazał palcem – 27 grudnia 1951.

– Tak?

Lattimer nacisnął kilkakrotnie „Return”, przyspieszając przepływ danych.

– Spójrz na to! Aresztowana... trzy, nie, cztery razy. Posiadanie marihuany. Posiadanie kokainy. Podejrzenie o handel kokainą.

Spojrzał na górę ekranu.

– Kod 327. To Kalifornia. Ale pierwsza sprawa miała kod 113. Nowy Jork.

– Zobacz, co jeszcze mają – powiedział niepotrzebnie Grierson, bo palce Lattimera już zawzięcie uderzały w klawisze.

Rozdział 13

Dźwięki dzwonów obudziły Carol.

Leżała nieprzytomna jeszcze przez chwilę, usiłując dociec, gdzie się znajduje. To mogły być dzwony kościoła St Pat na Piątej alei. W niedzielę zawsze wydawały się bliżej, gdyż ich odgłosy mogły swobodniej wędrować po kanionach wyludnionego Manhattanu.

Powinny brzmieć głośniejsze... Jakieś dziwne stuknięcie gdzieś w pobliżu... Jakby dźwięk stóp na winylowej podłodze... Jakieś odgłosy... Czy krzyki...

Już wiedziała, że nie jest w swoim mieszkaniu. Otworzyła oczy.

U sufitu płonęła lampa osłonięta kloszem ze zbrojonego szkła niczym okrutne oko bez źrenicy.

Dziesiątki nocy zabijanych wódką lub końskimi dawkami valium w połączeniu z phorazyną krążącą w żyłach przytępiły jej zmysły.

Wszystko było dalekie, mgliste.

– Lena, Adam? – Jej głos przypominał krakanie. Nie było odpowiedzi.

Była sama.

Pod powiekami zawirowały jej uśpione dotąd obrazy. Siłą odpychane wizje. Koszmary pornograficzne. I Lena, naga, wijąca się w agonii na podłodze, wbijająca paznokcie w wypalone oczodoły. Adam Goldman topniejący w obłokach pary pod strumieniem wody,

płomienie wydobywające się z jego ust, piersi. Ciało ruszało się, lizane od wewnątrz językami ognia, kurczyło się. Ten smród, który zaciskał jej nozdrza i gardło.

Zacisnęła powieki. Usiłowała zdławić ogarniającą ją panikę. Skoncentrowała się, serce odzyskało równy rytm. Znowu otworzyła oczy i ostrożnie rozejrzała się po otoczeniu.

Poza prostym łóżkiem nie zauważyła żadnych mebli. Sufit był biały, jak w każdym szpitalu. Podobnie jak ściany i ciężkie drewniane drzwi z kwadratowym okienkiem z zielonego szkła, w którym była zatopiona metalowa siatka.

Coś ją w tych drzwiach zastanowiło.

Nie mogła dostrzec klamki.

Grube i szorstkie prześcieradło drapało ją w gołe nogi. Sięgnęła ręką pod przykrycie. Szpitalna koszula okrywała ją ledwo do połowy uda. Zawiązana była na karku przy pomocy tasiemek. Nie miała na sobie żadnej bielizny.

Jej pierścionki i zegarek zniknęły. Nadgarstek okalała taśma o twardych krawędziach. Podniosła rękę do oczu i wykręcając łokieć odczytała: WOOLLCOTT CAROL i serię tajemniczych skrótów.

Przynajmniej dobrze napisane. Nie „Wolcott”. Nie pozbawili jej tej mizernej resztki osobowości.

Zsunęła się z łóżka i z trudem podeszła do drzwi. Okienko było tak wysoko, że musiała wspiąć się na palce.

Naprzeciwko drzwi było duże okno – brudne,

zakratowane. Wyglądało ono na brzydkie zabudowania drugiego szpitala. Wystawał zza nich kawałek szaro-błękitnego nieba. Gdzieś z boku można było dostrzec złotawe skrzywienie ostatnich promieni słońca na wodzie rzeki. Setki razy mijała gmaszysko Bellevue nie przypuszczając nawet, że może pewnego dnia obudzić się w jego celi. Rozejrzała się po pokoju. Nic, co mogło w razie czego posłużyć do obrony. Jeszcze raz wyjrzała przez chropowatą szybę w drzwiach. Jedyнным barwnym punktem była mała gaśnica, a poza tym pustka. Aż do końca szarego korytarza, długiego na jakieś trzydzieści stóp, odgradzonego od świata solidnymi pętami.

Za kratami widać było biurko i profil pochylonego policjanta w mundurze. Za nim – jeszcze jedna krata, a potem identyczne drzwi, jak te, prowadzące do jej pokoju.

Carol odsunęła się od drzwi i wróciła do łóżka. Wyciągnęła się niemal z lubością.

Jeśli ona nie mogła wyjść, to ONI nie mogli wejść. Czyli mimo samotności była bezpieczna.

Mantegna nacisnął „Rewind” na pilocie swojego video, a następnie „Slow”. Uśmiechnął się, oglądając niektóre sceny chyba po raz piąty. Szczególnie fragment, w którym dziewczyna... jak się kazała nazywać? Cinnamon...? zaczęła krzyczeć. Próbowwała wyrwać się Sledge’owi, ale wielki czarnuch był za silny. Nie pozostało jej nic, tylko poddać się. I właśnie wtedy Lester – Boże, ten facet to naprawdę geniusz – zrobił idealne

zbliżenie. Opuchnięte narządy, krew. Zboczeńcy z klubu spuszcza się wprost na swoje szyte na miarę jeansy.

Niewinność. O to chodziło w tej grze. Zapalił cygaro. Muszą wyglądać świeżo, niewinnie. Jakby nie bardzo wiedziały, o co chodzi. Nieważne było, ile przeszły. Ważne było wrażenie. Mantegna potrafił wyłowić właściwe. I miał dość wdzięku i sprytu by je pozyskiwać. Robiły dla niego wszystko – obojętnie, czy kamera pracowała, czy nie. Ale nie pozostawały takie długo. Najpierw zmieniały im się oczy. Robiły się twarde i stanowcze. Wtedy były już dla niego bezwartościowe, niezależnie, czy były młode i piękne.

Czasami zdarzały się wyjątki. Na przykład Karen. Miał z niej kupę uciechy i forsy, a nadal emanowała niewinnością. Polubiła pewne sprawy, ale zawsze czuł się jak gwałciciel. A to uwielbiał. Inne też...

Była gwiazdą. Szkoda, że musiał...

Na jego biurku zadzwonił telefon. Odwrócił się od konsoly kosztownej aparatury odtwarzającej i podniósł słuchawkę czerwonego aparatu. Po bokach stał jeszcze biały i złoty. Numer nie był zarejestrowany. Co więcej – natychmiast włączało się urządzenie eliminujące możliwość podsłuchu. Tylko troje ludzi znało jego numer. Nigdy nie padały imiona czy inne konkrety. Mantegna słuchał przez prawie minutę.

– Spróbuj jeszcze raz. Tym razem porządnie.

– A co z tymi facetami z Insillu? Bez trudu można załatwić ich razem – zapytał głos w słuchawce.

– Nie. Są wciąż bardzo w tyle. Daj im się jeszcze pokręcić w kółko. Spróbuj dowiedzieć się, co wiedzą. Odetnij ich od źródeł informacji.

Rozłączył się, obrócił się na krzesło i włączył znowu „Rewind”, a potem „Play”.

Było już ciemno, kiedy Carol znowu się ocknęła. Światło sączące się z korytarza było szare i mętne. Niedzielne wieczory na Manhattanie miały swoją specyficzną atmosferę. Lubiła rozkoszować się lenistwem, wylegiwać w łóżku otępiała dzięki środkom nasennym. A dzisiaj na dodatek nie będzie musiała ubierać się, malować, chodzić do kina na filmy, których wcale nie chciała oglądać, włóczyła się po zatłoczonych restauracjach, podczas gdy wolałaby poczytać. Brać udział w nudnych przyjęciach wiedząc, że jak tylko znowu zostanie sama, to lodowata łapa strachu nieuchronnie będzie dobierać się do jej gardła.

Zamknęła oczy. Nagle otworzyła je szeroko. Ktoś szybko zbliżał się do drzwi. Brzęk kluczy w zamku. Naoliwione zapadki stuknęły i drzwi zaczęły się uchylać.

Momentalnie usiadła na łóżku. Chwyciła kurczowo koce, przyciskając je do piersi, usta rozwarły się do krzyku.

– Carol, nie bój się. To ja. Dan. Dan Neumann.

Ucichła. Rozpoznała grubego człowieczka o posiwiałych skroniach. Karen potrzebowała w zeszłym roku prawnika i właśnie Dan jej pomógł. Od tego czasu

reprezentował interesy ich obu.

– Dan? – Pytająco patrzyła na dwójkę, która mu towarzyszyła. – Kto...?

– Wszystko w porządku, kochanie. Oni są ze mną. – Czuł, że wciąż mu nie ufa. Popchnął ich bliżej. – Carol, poznaj Jacka Lattimera i Richarda Griersona.

Grierson wyglądał na ponad czterdzieści lat. Niechlujny i trochę egzotyczny w swoim podniszczonym garniturku i kapeluszu. Jego oczy były bardzo bystre. Po prostu gapił się na nią jak na zwierzę w zoo. Nie było jednak w tym spojrzeniu złośliwości – raczej bezosobowe zainteresowanie. Coś jej mówiło, że nie jest zdolny jej skrzywdzić.

Lattimer był młodszy, bez wątpienia Amerykanin, przystojny niczym aktor. Podobnych mężczyzn spotykała w agencji każdego dnia. Znała ten typ. Uśmiechnął się do niej, automatycznie odpowiedziała tym samym.

– Carol, Jack i Richard pracują dla Insillu, towarzystwa ubezpieczeniowego. Sprawdziłem ich. Są w porządku, przysięgam.

Wargi miała zeschnięte i język jak z gumy, ale udało jej się wydusić.

– Z ubezpieczenia?

– Chcą ci zadać kilka pytań. W twoim najlepiej pojętym interesie leży, by udzielić im odpowiedzi.

– Mój interes?

– Carol, trzymają cię tu pod zarzutem morderstwa – powiedział Neumann. – Wiem, że to śmieszne. Ale

złożyłaś pewne zeznania oficerowi śledczemu. Nie mogą wykorzystać tego w sądzie, oczywiście. Jednak...

– Pamiętam, co mówiłam. Przyznałam się do zamordowania Adama Goldmana. To prawda.

Neumann oblizwał usta i spojrzał na pozostałych.

– Nic nie mów, Carol. Nawet w żartach. Musimy usiąść i...

Grierson stanął w nogach łóżka i spojrzał na nią z góry.

– Pani kłamie, panno Woollcott. Pani się boi. Uważa pani, że policja uzna te zeznania i będą trzymać panią z dala od wszelkich niebezpieczeństw.

– Zabiłam go – powtórzyła Carol. Sama się zdziwiła, jak pewnie zabrzmiał jej głos.

– Umarł przez panią, to nie ulega wątpliwości. – Głos Griersona był cichy i kojący. – Ktoś chciał, żeby pani spłonęła. Ale miała pani szczęście. Następnym razem może się nie udać. Pani jedyną szansą jest pomóc nam złapać morderców.

Carol spojrzała błagalnie na Neumanna.

– Nie chcę o tym mówić. Błagam, każ im odejść.

Neumann zaczął ugodowo.

– Panowie, czy nie sędzicie...

Grierson kontynuował.

– Panno Woollcott, czy nie chce pani, aby sprawiedliwość dosięgła mordercę pani siostry?

Carol zastygła w przerażeniu.

– Co wiecie o Karen?

– Wiemy, że jest... była... pani siostrą bliźniaczką. Wiemy, że miała tu kłopoty i wyjechała do Kalifornii. Wiemy, że była tam kilka razy aresztowana. I wreszcie wiemy – ciągnął bezlitośnie – że to właśnie ona jest dziewczyną z Plaża. Spłonęła doszczętnie trzy dni temu. Zidentyfikowaliśmy ją po prawej dłoni, która pozostała nietknięta.

– Niech pan przestanie! – Zakryła oczy rękami. Zaczęła spazmatycznie szlochać.

– Wiedziała pani, że to właśnie ona zginęła w tym pożarze – mówił dalej. – Czemu nie poszła pani na policję i nie zidentyfikowała jej? Co pani ukrywa? Kogo pani chroni?

– Panowie, nie tak się umawialiśmy. Ta rozmowa miała dotyczyć jedynie wczorajszych wypadków. Zanim sam nie rozmówię się z moją klientką, nie mogę pozwolić...

Lattimer zbliżył się do Carol i kucnął przy łóżku.

– Carol – zaczął cicho – odejdziemy, jeśli tego chcesz. Ale bardzo potrzebujemy twojej pomocy. Tylko ty wiesz, kto uśmiercił Karen. I tylko ty możesz pomóc ich unieszkodliwić.

Spuchnięte od łez oczy, które wpatrywały się bezradnie w twarz Lattimera, były fioletowe. Poczował gwałtowne współczucie dla dziewczyny. Była więcej niż przerażona. Jeszcze trochę, a mogła zwariować ze strachu.

Neumann jeszcze raz spojrział na nią.

– Carol, nie wiem, co tu jest grane, ale nie musisz...

Carol Woollcott wyprostowała się i wytarła oczy rogiem prześcieradła.

– W porządku, Dan. I tak się dowiedzą. I nie ma takiego miejsca, gdzie mogłabym uciec przed tamtymi.

Grierson ożywił się.

– Ukryć przed kim? Przed czym?

– Boże, skąd mam wiedzieć? Przed tym, co zabiło Karen. Przed tymi ludźmi, co ją podpalili.

– Kim oni są? Jak to zrobili? – Grierson nie dawał jej wytchnąć.

– Nie wiem. Spotkała ich w Kalifornii... Nigdy mi o tym nie mówiła. Tylko raz o tym rozmawiałyśmy. To było tego dnia, kiedy...

Wspomnienia pozwoliły jej odzyskać przytomność umysłu. Z każdym zdaniem jej głos brzmiał dobitniej.

– Karen przyszła do mnie z samego rana. Właśnie przygotowywałam się do wyjścia do pracy, kiedy zadzwoniła. Nie widziałam jej od... Nie wiem. Chyba z rok. Odkąd wyniosła się do LA. Kilka pocztówek, to wszystko. Karen nie lubiła, żeby ktokolwiek wtrącał się w jej życie. Zawsze mówiła, że jeśli przytrafi się jej coś interesującego, to przeczytam o tym w gazetach.

Lattimer i Grierson nie śmieli jej przerwać. Mówiła po swojemu, porządkując myśli, uspokajając się.

– Nigdy przedtem nie widziałam jej w takim stanie. Karen zawsze używała życia w najdosłowniejszym tego słowa znaczeniu. Wiedziałam, że miała kłopoty z narkotykami, przestraszyłam się, że przeszła na silne

środku. Kazałam jej nawet podwinąć rękawy. Ale nie znalazłam ani śladu.

Carol przypominała sobie jasno ten poranek. Obserwowała siostrę, jak ta spacerowała po mieście, rzucała spojrzenia w okna, ciągle kontrolując ulicę i sąsiednie budynki. Podziękowała za śniadanie, przyjęła tylko filiżankę kawy, ale jej nie wypiała. Palila bez przerwy, topiąc długie niedopałki w kawie, która przelewała się na spodek.

Próbowała wyciągnąć z niej coś określną drogą. Pytała, jak tam w Los Angeles. Co robiła? To i tamto. Agencja załatwiała jej różne zajęcia. Pokazy, video. Video? Coś, co mogłaby obejrzeć? Karen uśmiechała się do siebie: „Nie warto kochanie”. I wreszcie ta dziwna wzmianka: „Tam jest inny świat”.

Więc co robiła w Nowym Jorku? Milczała prawie przez minutę. Carol spoglądała ukradkiem na zegarek. O dziesiątej miała ważne zebranie, a było już parę minut po. Właśnie w chwili, kiedy miała napomknąć o tym, Karen zaczęła mówić.

– Niczego nie opuszczaj – nie wytrzymał Lattimer. – Mów powoli i dokładnie.

Wyjął ukradkiem kieszonkowy magnetofon, który pracował od samego ich wejścia. Teraz położył go obok poduszki. Dziewczyna nawet nie drgnęła.

– Powiedziała, że jest przelotem. Jacyś bardzo groźni ludzie ją gonią. Związała się z nimi w jakiś sposób w LA. I ten facet zamieszany w... Tak zawsze z nią było.

Bliźniaczki ponoć są genetycznie identyczne, ale ona miała w sobie coś jeszcze. W szkole średniej ja chodziłam na egzaminy, a ona na randki. Ten facet z LA był też kimś niezwykłym. Miał na nią ogromny wpływ, a zarazem przerażał. Gdy o nim mówiła, cała dygotała.

– Jak się nazywał? – przerwał Grierson.

– Nie. Tego mi nie powiedziała. Mówiła, że tak lepiej dla mnie. Wiem tylko, że jest producentem, tyle że robił video, a nie filmy. Spotkała go przez swojego agenta i zatrudniał ją przy kręceniu.

– Jaki rodzaj filmów...? – zapytał Lattimer.

– Nie jestem pewna, ale wydawało mi się, że Karen zmieszala się, gdy o to pytałam. Domyślam się... hm, chyba panowie też. Wiem, że kiedyś pozowała nago... więc... – Jej głos zaczął się łamać.

Lattimer pomógł.

– To nieistotne. – Nie mógł pozwolić, aby właśnie teraz się załamała. – Czy mówiła jeszcze coś o tym facecie?

Carol zamknęła oczy.

– Rancho. Pamiętam, jak mówiła, że miał rancho. Taki duży dom w wielkim ogrodzie. Pod Los Angeles. Właśnie tam kręcili te filmy. Coś mi się wydaje, że mieszkała tam z nim. W każdym razie spędzała dużo czasu. Dlatego udało jej się natrafić na laboratorium.

Oczy Lattimera i Griersona spotkały się. To było to!

Próbując ukryć podniecenie Lattimer zapytał.

– Laboratorium? Co tam robili?

– Zajmował się narkotykami. Na wielką skalę. Kokaina, heroina i inne środki pobudzające i uspokajające. Mnóstwo. Przerabiali to tam. Mówiła, że było ogromne.

Lattimer potakiwał. Gotów był jednak założyć się, że laboratorium nie było bynajmniej przetwórną narkotyków.

– Czy mówiła, gdzie to jest?

– Nie, tylko że gdzieś poza granicami LA.

– A dlaczego właściwie od niego uciekła?

– Dowiedziała się, że jest zamieszany w jeszcze coś. Coś więcej niż narkotyki i video. Coś tak potwornego, że... – umilkła.

Lattimer z trudem powstrzymywał się, by nie potrząsnąć ją za ramiona tak, żeby słychać było, jak dzwonią jej zęby. Wycodził:

– Co to było?

– Podpalenia. W jakiś sposób sterował pożarami w całym kraju. Opracował pewien system, dzięki któremu bogacił się na tym. Ale nie pytaj o szczegóły. Karen też nie potrafiła tego opisać, ale wiedziała, że szły na to dochody z rozpowszechniania filmów. Ale to nie było najgorsze. Chodziło o to, jak to robił...

– Więc? – ponaglał Lattimer, mimo, że znał odpowiedź.

W jej głosie było napięcie. Ledwo mogła mówić.

– Potrafił spowodować, że ludzie zaczynali płonąć. Każdy, gdziekolwiek... kiedykolwiek chciał...

– Jak? – wymknęło się Griersonowi głośniejszym, niż chciał. – Czy mówiła, jak?

– Podobno wmawiał jej, że wystarczy mu pomyśleć o tym. Że ma jakąś tajemniczą siłę.

– Uwierzyła mu? – zapytał Lattimer.

– Nie wiem. Mówiła, że nie. Mówiła, że musiało być inne rozwiązanie. Ale opowiadała też, że miał niezwykłą charyzmę wśród swoich ludzi. Słuchali go bez sprzeciwu... Sądzę, że trochę mu wierzyła. Miała też książkę o ludziach, którzy sami z siebie zaczynali płonąć. Mówiła, że zamierza skontaktować się z autorem, bo musiał wiedzieć, jak to można wywołać sztucznie.

– Jaki był tytuł tej książki?

Zmarszczyła czoło zmuszając się do wysiłku. W końcu powiedziała:

– „Pochodnie”, nie: „Żywe pochodnie”. Autorem był niejaki Kurtz. Imienia nie pamiętam.

– To wystarczy – uznał Lattimer. – Co dalej?

– Przepraszam panno Woolcott – wtrącił się Grierson. – Ale coś mnie zastanawia. Pani siostra przyjeżdża roztrzęsiona o dziwnej porze i opowiada szaloną historię o człowieku, który każe ludziom płonąć. A pani od razu jej wierzy i sama wpada w panikę. Dlaczego?

– Przecież była ta taśma...

– Jaka taśma?

– Nie mówiłam? Przyniosła film, w którym to się dzieje...

Rozdział 14

– Ukradła ten film z biura tego faceta – wyjaśniła Carol. – Uważała, że będzie to rodzaj polisy na jej życie, na wypadek jakby ją złapali. Chciała ich szantażować, że sprzeda go policji lub jakiejś gazecie, jeśli nie dadzą jej spokoju.

Lattimer był już zmęczony.

– Jak przypuszczam nie wie pani, gdzie ta taśma teraz się znajduje?

Pokręciła głową.

– Karen zostawiła mi ją na przechowanie, chociaż błagałam, żeby tego nie robiła. Włożyłyśmy to do pudełka po wafelkach i ukryłyśmy na dnie zamrażalnika.

– I?

– Ktoś ukradł. Mniej więcej miesiąc temu. Wróciłam do domu i zastałam mieszkanie zrujnowane. Zabrali mi też video i zestaw stereo, ale wiem, że nie o to im chodziło. Byłam przerażona. Było jasne, że śledzili ją aż do Nowego Jorku.

Lattimer domyślał się reszty. Potem Carol kazała założyć kraty i zaczęła panicznie szukać towarzystwa. We dnie i w nocy. Ludzie mieli odgradzać ją od tych, którzy tak bezlitośnie ścigali jej siostrę.

– Gdzie Karen się zatrzymała? – zapytał.

– Nie u mnie. Widziałam ją tylko raz. Odrzuciła moje zaproszenie. Wędrowała z hotelu do hotelu. Dzwoniła do

mnie i informowała, gdzie jest. Ostami raz dzwoniła z Plaża... – Głos Carol znowu załamał się.

Lattimer zapytał ostrożnie:

– Czy jesteś w stanie opowiedzieć, co było na tej taśmie?

– A muszę? – Unikała ich wzroku.

– Byłoby to wielką pomocą – zapewnił Grierson.

Skrzywiła się i zaczęła płaczliwym tonem.

– Najpierw był wielki, pusty pokój. Nie było mebli, tylko lustro na ścianach. Na podłodze leżało jakieś grube płótno. Całość robiła wrażenie celi w szpitalu dla wariatów. Tylko te lustro. Na tym płótnie leżała naga dziewczyna.

– Dziewczyna? – zapytał Lattimer.

– Tak. Bardzo młoda i bardzo ładna. Karen ją знаła. Nazywała się Mary Beth i pochodziła z jakiejś zabitej deskami miejsciny w Iowa. Przyjechała do Hollywood, żeby zrobić karierę. Zwykła historia. Kiedy moja siostra spotkała ją, była właśnie związana z jakimś strażnikiem z rancho. Karen przypomniała sobie jakąś pijacką bijatykę w czasie przyjęcia koło basenu. Dziewczyna robiła aluzje i wyprowadzili ją. Nigdy już jej nie widziała. Tylko na tej taśmie, którą facet sam jej pokazał...

– On jej pokazał?

– Tak. Kazał jej obejrzeć, a potem siedzieć cicho. Napomykała, że chce odejść, a on chciał, żeby wiedziała, co ją wtedy czeka.

– Dalej, dalej.

– Hm... Potem dziewczyna ocknęła się i wstała. Była posiniaczona i podrapana. Wszędzie. Miała rozbity nos i wargi. – Głos Carol zaczął przybierać niepokojąco wysokie tony. – Rozejrzała się po pokoju i zaczęła się miotać. Krzyczała, ale taśma była bez ścieżki dźwiękowej. Widać było to po jej ustach, gestach. Po chwili przestała walić w lustro. Uklękła. Wyglądała, jakby miała zwymiotować. Trzymała się za żołądek. Nawet na taśmie widać było, że coś z nią jest nie w porządku. Jej skóra najpierw pobladła, a potem poczerwieniała. I... – Carol zamknęła oczy –... z jej ust i innych miejsc zaczął wydobywać się dym. Nagle błysnęło i płomienie ogarnęły ją od stóp do głów. Biegała po pokoju, krzyczała, uderzała ciałem w ściany, aż upadła...

Neumann nerwowo oblizwał wargi. Spojrzał na Griersona.

– Co u diabła tu się dzieje? Czy wyście wszyscy poszaleli...?

Grierson nie zwracał na niego uwagi. Interesowała go tylko Carol Woolcott, a ściślej, jej słowa.

– Panno Woolcott, rozumiem, co pani przeżywa. Wiem, że boi się pani tego, co spotkało tę dziewczynę i pani siostrę. Ale nie będzie pani bezpieczna aż do chwili, kiedy ten potwór nie znajdzie się za kratkami albo nie zginie. Czy jest jeszcze coś, co chciałaby pani nam powiedzieć? Coś, co pomoże nam go zidentyfikować?

Carol opadła ciężko na poduszki.

– Powiedziałam wszystko, co wiem. Pytałam Karen o

niego kilka razy, ale nie chciała nic wyjawiać... – Usiadła znowu. – O, mam coś jeszcze. Przypomniałam sobie, że raz powiedziała: „Zabiję tego włoskiego bękarta, choćby to miała być ostatnia rzecz w moim życiu”. Jestem pewna, że mówiła: „włoskiego”.

– Zawsze to coś – uznał Grierson. – Ale gdyby spróbowała pani przypomnieć sobie coś jeszcze...

Dan Neumann przerwał.

– Myślę, że Carol dała wam więcej czasu niż powinna, panowie. Gdybyście mogli chwilę poczekać na korytarzu...

Wyszli. Lattimer nerwowo krążył tam i z powrotem. Grierson zaś oglądał przez brudne okno Brooklyn – Ciekawe, co on jej teraz mówi?

Grierson odwrócił się od okna.

– Zwykle brednie. Że wierzy, iż jest idealnie niewinna i tym podobne.

– Bo jest.

Grierson pozwolił sobie na uśmiech.

– Czyżby podobała ci się?

– Ta dziewczyna ledwo żyje ze strachu – powiedział sztywno Lattimer. – Jest oczywiste, że nie ma nic wspólnego ze śmiercią Goldmana. Założę się, że Neumann w tym momencie poucza ją, żeby była z nami ostrożna. I że jeśli jeszcze coś wie, to mogłaby przeprowadzić z Insillem zyskowną transakcję.

Neumann wreszcie wyszedł i pokręcił głową.

– Powiedziałem jej, że mogę wydostać ją w godzinę,

ale ona nie chce się stąd ruszyć. Boi się.

– Czy będziemy mogli pogadać z nią rano? – zapytał ostrożnie Lattimer. Odpowiedź zaskoczyła ich obu.

– Oczywiście. – Neumann rozjaśnił się. – Nie widzę problemu.

Ale kiedy przyjechali następnego dnia rano, Carol Woollcott była już wolna na mocy nakazu sądowego. Rozpłynęła się.

Biuro Neumanna znajdowało się w starym budynku z lat czterdziestych na niemodnym końcu Madison Avenue, tuż przy rogu Zachodniej Osiemnastej. Przy wejściu czarny chłopak sprzedawał okulary przeciwsłoneczne. Lattimer i Grierson wtargnęli bez pukania do biura zdenerwowanego prawnika, któremu wcale nie musieli objaśniać celu swojej wizyty.

– Panowie, nie mam nic do powiedzenia w sprawie Woollcott. Wszelkie informacje, które posiadam, są poufne.

Lattimer usiadł na brzegu biurka.

– Jeśli chodzi o Carol Woollcott, to jest wolna, dorosła i może robić, co chce.

Adwokat zaniepokoił się jeszcze bardziej.

– Ale pan – kontynuował Lattimer. – Pan jest w innej sytuacji. Współczuję panu, Neumann.

– Słuchaj, Lattimer, nie próbuj się odgrażać...

Lattimer podniósł obie ręce.

– A kto tu kogoś straszy? Jeśli jeszcze wybuchnie jakiś pożar, to nie mnie się dostanie. Insill nie poda pana

do sądu. Nie zawracamy sobie głowy takimi nieborakami wartymi parę tysięcy dolarów. Ale ludzie, którzy tracą swój dobytek, a czasem bliskich... Hm, oni nie będą tacy łaskawi. Będą cię wysysać do ostatniej kropli krwi, Dan.

Neumann przełknął ślinę.

– Chyba nie sugerujesz, że popełniłem jakiś błąd zawodowy?

– Może w końcu dowiedziesz swoich racji – ciągnął Lattimer. – Uznają, że nie jesteś winien zaniedbania, że po prostu broniłeś praw i spokoju swojej klientki. Ale ile to potrwa? Rok? Dwa? No i wątpię, abyś zarobił wiele w tym czasie. Nikt ci nie zaufa. Czy jesteś niewinny, czy nie.

Neumann był blady i spocony, wzrok wbił w blat biurka.

– Dokąd pojechała? – Grierson rzucił to jakby od niechcenia.

– Do Kalifornii.

– Pod jakim nazwiskiem?

– Debbie Hunter.

– To ty jej to poradziłeś? – drążył Grierson.

Neumann z zapalem pokręcił głową.

– Co to, to nie. Próbowałem jej to wybić z głowy, ale nie słuchała. Wzięła sobie do serca pańskie słowa, że nie zazna spokoju, póki ten człowiek działa. Jest zdecydowana wysledzić go sama. – Próbował się uśmiechnąć.

– Dziwne, ale jakoś ci nie wierzę. Coś mi mówi, że

wplątałeś się w coś złego. Jeśli każesz jej ryzykować tylko dla ratowania swojej brudnej głowy, to nie chciałbym być w twojej skórze.

– To nieprawda! – protestował. – Wcale tak nie było!

– To dlaczego nie poczekała, by porozumieć się z nami, tylko ruszyła sama?

– Przypuszczała, że jeśli zostanie, to policja ją gdzieś zamknie. Byłaby w pułapce i stanowiłaby łatwy cel dla wrogów. Uznała, że tak jest lepiej.

– Ona uznała?

– Przysięgam, że sama to wymyśliła!

– Może. Kiedy wyjechała.

– Wczesnie rano.

Lattimer spojrzał na zegarek.

– Czyli jeszcze nie jest na miejscu. – Chwycił telefon Neumanna. W czasie gdy Lattimer dzwonił do biura Insillu w Los Angeles, Grierson dalej wypytywał drżącego adwokata.

– De dałeś jej pieniędzy?

– Miałem tylko czterysta dolarów w gotówce. Powiedziała, że to wystarczy.

– Czy mówiła o czymś, czego nam nie zdążyła powiedzieć? Na przykład, jak nazywał się ten producent?

– Nie. Jestem pewien, że nie wiedziała więcej, niż wy.

– Nie wierzę ci. – Głos Griersona był ostry i natarczywy. Lattimer odłożył słuchawkę.

– Nasi wyjdą po nią na lotnisko. Zatrzymają ją, o ile

oczywiście będzie w tym samolocie.

– Sam odwoziłem ją do La Guardia i wsadziłem na pokład. Lattimer uśmiechnął się złowieszczo.

– Jeśli rozumiesz podobnie jak ja, to kazałeś jej przesiąść się na O’Hara w Chicago i złapać inny samolot pod innym nazwiskiem.

Neumann patrzył raz na jednego, raz na drugiego.

– Czy wy nigdy nie wierzycie, jak ludzie mówią wam prawdę?

– Przeważnie mówią – powiedział Lattimer. – Czasem trzeba trochę zachęty. Czy zostawiła numer, pod który masz do niej dzwonić w LA?

– Nie. To ona miała mnie informować o swoich postępach.

– A ty będziesz te wieści przekazywał nam, prawda?

Neumann pokiwał głową bez przekonania.

– Tak, będę.

Lattimer odwrócił się do Griersona.

– Wiesz, teraz dla odmiany trochę mu wierzę.

Jedno spojrzenie na biurko i Lattimer wiedział, że czekają go kłopoty.

Leżał tam podpisany tekst z nagranej rozmowy z Carol Woollcott, odpis *habeas corpus* wyciągnięty od Neumanna i jego własne notatki z rozmowy z adwokatem.

Pod tym wszystkim było coś, co przyprawiło go o dreszcz zniechęcenia. Kilka wiadomości od byłej żony, które pozostawił bez odpowiedzi. Zawierały one niewątpliwe wymówki odnośnie ostatniego weekendu,

kiedy to znowu zawiódł syna i nie spełnił swojego przypisanego przez sąd obowiązku. Ostatnia wiadomość pochodziła nie od Sherry, ale od jej adwokata.

Zabrzączał telefon. Co znowu?

– Pan Porterfield – poinformowała jego sekretarka.

Wydawało mu się, że głos miała pełen przygnębienia... Plotki rozprzestrzeniały się po Insillu niezwykle szybko.

Zgrzytnęło i odezwał się Porterfield. Zdecydowanie zażądał sprawozdania z dotychczasowych postępów ich śledztwa w sprawie SK. Lattimer starał się być grzeczny, złożył wiele niepotrzebnych zapewnień. Odwiesił słuchawkę i odezwał się do rozpartego w fotelu Griersona:

– Weźmy się w garść i pobawmy trochę komputerem.

Pomieszczenie dla komputerów w głównej siedzibie Insillu w Nowym Jorku znajdowało się w oświetlonej na zielono, klimatyzowanej hali, cztery poziomy poniżej biur zarządu. Pośród wirujących za szklanymi przesłonami taśm, brzęczących drukarek, wyrzucających kilometry papieru Grierson czuł się niczym owad uwięziony w jakimś skomplikowanym mechanizmie. Jeśli to był jedynie pomniejszy regionalny terminal komputerowy, to jak wyglądał ten obsługujący łącza międzynarodowe?

Lattimer zebrał naręczce papieru, oderwał koniec od rolki i położył na biurku.

– To cała historia pożarów w Los Angeles, przypadków piromanii, podpaleń wraz z naukowymi ekspertami. Poprosiłem o wydruk.

Grierson próbował ocenić długość arkusza.

– De tu tego jest?

– Dwieście czterdzieści siedem przypadków.

Lattimer uśmiechnął się, widząc zaskoczenie na twarzy Griersona.

– W końcu to Kalifornia.

– Od czego zaczniemy?

– Mężczyźni między dwudziestką a pięćdziesiątką o włoskich nazwiskach. Nasz facet na pewno ma coś na koncie. Może wyroki za narkotyki, występki przeciwko moralności. Nikt zajmujący się pornografią czy prochami nie ustrzeże się przed chociaż drobnymi wpadkami.

– Coś o tym pisarzu... Kurtzu?

– Właśnie szukali.

Oderwał część arkusza i wręczył Griersonowi wraz z kolorowym pisakiem.

Usiedli naprzeciw siebie. Lattimer przypomniał sobie.

– O, jeszcze coś. Pozdrowienia od Horowitza.

Grierson spojrzał wyczekująco.

– Szczury?

– Hm Czują się świetnie. Specjalnie fatygował się na górę, by przekazać tę radosną wiadomość.

Pochylili się nad listami nazwisk, wykreślając nieprawdopodobne, zaznaczając ewentualnych kandydatów. Grierson czuł ciężar całego budynku Insillu na swych barkach. Jeśli nie rozgryzą tej sprawy...

Myśli Lattimera dryfowały. Gdzie mogła być teraz Carol Woollcott? Co ją spotka, gdy już znajdzie

morderców siostry?

Dziewczyna w okularach zręcznie wymijając liczne urządzenia, podeszła do ich biurka.

– Pan Lattimer?

Wręczyła mu wypchaną kopertę. Natychmiast rozerwał jej brzeg. W środku była książka. Triumfalnie podsunął ją pod nos pochłoniętemu papierami Griersonowi.

– Salomon Kurtz, „Żywe pochodnie: prawda o samoistnej kremacji ludzi”, wydanie drugie, Trident Press. Wygląda na wydanie autorskie. Musiało nieźle kosztować tego Krutza.

Grierson otworzył na stronie tytułowej i obejrzał pieczętkę.

– O! Z biblioteki głównej Insillu...

– Coś ty? Pokaż!

– Saul Horowitz nieco się zdziwi.

Razem oglądali zdjęcie chudego człowieka w średnim wieku umieszczone na obwolucie.

„Salomon Kurtz spędził dwadzieścia lat, badając zjawisko samoistnej kremacji ludzi. Jego dom w San Francisco jest mekką dla naukowców wszystkich krajów, zajmujących się tajemniczymi, gnębiącymi ludzkość chorobami. Teorie pana Kurtza przyniosły nowe spojrzenie...”

Z pobieżnych oględzin wynikało, że najcenniejsza dla nich będzie ostatnia część. Jednak kiedy Grierson otworzył książkę na odpowiedniej stronie, napotkał

kabalistyczną mieszankę wzorów chemicznych, diagramów i wykresów, przyprawioną mistycznymi odniesieniami do innych dzieł. U dołu była informacja o specjalnym wydaniu miesięcznika „Nature” i fragmencie Biblii, które będą pomocne w zrozumieniu treści.

– Charles Fort, Edgar Cayre – mrucał Grierson kartkując dzieło.

– Same bzdury.

Lattimer zatrzymał jego rękę na stronie, która wyglądała przystępniej.

– Adenozynotrójfosforan. Co to, u diabła, jest?

– Horowitz będzie wiedział.

– Salomon Kurtz też.

– Co masz na myśli?

– Że lepiej dowiedzieć się u źródeł, niż dawać Saulowi okazję do satysfakcji. I tak ma wyrobione zdanie o naszych mizernych dokonaniach i brudnych intencjach.

– Nacisnął brzęczyk. – Proszę zarezerwować dwa miejsca do San Francisco. Na najbliższy lot. – Zasłonił słuchawkę.

– Może do tego czasu te szczury się namyślą.

Rozdział 15

Carol Woolcott oglądała panoramę Los Angeles z pokładu EXT 10. Nagle poczuła strach. Miasto było tak wielkie! Ulica za ulicą, przedmieście za przedmieściem, rzędy identycznych domów, lśniące szmaragdy basenów...

Gdy samolot nieco się obniżył, zobaczyła słynną aleję wysadzaną palmami, która zawsze była dla Karen symbolem kalifornijskiego żywiołu.

„Czasem słucham jak wieczorem szumią palmy na Santa Anna i czuję, jakbym miała ulecieć.”

Niemal słyszała te słowa Karen wypowiedziane szeptem. Ale Karen nie żyła – została po niej garść popiołu. Z nią też tak będzie, jeśli nie znajdzie mordercy siostry... Musi jej się udać.

Lotnisko, zwane potocznie LAX – niemal wszystko w LA miało niezrozumiałe dla przyjezdnych skróty – było nie mniej imponujące niż widok miasta. Ludzie kręcili się niczym pracowite mrówki, targali bagaże, wypatrywali znajomych. Część z nich opalona i skąpo przyodziana. Dla Carol wyglądało to jak przedłużenie pobliskiej plaży.

Starsi panowie o wystających brzuchach i pokręconych kolanach paradowali w baseballowych czapkach i krótkich spodenkach; blondynki w jeansach i odsłaniających pępek koszulkach, mężczyźni ze starannie ułożonymi włosami i wypiełgnowanymi wąsami, w rozpiętych koszulach, prezentujący włochate torsy

ozdobione ciężkimi łańcuchami. W swojej nobliwej bluzce, spódniczce i płaskich butach czuła się jak pierwsza kolonistka na tej planecie.

„Głowa do góry – powtarzała sobie. – To tylko lotnisko. Musisz być silna i pewna siebie.”

Powlokła się do wypożyczalni samochodów i wybrała niepozornego cherry criteriona. Darmowa mapa poprowadziła ją do Hollywood Boulevard, gdzie zatrzymała się przed pierwszym motelem reklamującym wolne miejsca.

Dwupiętrowy, wyblakły betonowy budynek miał kształt litery „U”. Otaczał nieduży basen wydający intensywną woń, świadczącą, że dawno nie był czyszczony, nie mówiąc o odkażaniu. Ale dzięki temu smrodkowi, zaśmieconemu trawnikowi i niechlujnemu recepcjoniście miała gdzie się zatrzymać.

Zresztą i tak nie przyjechała tu popływać. Pokój był wyposażony w łóżko, telewizor, prysznic i telefon. Niczego więcej nie potrzebowała.

Los Angeles miało cztery tomy książki telefonicznej, ale w żadnej nie znalazła nazwiska Karen. Spróbowała na centrali.

– Przepraszam, mamy abonenta o tym nazwisku, ale numer jest zastrzeżony.

– Ale to coś pilnego. Czy mogę mówić z pani szefem?

Niestety, kierownik centrali był nieugięty.

– Przykro mi, kochanie, naprawdę. Zrozum, to jest

Hollywood. Czy chciałabyś, żeby każdy znalazł twój numer? I każdy wariat mógłby do ciebie wydzwaniać, kiedy zechce? Niestety, nie możemy...

Rzuciła słuchawkę i znowu wzięła książkę. Karen oficjalnie pracowała jako aktorka, zanim dała się wciągnąć w ten interes z pornografią. Przypomniła sobie pocztówkę, w której pisała, że kręci jakieś reklamy telewizyjne i czasem ma niewielkie role w filmach. Ale dla kogo pracowała? Kolumna „Wytwórnice Filmowe” ciągnęła się całymi stronami. Obejmowała setki nazw, o których nigdy nie słyszała i parę znanych. Universal Pictures poprzedzała Ungulate Copperhead Productions, Paramount sąsiedował z Paramour Pictures.

Z rozpędu zadzwoniła do paru pomniejszych. Dwie nie odpowiadały. Paramour rozłączyła się, zanim zdołała powiedzieć dwa słowa. Czwarty numer odezwał się głosem z taśmy informującym, że interesanci powinni stawić się osobiście w Ramrod Lounge w Encino, gdzie znajdą zestaw „filmów, które panowie lubią najbardziej”.

Dziewczyna w dziesiątej wytwórni, United Unlimited wykazała przynajmniej odrobinę zainteresowania. Nigdy nie słyszała o Karen, ale wyjaśniła za to, że przemysł filmowy w Los Angeles bardzo różni się od powszechnych wyobrażeń. „Każdy tutaj jest aktorem, nawet dama, która myje okna”.

Niecierpliwość Karen zaczęła obracać się w panikę. W mieście, gdzie handlowano nawet ludzkimi możliwościami i talentami, nikt jej nie pomoże. Każda,

nawet najdrobniejsza informacja będzie kosztowała majątek.

Wyczuwając jej załamanie, dziewczyna zaproponowała:

– Spróbuj w agencjach. Lynn Stallmaster albo Breakdown. Tam mogli ją znać. A może miała własnego agenta?

Agenci. Coś sobie przypomniała. Karen kiedyś wspominała jakąś spółkę, której nazwa rozśmieszyła ją swoją pretensjonalnością. Co to mogło być?

Otworzyła książkę na „Agenci Teatralni i Filmowi”. Sunęła palcem po nazwach, nieco podbudowana. Znalazła ją na trzeciej kolumnie. Jade Vail Inc. z adresem na La Cienega. Po raz pierwszy odpowiedziano jej pozytywnie.

– Karen jak? – Mężczyzna wyraźnie się zastanawiał.
– Tak... Chyba tak Proszę poczekać. – Słuchawka trzeszczała przez chwilę.

– Ciemna, dość wysoka, fiołkowe oczy?

– Tak! Z kim mogłabym się skontaktować?

– Nie pracowała jako jakaś tam Karen. Miała pseudonim. To mnie zmyliło. A właściwie, to czego pani szuka? Ktoś szuka aktorów?

– Nie. Karen została zamordowana trzy... – Nie zdążyła skończyć zdania. Trzask i ciągły sygnał. Próbowwała jeszcze trzy razy. Numer wciąż był zajęty.

Jade Vail znajdowała się na trzecim piętrze małego budynku wciśniętego między meksykańską restaurację a sklep z tanim sprzętem komputerowym. Zaparkowała

nieprawidłowo przed drzwiami i popędziła wąskimi schodami mijając agencje eksportowe i spółki z „Twórczy” w nazwach na złotych tabliczkach. Po kątach stały smutne, zakurzone rośliny w plastikowych donicach. Klamka była tłusta i wytarta setkami dłoni. Napisy na grubej szybie informowały, że jest tu także biuro zgłoszeń Wytwórni Backgammon, Radcliff Hall Inc. i The Pistol Press. Biuro było puste, a drzwi zamknięte.

Telefon irytująco dzwonił, ale nikt nie podnosił słuchawki. Przestał dopiero po minucie.

Carol zapukała w szybę. Zabrzęczała, ale nikt nie pośpieszył z zaplecza. Wyciągnęła z portfela dużą monetę i dalej stukała. Nic. Zaczęła prawie walić.

Na szkle zaczęły powstawać drobne rysy, kiedy usłyszała, że ktoś za nią otwiera drzwi. Odwróciła się i zobaczyła wysoką kobietę w średnim wieku, która opierała się, splatając ramiona o framugę otwartych drzwi naprzeciwko.

Miała wykrochmaloną białą bluzkę, zapiętą aż po szyję, ciemne, obcisłe spodnie i skórzane buty na płaskim obcasie. Wraz z ciasno zebranymi z bladej, gładkiej twarzy włosami swoim wyglądem przypominała Carol matadora lub tancerza flamenco. Brakowało jej tylko róży w zębach.

- Co właściwie pani tu robi?
- Nie chcą otworzyć drzwi.
- A czy rozważyła pani możliwość, że tam może nikogo nie być?

Nagle podeszła bliżej i przyjrzała się jej.

– Terri? – zapytała niepewnie.

– Nazywam się Carol Woollcott.

– Przepraszam. Jest pani bardzo podobna do mojej przyjaciółki, aktorki Terri Stamper.

Carol sięgnęła do portfela i wyjęła zdjęcie Karen.

– Czy to ona?

Kobieta spojrzała.

– Tak, to ona. – Jeszcze raz przyjrzała się badawczo twarzy Carol. – Siostra?

Carol przytaknęła. Kobieta cofnęła się do swojego biura. Carol ruszyła za nią, uśmiechając się do siebie z ulgą. Po drodze zauważyła na drzwiach duży napis: „Temper Center Agency” i mniejszy pod spodem, wykonany ręcznie: „Gina Levaccio”.

Inaczej niż Jade Vail, Temper Center nie miała dużego pokoju przyjęć. Oprawione świadectwo na ścianie głosiło, że Gina Levaccio opłaciła niezbędne składki i wykupiła licencję upoważniającą ją do występowania jako agent artystyczny na terenie stanu Kalifornia.

Przez uchylone drzwi w głębi Carol dostrzegła niewielki pokój z kanapą i małą łazienką.

Gina Levaccio usiadła za biurkiem.

– Nie wiedziałam, że Terri ma siostrę.

– A ja nie wiedziałam, że moja siostra występuje jako Terri Stamper. Była ochrzczona jako Karen – Carol sięgnęła do torebki.

– Jeśli chce pani sprawdzić moją tożsamość, to...

– Dla mnie wystarczy twoja twarz, Carol. Powiedz mi, co Terri... ach... Karen porabia?

– Nie żyje. Od trzech dni. Zginęła w Nowym Jorku.

Twarz kobiety napięła się, kości policzkowe uwydatniły się jeszcze bardziej.

– To okropne...

– Jak pani poznała Karen... Terri?

– Jeszcze jedna nieszczęśliwa dusza. Przychodziła tu pogadać. Jak wiele z Jade Vail. Korzystała z mojego prysznicza, czasem przespalała się na kanapie. Przyjaźniłyśmy się trochę.

– Nie żyje...

– Chyba nie chcę wiedzieć, jak zginęła.

Carol opuściła głowę. Miała tu przecież coś do załatwienia.

– Przyjechałam z Nowego Jorku, żeby dowiedzieć się, co robiła w czasie ostatnich kilku miesięcy.

Gina wskazała na drzwi.

– Co udało ci się od nich wydobyć?

– Nic. Wspomniałam, że Karen nie żyje i od razu rozłączyli się.

Glina uśmiechnęła się z pogardą.

– Tak przypuszczałam. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnę, jest jakikolwiek kontakt z prawem.

– Ale to tylko agencja, czyż nie?

– Jak myślisz, co trzeba zrobić, żeby założyć agencję?

– Spojrzała na dokument w ramce. – Wypełniasz formularz, podajesz im proponowany cennik, zdejmują ci

odciski palców, oświadczasz w dwóch egzemplarzach, że nie zamordowałaś nikogo, wpłacasz tysiąc dolarów i jeszcze sto pięćdziesiąt za licencję. No i możesz konkurować z Williamem Morrisem.

Wyciągnęła długą cygaretkę z pudełka na biurku i zapaliła.

– Jade Vail jest przykrywką dla tuzina różnych osób zajmujących się mnóstwem interesów. Część działa w pornografii. Czasopisma. Książki. Mają w Valley duży magazyn. Robią też sporo filmów video. Inni znowu... Nie wiem właściwie nic na pewno. Terri trochę mi opowiadała. Nie przysłuchiwałam się zbyt uważnie.

Wypuściła chmurkę dymu i uśmiechnęła się.

– Kiedyś zadałam sobie trud, żeby nauczyć się na pamięć statusu agencji. Jeden z paragrafów mówi: „Żadna agencja świadomie nie pozwoli, aby osoby podejrzane – prostytutki, hazardziści, nadużywający alkoholu lub narkotyków – bywały lub były zatrudnione w miejscu działania agencji artystycznej”. Jeśli trzymaliby się tego, to biuro stałoby puste.

– Do której grupy zaliczała się Karen?

Gina przez chwilę paliła milcząc.

– Widziałam ją parę razy lekko zawianą.

Carol nadal wpatrywała się w nią pytająco.

– Jade Vail zajmowali się przede wszystkim produkcją pornografii.

Otworzyła niską szafkę w rogu biurka. Jej wnętrze było wypchane kasetami video. Wyjmowała jedną za

drugą.

– Terri... Karen jest chyba na tych.

Carol przeczytała tytuły: „Czworo na podłodze”, „Oficer, ale nie dżentelmen”, „Bliskie spotkania wszelkiego rodzaju”. Zrobiło się jej niedobrze.

– Gdzie się zatrzymałaś?

– W takiej dziurze przy La Cienega.

– Myślałam że w mieszkaniu Karen...

– Nie wiedziałam, że miała mieszkanie.

– W północnym Hollywood. Kupiła je z rok temu.

Nieźle jej wtedy szło.

Carol otworzyła torebkę i wyjęła torbę z brązowego płótna, w której nowojorska policja wydała jej rzeczy siostry. Klucze były niemal w porządku, jedynie brelok się nadtopił.

– Może to klucze do jej drzwi?

Gina zerknęła.

– Chyba tak.

– Mogłabyś mnie tam zawieźć?

– Oczywiście. Jak sobie życzysz.

Carol wstała. Podniosła dwie kasety.

Napotkała wzrok Giny.

– Uważasz, że to dobry pomysł?

Carol jednak trzymała je nadal. Gdzieś w tym wszystkim musi być jakiś ślad Niech to będzie na początek.

Rozdział 16

– Karen to kupiła?

Carol nie była przygotowana na takie widoki. Stała w progu rozległego apartamentu z zapierającą dech panoramą Los Angeles rozciągającą się z przeciwległego okna. Był już zmierzch i światła samochodów w dole zostawiały niebiesko–zielonkawe smugi przymglone wilgocią rozgrzanego powietrza.

– Mówiłam ci, szło jej jak z płatka w zeszłym roku.

Nagle pod oknem coś rozbłysło. Wychyliła się i zobaczyła duży podświetlany basen. Usłyszała cichy plusk. Jakiś mężczyzna wykonał bezbłędny skok z trampoliny. Jego ciemne ciało przecięło drgającą powierzchnię i wsunęło się w wodę niczym jaszczurka.

Gina spacerowała po pokoju. Dotykała powierzchni różnych przedmiotów – stołu jadalnego, taflి przydymionego szkła stojącej na marmurowych bryłach. Carol obserwowała jej niesamowite odbicie w ekranie olbrzymiego, szerokiego na ponad trzy stopy telewizora.

– Wygląda na to, że sprzątaczką wciąż przychodzi – powiedziała niby od niechcenia Gina. Poszła do kuchni i do Carol doszły odgłosy brzęku szklanek.

Znała się na sprzęcie elektronicznym i włoskich meblach na tyle, by ocenić mniej więcej wartość wyposażenia pokoju. Musiałaby pracować dobry rok z okładem na same dywany.

Gina wróciła, niosąc dwie kryształowe szklanki wypełnione do połowy lodem i czymś żółtym.

– W lodówce jest trochę serów, butelka oliwek, kawałek pieczonego kurczaka. Nie polecam. Ale był jeszcze lód, Stolicznaja i mrożony sok pomarańczowy. Wybacz Terri...

Twarz Carol zeszywniała.

– Och, przepraszam! Wymknęło mi się...

Usiadła, skrzyżowała swoje długie nogi i zaczęła oglądać czubek buta.

– To wina Hollywood. Człowiek traci poczucie rzeczywistości. Wiele spraw już do mnie nie dociera.

– Nie przepraszaj. Wiem, że Karen nie żyje i nie zamierzam histeryzować. Tylko tutaj... tutaj czuję, jakby była gdzieś w pobliżu.

– Pociągnij sobie. To pomaga.

Carol pociągnęła tak duży łyk, że omal się nie udławiła. Koktajl był bardzo mocny. Gina miała rację, poczuła się nieco różnie.

– Zaczniemy od tego – wyłowiła z torby kasetę.

– Jesteś pewna?

– Już nie raz oglądałam porno.

Gina wzięła kasetę i włożyła do odtwarzacza schowanego pod stolikiem do kawy. Ekran zaszumiał i rozbłysł.

– Wypij. Przyda ci się. – Postukała długim, purpurowym paznokciem w szklankę Carol.

Sześć miesięcy temu Carol umawiała się z

producentem reklam, który po cichu parał się filmami o nieco lżejszej treści. Ciągłe zabierał ją na pokazy porno, tak jakby to były jakieś australijskie romanse. Dzięki tej, krótkotrwałej zresztą, znajomości poznała sprawę dość dokładnie od podszewki.

„Czworo na podłodze” było typowym filmem z „różowej serii”. Klasyczna fabuła. Jak zwykle zaczynało się od konfliktu między pragnącą doznań seksualnych dziewczyną, a jej mężem czy kochankiem znudzonym stałą partnerką. Dogadywali się z parą o podobnych problemach. Zaczynało się od nieśmiałego eksperymentu na wielkim, podwójnym łóżku.

W innym akcja rozgrywała się w warsztacie specjalizującym się w obsłudze zagranicznych kosztownych wozów. Kochali się na maskach i tylnych siedzeniach mercedesów i porsche. W scenie kulminacyjnej jedna z dziewczyn, która przypadkiem wpadła, by zmienić olej, masturbuje się dźwignią biegów luksusowego ferrari. Potem wszyscy tarzają się w oleistej mazi i oczywiście wrzeszczą w równoczesnym orgazmie.

Normalnie Carol oceniłaby te filmy jako przeciętne. Tylko że namiętą dziewczynę, kopulującą z własnym samochodem, grała jej własna siostra.

W pierwszej chwili, widząc jęczącą Karen, z zapalem wykonującą jednoznaczne czynności, Carol skuliła się i zamknęła oczy. Unikała wzroku Giny. Duszką wychyliła swojego drinka.

Alkohol popłynął gorącą strużką do pustego żołądka.

Resztę filmu obejrzała tępym wzrokiem, nie odczuwając niemal żadnych emocji.

Ze zdziwieniem ocierała łzy kapiące jej z oczu. Obraz rozmazywał się. Spróbowała wstać. Gumowe kolana nie były w stanie jej unieść, szybko usiadła z powrotem.

– Mówiłam ci, że nie będzie to łatwe.

– Nie wierzyłam. – Jej głos był obcy i chrypiący. – Myślałam... Naprawdę myślałam...

Nagle zrobiło jej się słabo.

– Lepiej się połóż.

– Wolę wrócić do motelu.

– Nie dojdiesz nawet do windy.

Carol jak przez mgłę pamiętała, jak Gina rozwiera jej zdrętwiałe na szklance palce. Dalej była tylko mieszanina koszmarów, wijące się nagie ciała wyciągające do niej zapraszająco ramiona, obracające się w powykręcaną, zwęgloną masę...

– Kawy?

Carol obudziła się z bólem głowy i suchym gardłem. Przez żaluzję wpadały paski światła. Wypiła pół filiżanki, nim rozpoznała Ginę w błękitnym jedwabnym szlafroku. Sama siedziała w łóżku naga. Szybko sięgnęła po prześcieradło. Gwałtowne łupnięcie pod czaszką nie pozwoliło jej dokładnie się nim okryć.

Gina uśmiechnęła się i pomogła jej matczynym gestem.

– Z waszej rodziny ty jesteś chyba tą bardziej nieśmiałą. Karen uwielbiała chodzić z gołym tyłkiem.

Nawet hydraulika potrafiła wpuścić nie ubierając się.

Carol próbowała się uśmiechnąć.

– O, skoro wraca ci humor, to proponuję coś zjeść.

Może tosta?

– Tak, pół kawałeczka.

Gina zsunęła się z łóżka.

– Już biegnę.

Carol ostrożnie wygramoliła się i powlokła do łazienki. Nie patrząc w lustro odkręciła prysznic. Weszła pod strumień lodowatej wody, stała chwilę, wyskoczyła i mocno natarła całe ciało ręcznikiem. Zaczynała czuć się jak człowiek.

Gina wciąż kręciła się po kuchni. Słychać było brzęk talerzy i poranne wiadomości. Miało być gorąco w rejonie LA.

Bluzka, spódnica i bielizna Carol leżały na kupce w rogu łóżka. Powąchała je i odrzuciła z niechęcią. Alkohol i pot nadały im raczej nieznośny zapaszek.

Usiadła ciężko na łóżku. Gina wróciła z jeszcze jedną kawą i talerzem tostów.

– Wygląda, że prysznic pomógł.

– Muszę mieć coś do ubrania.

– Voilä. – Gina rozsunęła lustrzane drzwi garderoby Karen. – Twoja dobra ciocia spełnia każde życzenia.

– Ubrania Karen? Nigdy!

– Myślisz, że miałyby coś przeciwko, gdyby tu była?

– Nie. Sądzę, że nie.

Jak zwykle bywa to z siostrami, wymieniały dawniej

nie tylko ciuchy, ale i pomysły, zwierzenia.

Owinięta ręcznikiem, sięgnęła do szafy. Podświadomie notowała napisy na metkach: Halston, Gucci, St Laurent – i to nie tanie kopie, ale *pret a porter*, oryginały warte setki dolarów.

Walcząc ze wspomnieniami o Karen wybrała jedną z bluzek i spodnie. Już prawie zamykała drzwi, kiedy coś przyciągnęło jej wzrok. Pośród jasnej galerii pastelów wisiało coś brudnozielonego. Wyciągnęła wieszak i oglądała ten strój ze zdziwieniem.

Gina zmarszczyła nos.

– Co to, u diabła, może być?

– Nie mam pojęcia. Coś jakby część munduru.

Carol podniosła rękaw. Materiał był gruby, szorstki, koloru khaki. Pot zostawił pod pachami jaśniejsze łaty, przód zdobiły brunatne plamy.

Pod spodem wisiały ciuchy zrobione z nierówno obciętych, wyblakłych jeansów, także wyplamione.

Gina powąchała koszulę. Czuć ją było dymem.

Carol również poczuła lekki zapach palonego drewna.

Te łachy nijak nie pasowały do Karen. Po coś musiały jednak tu być. Carol zapomniała od razu o bólu głowy. Podniosła rzeczy pod światło. Przez kieszeń koszuli lekko prześwitywał jaśniejszy kwadracik. Zajrzała do środka i wyłowiła w dwóch palcach zwiniętą karteczkę. Była zapisana. „2/27. 8/9. MVS /Pd./ Rewcja. 1200.”

– To pismo Karen.

Gina wzięła papierek.

– To zawiadomienie. Kłós zadzwonił do niej z propozycją pracy. Dwudziestego siódmego lutego. O ósmej makijaż. O dziewiątej na plan. MVS... To pewnie Multi Video Services koło Malibu. Tak, a Pd. oznacza południowe wejście. Mantegna wybudował sobie na terenie posiadłości prawdziwe studio.

Carol próbowała ukryć drżenie głosu.

– Mantegna?

– Och, co za niewinna dziewczynka.

Podawała jej kawę i tosta. Usiadła na łóżku.

– To miasto filmu. Teraz jednak króluje tu video. Oczywiście, robi się normalne filmy, ale w dużych studiach. Ale najwyżej w jednym na pięć zwracają się koszty. Jeśli zależy ci na szybkim zysku, to inwestujesz w video. Jakiś filmy sensacyjne dla lokalnych telewizji. Reklamy. Coś sensownego dla telewizji kablowych albo na kasety. Albo coś mocniejszego. Dostaniesz wszystko, jeśli dobrze zapłacisz.

Gina wbiła w tosta swoje idealnie białe zęby.

– Tony Mantegna robił kiedyś filmy przemysłowe. To coś, co pokazuje się na zebraniach udziałowców, by udowodnić im, że ich pieniądze nie idą na limuzyny i wakacje na Wyspach Dziewiczych. Ze dwa lata temu przerzucił się na porno. Najpierw nie wyglądało to obiecująco, ale ktoś musiał go dotować i MVS ruszyło. Teraz jest największe w swoim rodzaju. Filmy. Magazyny. Kluby. Prywatny klub video z kasetami po

tysiąc dolców.

– Tysiąc dolarów?

– Jest wielu bogatych staruchów, którzy nieźle zapłacą za coś naprawdę interesującego.

– I Karen tam pracowała?

Gina jeszcze raz spojrzała na kartkę.

– Na to wygląda. Tylko nie wiem, co znaczy to „Rewcja”. Ale tysiąc dwieście to pewnie gaża.

– Za dzień pracy? – Carol rozejrzała się po mieszkaniu. To wiele wyjaśniało.

– Jaki jest ten Mantegna?

– Przystojny. Koło czterdziestki. Zawsze otoczony kobietami. Nie wiadomo, na ile czynią to pieniądze, a na ile jego urok osobisty.

– Jak do niego dotrzeć... żeby porozmawiać.

Gina badawczo się jej przyjrzała.

– A o czym właściwie?

– To sprawa osobista. Muszę spotkać się z kimś, kto znał Karen. Wydaje mi się, że dobrze by było zacząć od Mantegny. Jak to zrobić? Umówić się na spotkanie?

Gina powiedziała wolno:

– Nie znajdziesz przez telefon dalej niż z Jade Vail.

– Może bezpośrednio jechać do MVS?

– Spróbuj tam się dostać bez przepustki! Nie uda ci się. Robią tam rzeczy, które nie powinny wyjść na zewnątrz.

– Musi być jakiś sposób.

– Może. – Gina zagryzła dolną wargę. – Ma zwyczaj

urządzać przyjęcia w czasie weekendów.

– Mogłabyś mi to załatwić?

– Nie wiem. Ale wysiałam już tam ludzi do pracy...

– Spróbuj, Gina. Proszę!

– Carol... Te przyjęcia... To pewien typ ludzi. Nie gra się na nich w „chińczyka”.

Przypomniała sobie film, który pokazała jej Karen – dziewczyna w lustrzanym pokoju płonąca niczym pochodnia, a potem pulsująca masa smażonego mięsa.

Stała przed lustrem i opuściła ręcznik. Wydarzenia ostatnich tygodni nie zeszpeciły jej ani trochę. Piersi nadal były jędrne i pełne, skóra bez skazy.

– Uważasz, że odpowiadałabym Mantegnie?

Czuła na sobie spojrzenie Giny. Jej oczy odbijające się w lustrze były nadal twarde, ale zauważyła w nich także lekkie podniecenie.

Podeszła do niej i delikatnie przejechała dłonią po jej policzku. Gina zadrżała pod dotykiem.

– Jeśli nie chcesz zrobić tego dla mnie, to zrób dla Karen.

Gina westchnęła.

– Zadzwoń.

Podniosła ręcznik i okryła nim nagie ramiona i piersi Carol. Stała przy niej blisko nieco dłużej, niż trzeba było.

Rozdział 17

Lattimer i Grierson stali przed frontem nieco zaniedbanego dwupiętrowego budynku z drewna przy Shattock w Berkeley, niedaleko uniwersytetu. Lattimer zwrócił uwagę Griersona na coś, co go zastanowiło w widoku górnego piętra.

– Spójrz na okna.

Szyby w obydwu oknach były dokładnie zaklejone specjalną folią używaną do ochrony przed słońcem. Może i miałyoby to sens gdzieś na wsi, w odkrytym miejscu, ale w zacienionej alei? Poza tym miedziany okap dachu rzucał wystarczający cień.

– Założę się! – powiedział. – To na pewno mieszkanie pana Salomona Kurtza.

– Nie przyjmuję zakładu. – Grierson spojrział na zegarek. Była jedenasta dwadzieścia rano, wtorek – trzecia po południu według czasu nowojorskiego, do którego jeszcze nie zdążył przywyknąć. Był wyczerpany. Poza kilkoma godzinami w samolocie, praktycznie, odkąd przybyli do Kalifornii, nie zmrużył oka.

Lattimer był tego dnia wyjątkowo miły i pomocny, ale nic nie było w stanie ożywić Griersona. Na dodatek nie udało im się odnaleźć Carol Woollcott. Zupełnie znikła im z oczu. Może Kurtz da im jakieś wskazówki co do dalszych poczynań. Jeśli Karen Woollcott już się z nim kontaktowała i jeśli pisarz byłby w stanie wyjaśnić im

parę spraw – na podstawie rozmowy, którą Lattimer przeprowadził, zanim opuścili Nowy Jork, można było go posądzić o lekkiego świra – to może nie męczą się nadaremnie.

Ceglana ścieżka prowadząca do drzwi frontowych wydawała mu się ciężka do przebycia niczym grzędawisko.

Lattimer powiódł palcem po wyblakłych tabliczkach i nacisnął guzik obok jednej z bardziej sfatygowanych, noszącej napis: „Instytut Badań Naukowych – S.Kurtz, Dyrektor”.

Zardzewiały mikrofon wychrypiał raczej nieuprzejme zapytanie, czego chcą.

Lattimer nadal trzymał palec na guziku i powiedział:

– Jack Lattimer i Richard Grierson z Insillu, panie Kurtz. Rozmawialiśmy wczoraj przez telefon.

Po chwili rozległo się:

– Dobrze. Górne piętro. Mieszkanie nr 1.

Zabręczało i zamek puścił. Lattimer pchnął drzwi. Stały otworem.

Salomon Kurtz stał wyczekująco na podeście u góry schodów. Trzymał dubeltówkę marki Winchester. Mierzył prosto w nich. Grierson zamarł, gapiąc się z niedowierzaniem w otwory lufy. Nikt nigdy nie celował do niego. Zakwalifikował nowe uczucie do raczej nieprzyjemnych.

Wyraźnie bardziej doświadczony Lattimer rzekł:

– Nie ma potrzeby, panie Kurtz.

– Legitymacje – rzucił Kurtz. – Pooglądamy sobie.

Obydwaj posłusznie wyciągnęli portfele i wyjęli dokumenty.

Broń obniżyła się. Grierson poczuł skurcz w żołądku i gwałtowne wydzielanie się soków trawiennych.

– Tędy.

Kurtz prowadził ich krótkim korytarzem ku otwartym drzwiom.

– Zawsze pan wita gości w ten sposób? – zapytał Lattimer.

– Niewielu tu bywa.

„Nic dziwnego” – pomyślał Grierson idąc za Lattimerem. Pierwsza rzecz, jaka uderzyła Griersona, gdy wszedł do pokoju to smród – mieszkanie śmierdziało mieszkanką zepsutych resztek najróżniejszego rodzaju.

Jedynym oświetleniem była goła żarówka w lampce nocnej, osłonięta kloszem z gazety. Kurtz musiał pokryć szyby co najmniej dwukrotną warstwą samoprzylepnej folii, gdyż światło dzienne w ogóle nie docierało do środka. Tak samo powietrze. Atmosfera przypominała wieżo otwarty grobowiec egipski.

Gdy jego oczy przywykły do półmroku, zaczął powoli rozróżniać kształty. Kąty były zavalone stertami czasopism i magazynów, wiele z nich pożółkło ze starości. Umeblowanie stanowiły: zapadnięte krzesło, kulawy stolik i kilka odrapanych etażerek.

Gdy weszli, Kurtz dokładnie zamknął drzwi, założył podwójny łańcuch, grubą sztabę i wreszcie odłożył

dubeltówkę.

– Siadajcie.

– Dziękuję – powiedział Lattimer. – Gdzie?

Kurtz po prostu zgarnął gazety z dwóch krzeseł kuchennych. Usiedli. Kurtz przyjął pozycję lotosu na zwichrowanej kanapie.

Mogli go teraz dokładnie obejrzeć. Miał więcej niż czterdziestkę, ale jego długie, tłuste, brązowe włosy, poważnie rzedniejące nad czołem, zdobiła indiańska przepaska. Luźna bawełniana koszula zapewne była kiedyś biała. Spodnie miały charakterystyczną linię. Na szyi podzwaniało kilka sznurków koralików i duży metalowy medalion przedstawiający symbol Wodnika. Takie łańcuchy można było znaleźć w każdym sklepie ze starzyzną. Kurtz bez wątpienia zatrzymał się w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym.

„Od tego czasu zapewne nie zetknął się z dentystą” – uznał Grierson.

– Co mogę dla was zrobić, chłopaki?

– Interesujemy się zjawiskiem samoistnej kremacji – rzucił śmiało Lattimer.

Uśmiech Kurtza wyrażał źle krytą satysfakcję.

– Musiało was nieźle przycisnąć, skoro takie urzędasy jak wy szukają czegoś o zjawisku tak czysto naukowym jak SK. A powinniście to wyśmiać jak wasi durni koledzy – ostatnie słowa wypowiedział z lubością.

– Jesteśmy otwarci na wszystko, co niesie nauka – próbował Lattimer.

– Ach, tak... – Podskoczył i zaczął grzebać w papierach. Wydobył dużą kopertę i wysypał im na kolana.
– Więc co to ma znaczyć?

Lattimer podniósł garść listów. Wszystkie pochodziły od wielkich firm ubezpieczeniowych z Insillem na czele. Bardziej lub mniej grzecznie dziękowano w nich szanownemu panu Kurtzowi za niezwykle cenne wskazówki, ale nie przypuszczano, aby zjawisko SK było godne wnikliwych badań lub dotacji. Odrzucono też możliwość uznania go za przyczynę ostatniej serii pożarów.

– No wie pan, takie duże instytucje nie zawsze reagują dość elastycznie.

– Ale nie wahają się, żeby kogoś urazić, prawda? A teraz to będzie trochę kosztowało. – Jego oczy zwężyły się. – Ile dacie?

– To zależy, co pan oferuje – włączył się Grierson. – Czytaliśmy pana książkę. Chcemy czegoś ciekawszego.

Kurtz z rozmachem zatoczył ręką okrąg.

– Tu dookoła znajdują się prawdziwe skarby. Tysiące potwierdzonych przypadków SK z całego świata. Fort byłby dumny z tej kolekcji.

Lattimer spojrzał na Griersona pytająco.

– Kto to jest ten Fort? Wspomniałeś o nim wczoraj, Richard.

– Charles Fort. Ekscentryczny pisarz amerykański...

Kurtz prychnął.

– To był geniusz, człowieku!

– ... który spędził lata zbierając dane o niewyjaśnionych tajemnicach z gazet, czasopism naukowych, doniesień świadków. Deszcze zab. Poltergeisty. Przypadki telepatii i teleportacji.

– Samoistnej kremacji – dodał Kurtz.

– To też. Ale nigdy nie dowiódł żadnej swojej teorii.

– Nie musiał. To były sprawy oczywiste. Fort zawsze mówił: „Jesteśmy własnością”.

– Własnością? – zdziwił się Lattimer. – Do kogo mielibyśmy niby należeć?

– Do tajemniczych władców – powiedział niby lekko Kurtz, tak jakby mówił o partii republikańskiej. – Oni są wszędzie. Wyglądają jak my, ale nie są ludźmi. Bawią się nami. Samoistna kremacja to jedna z ich gier.

– A jak to robią? Za pomocą fal myślowych?

– Tak. Promieniowanie kierowane przez ich super umysły. Obraca ono siły życiowe organizmu w ogień.

– Dziwi mnie, że pozwalają panu żyć. Wie pan tak dużo...

Kurtz wskazał na okno.

– Nic mi nie grozi, póki chronię się przed promieniowaniem. Wychodzę w nocy, kiedy ich zwierzęta udają się na spoczynek.

Lattimer spojrzał znacząco na Griersona.

– Richard, myślę, że nie będziemy zabierać panu Kurtzowi więcej czasu, prawda?

Grierson powstrzymał go jednak – Zainteresowała mnie pana książka. Pan studiował chemię?

– Nie. Mam doktorat Instytutu Mayo.

Grierson zwrócił się do Lattimera. Ten potrząsnął przecząco głową.

– Nigdy o nim nie słyszałem.

Kurtz skrzywił się.

– Typowe. Instytut Badań Psychiki Mayo jest największym centrum nauk astralnych wyższego stopnia.

– Pytam dlatego tylko, że pańska książka jest pełna zagadnień z dziedziny biochemii, które mnie zastanawiają.

– Jeśli byście naprawdę przeczytali moje dzieło, to zauważylibyście, że posługuję się jedynie ściśle naukowymi wyjaśnieniami zjawisk. Zgromadziłem wszelkie dane dotyczące sposobów, w jakie nauka konwencjonalna traktuje SK.

Grierson wyciągnął z kieszeni kilka zwiniętych kartek. Były to kopie ksero z drugiego wydania „Żywych pochodni”.

– O, w tym miejscu, na przykład Zaczyna pan niby formułować podstawowe reakcje chemiczne SK, ale wszystko urywa się w połowie. Wie pan, o który moment chodzi? Tam gdzie wspomina pan adenozynotrójfosforan.

Kurtz wyglądał na zakłopotanego.

– Pewnie coś ominęliście.

– Na pewno nie. Sam kilka razy sprawdzałem.

– No dobrze... – Kurtz unikał ich wzroku. – Koresponduję z różnymi ludźmi. Przesyłają mi materiały.

– Ten materiał też?

Kurtz wziął kartki i przyjrzał im się.

– Yhm. Tak. Myślę, że to od Glassbauma.

Grierson nadal patrzył wyczekująco. Kurtz wreszcie uznał, że nie ma wyboru, zaczął myszkować po swoich zbiorach. Po chwili wrócił z pomietą teczką w garści.

Oryginalny list od Glassbauma miał więcej niż cztery lata. Był pisany maszynowo na papierze z nagłówkiem firmy Biotech z adresem w Houston w Teksasie. Glassbaum podpisał się jako przewodniczący Działu Badań i Rozwoju, dr Isaac E. Glassbaum. List zawierał komplementy, określenia typu „najbardziej interesująca i porywająca książka” i prośbę o dostęp do cennych zbiorów.

Odpowiedź Kurtza była typowa dla człowieka tego pokroju – „jako niezależny badacz muszę bardzo cenić swój czas”, ale propozycja sporej sumki nazwanej „zapłatą za konsultację” wyraźnie go rozmiękczyła.

Następne listy były już ściśle związane z pracą. Glassbaum prosił o pewne wycinki według numerów kartotek. Kurtz za to wciąż apelował o dotacje na rzecz jego odpowiedzialnej działalności badawczej. Korespondencja urwała się gwałtownie mniej więcej przed rokiem.

– Czy Glassbaum przyjeżdżał tutaj?

– Tak. Trzy razy. Prawdziwy dziwak.

Lattimer uniósł brwi, słysząc z ust Kurtza to określenie.

– Mówiłem mu, że marnuje czas próbując *znaleźć*

naukowe wyjaśnienie SK. Nikt nie dojdzie prawdy, póki umysł ma zamknięty na prawdziwą rzeczywistość.

– Jaką miał teorię? A może nigdy panu o niej nie wspomniał?

– Kto to wie...? Gadał coś o mikrobiologii. Napotkał na coś w jakimś eksperymencie. Był to skutek uboczny. A właściwie, to o co wy mnie pytacie? Gównu wiem o tych naukowych dyrdymałach.

Grierson podniósł teczkę jeszcze raz.

– Nie ma chyba tych danych z pana książki.

– Są. Pod spodem. Nie na papierze z Biotechu. Przesłał to z domu.

Do sześciu stron przebitki zadrukowanych starannie podzielonym na akapity tekstem dołączony był list pisany tym razem ręcznie.

„Drogi panie Kurtz. Przesyłam panu te materiały mimo naszej niezgody co do źródeł problemu, gdyż jest pan chyba jedyną osobą, która zechciałaby zrobić z tego jakiś użytek. Złożyłem rezygnację. Można będzie mnie zastać pod numerem...”

Grierson spojrział na Lattimera.

– Jakie miasto ma kierunkowy 415?

– To jakiś lokalny numer.

– Oczywiście. Pewnie przeniósł się tutaj. Zależało mu na tych zbiorach.

– Ma pan adres doktora Glassbauma?

– Nic to wam nie da, chłopcy. Nie żyje.

Lattimer poczuł dreszcz.

– Od kiedy?

– Zginął około rok temu w katastrofie lotniczej. Pamiętacie, jak ta maszyna American Airlines spadła do morza przed lądowaniem w LA? Wszyscy o tym gadali. Pacyfik wyrzucał resztki ciał jeszcze przez parę tygodni.

Opowiadanie Kurtza wraz z jego niesamowitą fizjonomią i otoczeniem robiło wrażenie. Lubił grzebać w okropieństwach. Stąd pewnie jego zainteresowanie SK.

– Miał rodzinę?

– Żonę. Dzwoniłem do niej kilka razy. Dziwka, zawsze odkładała słuchawkę.

„Pewnie chciał wyciągnąć jakieś pieniądze od wdowy po hojnym Glassbaumie” – nasunęło się Griersonowi. Zanotował numer.

– Mogę zrobić kopię tych kartek?

– Boja wiem... – Oczy Kurtza znowu się zwężyły. – Ale ty płacisz za ksero, dobra?

Lattimer powiedział:

– Proszę przesłać za zaliczeniem, panie Kurtz.

Zmarszczył brwi, jakby przypomniał sobie coś nieznaczącego.

– Czy Glassbaum był jedyną osobą, która szukała kontaktu z panem po wydaniu pierwszej książki.

– Miałem tuziny telefonów, chłopie. Właśnie dlatego zrobiłem nowe wydanie. Przysłali mi mnóstwo nowych przypadków SK.

– A ludzie w rodzaju Glassbauma, którzy uważali, że można to naukowo udowodnić?

– Nie. Ostatnio nie.

– Czy ktoś uznał materiały Glassbauma z tej drugiej książki za interesujące?

– Mówiłem ci, chłopie, to gówno!

Tym razem Grierson wstał pierwszy.

– Panie Kurtz, bardzo pan nam pomógł. – Potrząsnął lepką ręką.

– Kiedy przyśle nam pan te kopie?

– Tam za rogiem jest ksero czynne do północy. Przygotuję na jutro.

– Dzięki Bogu, świeże powietrze – odetchnął Lattimer, kiedy wyszli z domu. – O mało się nie udusiłem.

– Spojrzał na zaklejone szyby. – Ale kłamczuszek, co?

– Kłamstwo wymaga ćwiczeń i koncentracji. A to tylko przestraszony wariat. Może naprawdę trzyma tę strzelbę i wychodzi tylko w nocy ze strachu przed „tajemniczymi władcami”. A ja sądzę, że on po prostu boi się ludzi...

Lattimer szedł pierwszy.

– Dobrze. Uznajemy, że ten Glassbaum doszedł do istoty SK. Musimy dojść, kto mógłby natrafić na jego ślad po książce Kurtza. Pewnie uczynił to tak jak my... I zapłacił Kurtzowi, żeby ten siedział cicho.

Grierson przytaknął.

– Jeśli Karen Woolcott kontaktowała się z Kurtzem, to musiało to od razu zaalarmować naszego faceta. I zabił ją.

„... zabił ją.”

Słowa Griersona zabrzmiały tak czysto, że doszły do człowieka w błękitnym chevrolecie. Patrzył za nimi, jak szli do wynajętego samochodu. Taśma w magnetofonie na siedzeniu przesuwała się bezszelestnie. Dopiero kiedy zniknęli za zakrętem drogi prowadzącej do San Francisco, obserwator oderwał od nich wzrok i spojrzał uważnie w ślepe okna budynku naprzeciwko.

Rozdział 18

– Mój mąż nie żyje. Mówiłam już to panu przez telefon. Nie mam nic do powiedzenia. Proszę odejść.

Vera Glassbaum była przyciężką kobietą po pięćdziesiątce. Jeśli kiedykolwiek była atrakcyjna, to teraz nie było po tym śladu na jej surowej, szerokiej twarzy. Zagroziła wejście niczym rozsierzony bulterier.

Było to nieciekawe miejsce dla Europejczyka. Ta część San Francisco, kiedyś elegancka, zamieszkała była teraz przez latynoskich emigrantów. Mały domek Very otoczony schludnym ogródkiem, pełnym dorodnych warzyw i krwistych róż, sąsiedował z brudnymi barakami. Tuż za płotem stało kilka wybebeszonych plymouthów i chevroletów, przeznaczonych na części lub po prostu porzuconych. Gdzieś w pobliżu ktoś słuchał płyty z sambą, muzyka urwała się i zaczęła po chwili od nowa.

Lattimer był tak grzeczny, jak tylko pozwalały mu nerwy.

– Pani Glassbaum, nie przesadzam mówiąc, że to sprawa życia i śmierci. Bardzo potrzebujemy informacji o badaniach pani męża.

– Zadzwońcie do Biotechu. – Jej głos był pełen złośliwości i ironii. – Ich zapytajcie.

Grierson spojrzał na Lattimera, który zaciskał pięści. Drgały mu mięśnie twarzy. Grierson dobrze to znał. Bezsilność wobec głupoty i niechęci. Kobieta powinna za

chwilę zacząć histeryzować i wrzeszczeć, by się odczepili.

– Wiemy, że Biotech rozwiązał umowę z pani mężem – zaczął. – Gdyby pani zechciała łaskawie powiedzieć nam tylko z jakich przyczyn...

– Chcecie przyczyn?! Mój mąż dał im wystarczające powody. Miał taką dobrą pracę! Dwadzieścia trzy lata. Mógłby być teraz nawet dyrektorem. Ale ten głupiec rzucił to wszystko. Wybrałam już piękne mieszkanie w Boca Raton na starość. A co teraz mam?

Spojrzała z wyższością na ulicę.

Wyremontowany domowym sposobem hudson ryczał, wypluwając kłęby dymu. Chłopak za kierownicą na widok obcych zwolnił i wyrzucił z siebie kilka zdań, które nawet Grierson, nie rozumiejący hiszpańskiego ani w ząb, uznał za obraźliwe.

Obydwaj milczeli. Pani Glassbaum westchnęła i odsunęła się od drzwi.

– Wejdźcie, wejdźcie. Lepiej niech te zwierzęta nas nie widzą.

Za drzwiami zaczął się prawdziwy świat Very Glassbaum. Grierson rozejrzał się ze zdumieniem po pokoju, który był żywcem przeniesiony z przedwojennego Wiednia. Ciężkie mahoniowe krzesła, grube, pochłaniające dźwięk, purpurowe kotary, stół jadalny, gdzie mogło równocześnie zasiąść piętnaście osób nad rosółem *mit Knockerln*, *Sauerbraten*, *Sachcrtorte*. Na ścianie dzieci o czerwonych policzkach pędziły na łyżwach po zamarznętej rzece do Filizanki gorącej

czekolady, kominka i puchowej pierzynki.

– Piękne meble – pochwalił Lattimer.

Vera Glassbaum potarła oparcie krzesła.

– Mojej matki, niech spoczywa w pokoju. – Pochwała Lattimera nieco ją rozchmurzyła. – Więc co, panowie? Może szklaneczkę herbaty?

Usiedli ostrożnie na brzeżku zabytkowej sofy i popijali mdląco słodki, parujący płyn, zagryzając ciasteczkami migdałowymi, podczas gdy Vera Glassbaum wylewała swe żale na świat nauki, Biotech i nieodżałowanego Isaaca Glassbauma przede wszystkim.

– Mieszkaliśmy wtedy w Houston. W dużym domu. Trzy łazienki. Garaż na dwa samochody. Mieliśmy dwóch Meksykanów do prac w ogrodzie i dziewczynę do kuchni.

Spojrzała w okno.

– Te zwierzęta nie wyniosłyby nawet śmieci za darmo.

– Interesował się samoistną kremacją... – podsuwał Lattimer.

– Najpierw to było tylko hobby. Lubił czytać o ludziach, którzy bez powodu spalali się. Nie przykładałam do tego specjalnej wagi. Któż jednak wie, do czego ta ich nauka może doprowadzić? Kiedy się poznaliśmy, chodziłam jeszcze do szkoły. Wyszłam za niego w wieku siedemnastu lat. Mówiłam mu: „Isaac, nic mi nie mów. Ja gotuję, sprzątam. Te twoje chemikalia i laboratorium to twoja sprawa”.

Grierson drgnął. Jego żona mówiła mu to samo za

każdym razem, kiedy próbował jej cokolwiek wyjaśnić, opowiedzieć o swojej pracy.

– Ale po jakimś czasie stało się to obsesją. Przynosił do domu akta, książki, gazety. I te rozmowy telefoniczne. Rachunki... Co tu gadać. Olbrzymie.

Przerwała, pociągnęła łyk herbaty. Obaj wiedzieli, że nie ma sensu jej popędzać.

– Nie było sprawy, kiedy nieźle zarabiał w Biotechu. Ale zaczął nad tym pracować w ich laboratoriach. Jego zwierzchnik przyszedł do mnie na skargę. Matthew Simpson, przemiły człowiek. Dwie śliczne córeczki.

– Na co się skarżył, pani Glassbaum?

– Coś z badaniami na zwierzętach szło nie tak. Wstrzyknął im coś nieodpowiedniego. Obcięli mu pensję. Dostał list. Ostrzeżenie. Czy można ich winić? Nie miał prawa używać ich zwierząt. Tłumaczyłam mu, ale on nie słuchał.

Lattimer zaczął:

– A jego papiery? Księgi laboratoryjne? Czy...?

– Było coraz gorzej. Zachowywał się jak wariat. Wysłał setki listów i artykułów do magazynów i gazet, wszędzie, gdzie mogliby coś wydrukować. Mówił, że rozwiązał to, że wiedział, czemu ci ludzie płoną. – Jej głos robił się z podniecenia coraz cieńszy. Grierson zaczął współczuć zmarłemu Glassbaumowi. To chyba małżeństwo z tą kobietą kazało mu oddać się całkowicie pracy. – Więc go wylali. Nie mam do nich żalu. Ostrzegali najpierw. – Westchnęła. – Odprawa by

wystarczyła na to mieszkanie, trzeba było tylko trochę pooszczędzać. Ale on wciąż myślał tylko o jednym. Sprzedaliśmy wszystko i przyjechaliśmy do Kalifornii. „Tylko na kilka miesięcy, Vera. Muszę tylko znaleźć kogoś, kto mnie zrozumie.” A potem... samolot...

– Tak mi przykro – powiedział Grierson.

– Nie chcę, żeby to źle zabrzmiało, ale chyba tak jest lepiej. Dostałam pieniądze z ubezpieczenia. Wystarczyło na dach nad głową. Radzę sobie.

Lattimer z ulgą dopił resztki herbaty i zapytał ostrożnie.

– A po co doktor Glassbaum leciał do Los Angeles?

– Ostatnie szaleństwo. Kiedy wszelkie magazyny naukowe przestały nawet odpisywać, zdecydował się na coś nowego. „Telewizja, Vero. Wtedy mnie będą musieli zauważyć.” Najpierw próbował ze stacjami telewizyjnymi. Potem z jakimiś kablowymi. Nasze wszystkie pieniądze miały pójść na ten film.

Zrobiła się blada z emocji.

– Ale znalazł kogoś? – zapytał Grierson.

– Jeden z nich obiecał, że robi dla Isaaca film za jedyne dziesięć tysięcy dolarów. To miało być tanio? Za jeden film? Ten człowiek specjalizował się w filmach naukowych o fabrykach...

– Filmach przemysłowych? – podpowiedział Grierson.

– Chyba tak. Ale nie prawdziwe filmy. Dla telewizji.

– Video?

– Może. Nie wiem.

– Pani Glassbaum, a może pani pamięta, jak się nazywała ta wytwórnia? Albo ten człowiek?

– Nie.

– Może coś będzie w papierach po mężu?

– Nie ma żadnych papierów.

– Jak to?

– Spaliłam. Całe góry! Zajęło mi to tydzień. – Wzięła jeszcze jedno ciasteczko i ostrożnie nadgryzła. Widząc zaskoczenie powiedziała usprawiedliwiająco. – Po co mi były? Jego szaleństwo zrujnowało nas. Przez to muszę tu mieszkać, z tymi bestiami za płotem.

– Popatrzyła po nich. – Powtórzcie mi jeszcze raz, skąd jesteście. Mówiliście, że z ubezpieczenia, tak? – Z ciastkiem w ustach, z widocznymi białymi zębami z porcelany wyglądała niczym szczur nad niespodziewanym kąskiem. – Czemu towarzystwo ubezpieczeniowe szpera w takich rzeczach?

– To czysto akademicki problem. Prowadzimy czasem takie rozmowy...

Jej oczy zwęziły się.

– Linie lotnicze? Mój adwokat powiedział, że dali tyle, że więcej nie można by wydobyć. Ale przecież ciała Isaaca nigdy nie odnaleziono... A może Biotech boi się, że ich pozwę?

Lattimer powiedział.

– Nie reprezentujemy Biotechu, pani Glassbaum. O to sama musi się pani zapytać.

– niesprawiedliwe zwolnienie... Czytałam o tym... –
Zatopiła się w myślach. – Biedny Isaac. Wyrzucili go
wtedy, gdy już jego dzieło było na ukończeniu... Nie
daruję im tego. – Wielka łza potoczyła się po tłustym,
upudrowanym policzku.

Grierson i Lattimer wyszli po cichu.

Ktoś ukradł im talerz z przedniego koła.

– Dobrze, że i tak coś zostawili. – Grierson rozejrzał
się po ulicy, nagle opustoszałej. – Ślepy zaułek.

Lattimer wiedział, że miało to dotyczyć nie
topografii, ale ich sytuacji.

– Wiemy, że Glassbaum kontaktował się z jakimś
producentem video. Chyba nie warto sprawdzać, czy to
ten sam facet, dla którego pracowała Karen Woollcott. No
i mamy Kurtza.

Grierson zastanowił się.

– Kurtz jest nerwowy. Może udałoby się go
wystraszyć, żeby wyznał, kto go opłaca.

– Brzmi to bardzo nieetycznie.

Wsiedli do samochodu i z ulgą opuścili dzielnicę.

Salomon siedział na podłodze po turecku z nagim
torsem i zwijał starannie cienkiego skręta z nasion i ziół,
które zdobył podczas nocnej wyprawy. Jeszcze jedna
korzyść z wychodzenia po ciemku. Wtedy zawsze
znajdował taniego handlarza.

Trawka pomagała mu zapomnieć o bólach pleców,

przetraconych przez zbira z policji podczas demonstracji w sześćdziesiątym ósmym przed budynkiem ratusza. Kodeina działała szybciej, ale Kurtz nigdy nie brał gotowych leków. Kto wie, co ci producenci w to pakują? I która z fabryk leków jest kontrolowana przez NICH?

Spojrzał na zaklejone szyby. Był ekspertem w określaniu czasu po odcieniu mdłego blasku sącącego się z zewnątrz. Musiało być koło ósmej, wystarczająco ciemno, żeby wymknąć się bez ryzyka wytropienia. Musi iść na ksero, żeby skopiować papiery dla głupków z ubezpieczalni. Zawsze to parę dolarów...

Dzwonek u drzwi zaterkotał.

Opuścił zapaloną zapałkę i wyjął skręta z ust. Popatrzył podejrzliwie na dzwonek. Podeszedł z trudem do drzwi, nacisnął guzik domofonu.

– Tak?

– Jack Lattimer, panie Kurtz. Rozmawialiśmy z Verą Glassbaum. Mamy parę spraw do omówienia.

Kurtz zawahał się. Pewnie już wiedzą, że ta stara krowa spaliła wszystkie papiery Glassbauma. Pewnie chcą położyć swe chytre łapy na jego zbiorze. Czuł zbliżające się źródło gotówki.

– W porządku.

Wpuścił ich, wziął strzelbę i stanął na schodach.

Było ciemno. Ten wszawy dozorca jeszcze nie wkręcił żarówki.

– Wchodźcie.

Zszedł niżej, żeby mieć oko na drzwi.

Były otwarte. Ale nikogo w nich nie było. Odbezpieczył broń i wyjrzał. Same nie mogły się otworzyć. Musiał je zamknąć. Inaczej ONI mogliby wejść.

Jeszcze jeden ICH podstęp?

Wyskoczył jednym susem na zewnątrz, błyskawicznie obejrzał okolicę. Nikt nie czał się na zapuszczonej uliczce. Kopniakiem zamknął drzwi.

Jego ulga była tak wielka, że nie zwrócił nawet uwagi na lekkie swędzenie na lewym policzku.

Rzucił się biegiem ku schodom, zamknął się dokładnie w mieszkaniu. Podniósł papierosa, zapalił go i z lubością wciągnął wonny dym. Był bezpieczny. Muszą się jeszcze sporo nauczyć, nim uda im się przechytryć Salomona Kurtza.

Na ulicy człowiek w ciemnoniebieskim pickapie nucił do melodii płynącej z radia. Zegar pokazywał ósmą dwanaście. „Jeszcze z pięć minut” – uznał.

Wystukiwał na kierownicy rytm. Ta Denice Williams to miała głos!

Piosenka skończyła się i równocześnie z wentylatora w ścianie kilka stóp od okien Kurtza zaczęła się sączyć smużka dymu.

Dziesięć sekund później jedno z okien z trzaskiem wypadło na ulicę i ukazały się huczące jęzory ognia.

Ludzie wylegli na ulicę. Niebieski samochód ruszył i odjechał w kierunku zatoki.

Kiedy Grierson i Lattimer wrócili, drewniany budynek przy I Shattock Avenue stał w płomieniach. Wozy straży pożarnej i policyjne blokowały drogę. Tłum młodych ludzi, studentów sądząc z odzieży, próbował przedrzeć się przez kordon policjantów z San Francisco.

Lattimer podsunął jednemu z nich swoją legitymację Insillu.

Gliniarz otworzył szerzej zdumione oczy.

– O kurczę, nie marnujecie czasu. Jeszcze nawet nie zaczęli gasić.

– Wiadomo, jak się to zaczęło?

– Na górnym piętrze, podobno. Prawdziwa pułapka. Mieszkanie wypełnione hałdami papierów.

– Czy mieszkańcy zdołali wyjść?

– Znaleźliśmy pieczeń. Chyba facet o nazwisku Kurtz, niedużo zostało.

Zapadł się strop i dookoła trysnęły snopy iskier. Policjant odwrócił się, by pomóc kolegom w przesunięciu barykady nieco dalej od budynku.

Lattimer zauważył dziewczynę szlochającą na ramieniu jednego z policjantów. Jej wzrost, włosy i szczupła sylwetka przypominały mu Carol Woolcott. O mało nie podszedł i nie chwycił jej za ramię, ale odwróciła się i podobieństwo zniknęło. Zastanawiał się, co teraz się dzieje z Carol. Bał się o nią. Była bliżej swego celu. Bliżej niebezpieczeństwa, strasznego końca niczym jej siostra czy nieszczęsny Kurtz.

– Richard, chyba nas mają.

Grierson pokiwał twierdząco, rozejrzał się po otaczających go twarzach. Która z nich przyglądała się im, a nie żywiłowi? Kto z nich widział, jak byli u Kurtza i wydali niechcący na niego wyrok? Wzdrygnął się, uświadamiając sobie nieuchronność tragedii. Kurtz miał rację. Byli wszędzie.

Rozdział 19

Carol Woolcott pędziła wynajętym wozem autostradą Pacific Coast na wschód od Los Angeles. Ta droga wiodła wzdłuż wybrzeża Santa Monica i mogła zaprowadzić ją, mijając Malibu i Point Durne, aż do Santa Barbara.

Ale Carol nie zmierzała tak daleko. Jej celem było miejsce dokładnie oznaczone na mapie leżącej obok na siedzeniu. Miała skręcić w drogę numer 23. Były tam też inne wskazówki zapisane pewnym pismem Giny. „Skoro już musisz jechać, to nie zabłądź.”

Gina w końcu załatwiła to, czego Carol chciała. Upór czynił cuda. Carol nie znała siebie od tej strony.

Jeśli Tony Mantegna był mordercą Karen, to musi go dostać. Jak to zrobi, nie liczyło się. Cel uświęcał środki. Carol złapała się na rozważaniu najbardziej groteskowych możliwości – nóż wepchnięty głęboko w pierś podczas snu, trucizna podawana powoli, kropla za kroplą, głowa nieprzytomnego w piecyku gazowym. Zastrzelony, udławiony, uduszony, rozgnieciony na miazgę kołami samochodu jeżdżącego miarowo tam i z powrotem...

I spalony. Zawsze na tym kończyła. Poparzony, usmażony, spopielony.

Carol bała się, że to początek jakiejś choroby, obsesji drzemiącej w podświadomości. Ale nawet strach o własne zdrowie psychiczne nie mógł jej zatrzymać.

Gina otworzyła jej drzwi. Po ich pierwszej rozmowie nie widziały się przez trzy dni. Wreszcie w środę zadzwoniła do Carol do mieszkania Karen.

– Masz czas w ten weekend? – zapytała.

– Na co?

– A o czym myślisz? Eleganckie soiré w wiejskiej posiadłości Mantegna. Wszelkie rozrywki, jakie możesz sobie wyobrazić i choroby weneryczne dla każdej jako tako wyglądającej dziewczyny.

– Tylko przyjęcie? Czy propozycja pracy?

– To to samo, kochanie. Mantegna trzyma tam nasmarowanego oliwą byka o imieniu Staub, który zajmuje się obsadą. Ulubioną metodą weryfikacji jest bezpośrednio przetestowanie. Waśnie po to te przyjęcia.

Carol chwilę milczała. Gina ciągnęła.

– Jesteś zaproszona. Czy mam uprzedzić, że zaszczybisz ich swoją obecnością?

– Powiedz im, że nie mogę się doczekać.

Gina rozłączyła się i Carol zaczęła na zimno obmyślać taktykę.

Mantegna i jego „kadrowiec” znali pewnie Karen zbyt dobrze, by nie zauważyć podobieństwa Carol. Ale tym samym, jeśli Karen tak bardzo podobała się Mantegnie, będzie to niezły atut w jej rękach. Sztuczka miała polegać na tym, by przypominała Karen Woolcott alias Terri Stamper bez ujawniania, że były siostrami.

Carol obejrzała krytycznie swoje odbicie w lustrze. Oznaczało to pewne zmiany w wyglądzie.

Karen nosiła włosy ściągnięte do tyłu. Carol kręciła na wałki. Trwała będzie tu najlepsza. I trochę rozjaśnić, bo obie były dość ciemne.

Co do fiołkowych oczu, to nic nie da się zrobić. Nie było czasu, żeby bawić się w szkła kontaktowe. Ale może lepiej, że tak zostanie. Trzeba zrobić z tego jedyny wyraźny element podobieństwa. To niestety oznaczało, że musi zmienić niemal wszystko.

Nikt nie rozpoznałby w dziewczynie za kierownicą wozu pędzącego przez słoneczną Kalifornię Carol Woolcott. Pod masą mocno skręconych włosów ze srebrnymi pasemkami widniała nieco maskowata twarz, przyciemniona pod kwarcówką Giny. Kości policzkowe były uwydatnione różem, a usta aż krzyczały ostrą czerwienią.

Co do ubrań, to starannie unikała rzeczy w guście Karen. Dobrała sobie u Thierry'ego Muglera komplet w stylu Rodeo Drive. Wyglądało to bardziej na styl militarny niż haute couture. Spodnie upchane w miękkie czarne buty z czubami były ze zgniłozielonej bawełny. Skórzana bluza wyglądała bardzo męsko. Pod spodem miała tylko czarny jedwabny podkoszulek, tak mocno wycięty przy szyi, że zakrywał niewiele z jej kobiecości.

Gina obejrzała ją z zachwytem.

– Miałaś rację. Wyglądasz jak ktoś, komu wszystko zwisa. Terri nie śmiałyby tak nikomu się pokazać.

Carol nawet czuła się tak, jak wyglądała. Pewność i arogancja. W tym stroju musi wykonać, co sobie

poprzysięgła.

Tablica przy drodze zapowiadała skrzyżowanie z drogą z Thousand Oaks i Simi Valley. Carol jeszcze raz sprawdziła mapę i wskazówki Giny. Mijała już prawie łańcuch przybrzeżnych wzgórz, gdy zauważyła zakręt w boczną drogę. Wiodła ona między drzewami, które gęstniały coraz bardziej, tworząc niemal las.

Mało brakowało, by przeoczyła niewielką przerwę wśród licznych sosen. Musiała trochę się cofnąć. Wjechała w wąski podjazd. Zaraz za pierwszym zakrętem zatrzymała ją solidna metalowa brama, wisząca na dwóch drewnianych palach.

Wysiadła z samochodu, w lesie było chłodno i cicho, snuł się zapach sosen. Coś mówiło jej, że jest obserwowana, ale jeśli była to kamera telewizji kablowej, to musiała być nieźle ukryta. Podniosła wieczko zamka bramy i wystukała na klawiaturze pięciocyfrowy kod: 77209, który Gina zamieściła w swoich notatkach. Zamek szcęknął i brama rozsunała się bezszelestnie.

Dom zobaczyła za następnym zakrętem.

Pewnie nieźle prosperujący agent giełdowy w 1928 roku uznał, że to miejsce świetnie nadaje się na wiejską rezydencję, w której mógłby w pełni rozkoszować się swoimi milionami. I pewien zdolny architekt postanowił go usatysfakcjonować. Minął następny rok, nim ostatecznie, sprowadzone z Włoch, czerwone dachówki pokryły dach, a rachunek architekta okazał się ostatnią kroplą, która przelała dzban długów jego klienta. Ich spór o dopełnienie

umowy przerwała kula z zabytkowego colta Dragoon.

Projekt był bardzo rozrzutny. Narzucał to styl. Było to coś między angielską kamienicą, a domem emerytowanego pułkownika z Kentucky – za wielkie by w tym mieszkać, za małe na szkołę z internatem, nie dość rozległe by służyć jako hotel, a ciut przy duże na klub. Ale przez pięćdziesiąt lat, aż do momentu, kiedy Mantegna go kupił, dom pełnił po kolei wszystkie te funkcje. I dom hazardu pod auspicjami Mafii, schronienie dla zbiegów, przytułek dla bogatych alkoholików i narkomanów.

Mantegna kazał pokryć podjazd nową warstwą żwiru, wyreperować dach, przegniłe podłogi, oszklął basen i zatrudnił sztab ogrodników. Jedynym dodatkiem, jaki zaryzykował, była grupowa rzeźba na klombie przed frontem. Przedstawiała ona Ledę gwałconą przez rozjuszonego łabędzia.

Carol zaparkowała obok rzędu innych samochodów, między powgniatanym volkswagenem a wytwornym porsche targa, które prezentowały się niczym larwa i motyl tego samego gatunku. Podeszła do szklanych drzwi prowadzących do głównego hallu.

Drzwi po lewej stronie prowadziły do dużej jadalni z francuskimi drzwiami otwartymi na ogród. Te po prawej były zamknięte. W momencie, kiedy próbowała je otworzyć, u szczytu schodów stanęła dziewczyna.

Miała srebrne buty na wysokich obcasach, łańcuszek wokół lewej kostki i za cały strój kawałeczek czarnego

materiału podtrzymywanego przez sznurki. Jej duże, nagie piersi kołysały się.

– Szukam pana Stauba.

Dziewczyna podeszła, ostentacyjnie obejrzała Carol.

– Pierwszy raz?

– Tak.

– To się odpierdol. Niepotrzebne tu takie...

Carol zbliżyła się, tak że poczuła zapach ciężkich perfum i potu. Szybko podniosła nogę i stanęła twardym obcasem na palcach dziewczyny, a ręką złapała ją za sutkę i mocno wykręciła.

Dziewczyna wrzasnęła z bólu.

– Ty suko! – Próbowwała dosięgnąć jej twarzy ostrymi paznokciami.

– Nawet o tym nie myśl!

Uszczypnęła ją w nie mniej wrażliwy punkt.

Tamta zaszlochała.

– Staub? – rzuciła Carol jak gdyby nigdy nic.

Pomachała ku drzwiom do jadalni.

– Jego biuro jest od tyłu.

Carol cofnęła się. Odwracając się wymierzyła na odchodne solidny policzek Rozległo się głośnie kłapięcie. Zaskoczona dziewczyna upadła na plecy. Stawiając jej stopę między piersiami, Carol zmusiła ją do bezruchu.

– Jestem pewna, że żałujesz swojego chamstwa.

Półprzytomna mamrotała coś bez związku. Stopa Carol bezlitośnie przesuwała się ku jej szyi.

– Co, do diabła, tu się dzieje?

Facetem w drzwiach był niewątpliwie Staub. Opis Giny: „śliski kurdupel” pasował do niego niczym garnitur Savile Row. Nie był najlepiej skrojony. Biały, z kamizelką i purpurową koszulą. Medalion na włochatej piersi. Wyglądał jak brzydki kuzyn Johna Travolty, który skurczył się w praniu.

– Puść ją! Debbie, co to, do cholery, znaczy?

Debbie z trudem dźwignęła się z czworaków. Policzek miała czerwony i opuchnięty, trzymała się za lewą pierś.

– To wariatka.

Carol wyjęła kartkę od Giny.

– Pan Mantegna zaprosił mnie tutaj.

Staub spojrział na świstek.

– Norma. Tu jest napisane Norma. Norma jak?

– Czy to ważne?

Staub obejrzał ją jak zwierzę na targu.

– Dobra. – Odwrócił się do drzwi. – Chodź.

– Manny! – zawołała Debbie. – Ona mnie uderzyła!

– Napij się czegoś, kochanie. Później pogadamy.

Biuro Stauba było udekorowane niczym w „Penthouse” czy „Playboyu”. Rozneglizowana piękność nad kominkiem. Głębokie, miękkie fotele z beżowej skóry, biurko pokryte taflą czarnego szkła, dopasowane do wanny z czarnego marmuru widocznej w rogu.

Okna wyglądały na patio zastawione stołami ocienionymi wielkimi, błękitnymi parasolami. Siedziały przy nich niemal nagie pary. Carol rozpoznała jednego z

mężczyzn – była gwiazda kinowa, obecnie produkujący się w tanich serialach telewizyjnych.

Staub przysiadł na brzegu łóżka i przypatrywał się Carol.

– Czemu uderzyłaś Debbie?

– Była niegrzeczna. Nie lubię złych manier.

– A jeśli ja byłbym niegrzeczny, to też byś mnie uderzyła?

– Nic takiego się nie stało.

Jego ręka wyskoczyła w przód, nim zdążyła pomyśleć. Poczowała łzy kręcące się pod powiekami.

– I co teraz? – Zawiesił oczy niczym wąż, obnażył zęby. – Podobało się, co? Ty suko!

„Nieźle się bawi” – uznała. Stała bliżej.

– Zrób to jeszcze raz.

Znany błysk w oczach i następne uderzenie. Zmusiła się, by zapomnieć o bólu. Opuściła rękę na jego uda. Drżącymi rękami rozpięła zamek. Był mały, twardy i gotowy. Wystarczyło trzydzieści sekund i Staub mruczał z rozkoszy.

Carol podeszła do umywalki i starannie umyła ręce. Kiedy wróciła, siedział za biurkiem.

– Nieźle ciągniesz, moja pani. Zawsze cię to tak podnieca?

– Narzekasz? – wstała. – Z chęcią powtórzę.

Staub skurczył się.

– Daj spokój, na Boga. Usiądź, nie myśl o tym. Odpocznij.

Usiadła w fotelu.

– Powiedziano mi, że mam zobaczyć się z panem Mantegna.

– Poczekaj, poczekaj.

– Kiedy?

– Ma akurat pewną konferencję. Potem cię poszuka. – Otworzył jedno z drzwi na patio. – Chodź, poznasz parę osób.

Kiedy wyszli na zalany słońcem taras, kilku mężczyzn poderwało się na ich widok. Staub poprowadził ją do stolika gwiazdora z oper mydlanych. Stojąc wydawał się jeszcze mizerniejszy. Nad skąpymi, czarnymi kąpielówkami z usztywnieniem w kroku zwisały mu fałdy brzucha. Z bliska twarz amanta była pomarszczona, a oczy zmęczone.

– Rick, poznaj Normę.

– Normo, to dla mnie przyjemność. Usiądź. Jak się masz?

– Umieram z pragnienia.

– Manny, podaj pani coś do picia.

Staub odbiegł niczym kelner z napiwkami w kieszeni, Carol rozluźniła się. Wyglądało to na jedno z tysiąca przyjęć, na których bywała. I ludzie...

Ale dla Karen pewnie też byli tacy mili. I dla dziewczyny, której śmierć w płomieniach widziała na taśmie. I Mantegna też obserwował to z zimną krwią.

Nienawiść wróciła silniejsza niż zwykle. Odpowiedziała uśmiechem na komplement aktora i nie

cofnęła nogi, kiedy zaczął ocierać się o nią kolanem. Cel uświęca środki. A wart był tego.

Rozdział 20

Trzydzieści stóp pod patio Tony Mantegna robił właśnie obchód swojego laboratorium, przyglądając się poczynaniom dwóch ludzi w białych fartuchach, pochylonych nad jasno oświetloną ladą laboratoryjną. Spojrzał na swój solidny, kwadratowy Cartier Santos z 24-karatowego złota już chyba po raz szósty w ciągu ostatnich dziesięciu minut. Przywołał wzrokiem młodszego z mężczyzn. Tamten rzucił spojrzenie koledze i podszedł do Mantegna.

– Ile to jeszcze potrwa?

Howard Jacobson, jak większość chemików parających się niegdyś narkotykami, przywykł do dyscypliny. Zdjął okulary, przetarł szkła i w ogóle starał się wyglądać na rozluźnionego.

– Jeszcze z godzinę, panie Mantegna. Zna pan Izzy’ego. Wszystko musi być tip-top.

– Nie mogę tyle czekać. Czy nie da się tego przyspieszyć?

– Wtedy straci część swojej mocy. Jeśli chodzi o związki biologicznie aktywne, to ich wiązania cząsteczkowe muszą być dobrze utrwalone. Inaczej zbyt szybko się rozpadają.

Mantegna wyglądał na rozsierzonego, ale wiedział, że Jacobson ma rację. Wpatrywał się w łysinę człowieka pochylonego nad ladą.

– Jak ci się pracuje z Izzym?

– W porządku. Z takimi starymi pierdzielami jak on można wiele zdziałać. Tylko trzeba dbać o ich dobry humor. Przypomina mi mojego wuja Myrona...

– Tak, tak. Ale jakby co, to czy sam byś sobie poradził?

Jacobson przez kilka sekund oglądał czubki swoich butów.

– Mógłbym pana okłamać i powiedzieć, że tak. Ale prawdę mówiąc, nie jestem zbyt dobrym chemikiem. A Izzy jest najlepszy. Zna to na wylot. Dokonuje syntezy aminokwasów sam, nie dopuszcza mnie. Ja tylko rafinuję i mierzę.

– Hm. Dowiedz się, ile się da. Jeśli Izzy’emu coś by się przydarzyło, odpukać, to bylibyśmy w kłopotcie. – Specjalnie podkreślił to „my” i Jacobson chwycił.

– Zrobię, co w mojej mocy.

– Howard! – znad lady dobiegł niecierpliwy głos.

– O, mój pan mnie wzywa – powiedział Jacobson.

– Będę w biurze. Zawiadomcie mnie, kiedy skończycie. – W przyjacielskim geście położył rękę na ramieniu Jacobsona. – Jesteś niezły, Howard.

Mantegna spojrział jeszcze, jak obydwaj pochylają się nad destylatorem, który, podobnie jak większość sprzętów w laboratorium, był bardzo pożytecznym spadkiem po rodzie Dellosa z San Francisco. Do rafinacji kokainy i heroiny trzeba było mieć niezłe wyposażenie. Izzy z łatwością przystosował to do ich potrzeb.

Idąc powoli do drzwi, jak zwykle rozważał, że to paradoks, iż całe to miejsce, piękny dom, świetnie utrzymane tereny, cała wytwórnia MVS, polegały na produkcji kilku gramów proszku. Ilości tak znikomej, że ledwie wypełniała łyżeczkę od herbaty.

Jego biuro różniło się od laboratorium. Wypolerowana podłoga z drzewa cedrowego, eleganckie biurko z czarnego szkła i przede wszystkim kolekcja sprzętu video najwyższej jakości dawała poczucie kompetencji i nowoczesności. Siedząc tu, Mantegna z lubością wspominał jednopokojową dziurę na Sunset, która musiała mu kiedyś wystarczyć za biuro. Zdezelowana aparatura video, psująca się nieustannie, góra pociętych taśm. Szuflady pełne rachunków, kilka nagrań przemysłowych, którymi się wtedy parał – to całe wyposażenie.

Pomysł sam w sobie był kiepski od początku. Przedsiębiorstwa chętnie dawały zlecenia na filmowanie ich działalności, ale gorzej było, gdy przychodziło do płacenia. Szukali dziury w całym, każdy – od szeregowego pracownika po dyrektora – miał uwagi i pretensje, że pominięto go w ogólnej prezentacji firmy.

I wtedy gdy robił bokami, ten telefon od doktora Glassbauma...

Od niechcienia włączył ekran, stojącego na biurku komputera Apple De i wystukał Niebieski Kod. Ekran błysnął: „Proszę podać klucz”.

Mantegna wypisał słowo, które otwierało jego

prywatny zbiór danych. Bez klucza nikt nie mógł przebrnąć przez elektroniczny labirynt, w którym kryły się jego tajemnice.

Ukazały się dwie kolumny wyrazów obejmujące dwadzieścia nazw.

Pierwsza lista to zbiór dwudziestu firm, które Mantegna wybrał z magazynu „Fortune” mniej więcej rok temu.

Część starych, renomowanych, kilka nowych. Międzynarodowa korporacja z biurami w Londynie, Nowym Jorku, Zurychu, Buenos Aires obok wytwórni zatrudniającej sześć osób, mieszczących się w budynku w Connecticut.

Ich jedyną cechą wspólną była podatność na różnego rodzaju naturalne katastrofy. Mantegna był chyba jedynym, który wpadł na takie kryterium grupowania.

Jak większość ludzi śledził w 1983 roku skandal tylenolu. Sporo osób zmarło lub zachorowało po zażyciu kapsułek pokrytych powłoką zawierającą cyjanek. Chociaż sprawę wyjaśniono i producent został oczyszczony z zarzutów, wiele czasu upłynęło, nim odzyskał popularność. Nie mówiąc już o zyskach, które w przypadku tylenolu spadły wyjątkowo drastycznie.

Mniej więcej rok później jakiś wariat zadał cios tradycyjnym, będącym niemal symbolem Ameryki Girl Scout Cookies. W całym transporcie herbatników znaleziono pinezki, igły i kawałki tłuczonego szkła, umiejętnie włożone przez celafonowe opakowanie. Mimo

iż na rzecz odbudowy zaufania do amerykańskich ciastek była prowadzona kampania na olbrzymią skalę – niektóre filie zaczęły nawet prześwietlać każdy kartonik – zamówienia i zyski tu też niepokojąco poszły w dół.

Mantegna wyśledził dziesiątki innych przykładów. Bakterie powodujące zatrucia pokarmowe, znalezione w puszkowanym łososiu niemal uśmierciły popyt na te ryby w Wielkiej Brytanii. Plotki o zawierających azbest izolacjach jednego z meksykańskich hoteli wymiotły wrażliwych na punkcie raka Amerykanów, a wypadki pożarów w małych londyńskich pubach tak obniżyły frekwencję, że z tuzin zamknięto w ciągu najwyżej roku.

Lista Mantegny obejmowała magazyny, hotele, studia filmowe, firmy elektroniczne opierające się na zamówieniach rządowych, linie lotnicze – wszystkie, które mogły szczególnie ucierpieć z powodu pożaru. Większość przedsiębiorstw odbudowywała się lub przenosiła po katastrofie, ale te, których działalność wymagała renomy i zaufania rzadko wygrzebywały się z kłopotów.

Pierwsza lista była skonfrontowana z drugą.

Do każdej firmy na pierwszej Mantegna dopasowywał inną, która była konkurencyjna i której eliminacja przyniosłaby zysk przeciwnikowi. Zajęło mu to dużo badań i rozmyślań. Które linie lotnicze walczyły o pasażerów na danej trasie i z kim? Która firma przejmie kontrakt, jeśli przedsiębiorstwo nie będzie w stanie go zrealizować? Która stacja telewizyjna zdobędzie większą

oglądalność, jeśli jej konkurent zawiedzie widzów i urwie popularny serial?

Firmy z listy były notowane na giełdzie nowojorskiej. Ileż się namęczył, żeby zdobyć rozsądny pakiet akcji każdej z nich.

Mantegna przejrzał listę. Computech... Z tym miał ostatnio problem. Jeśli ich najlepszy człowiek, Ted Ruskin odejdzie do rywalizującej Synapse, akcje Computech spadną. A Computech występował jako firma B w stosunku do wielkiego Flynn System, produkującego mikroobwody do pocisków na zamówienie marynarki.

Wyznaczył już Flynn na pożarcie, ale jakiś miesiąc temu wybuchł u nich skandal z kontrolą jakości. Pożar w takim momencie mógłby przyciągnąć zbyt wiele uwagi i dociekań, więc wycofał się. A teraz całej jego misternej konstrukcji groziło zawalenie.

Dzwonek czerwonego telefonu przerwał mu rozmyślenia. Zdusił przekleństwo i podniósł słuchawkę.

– Tak? – Słuchał zerkając w stronę drzwi laboratorium. – Nie mam tego jeszcze. Zrobią za godzinę.

Głos po drugiej stronie zaczął się burzyć, urwał tyradę.

– A co mogę zrobić? Od razu jak będzie gotowe dam znać. A co z ostatnim razem? – Słuchał przytakując z satysfakcją. – Dobrze. Przyjedź za godzinę. Będę coś miał.

Rozmowa wytrąciła go z rytmu. Zwykle włączał wtedy swoją aparaturę. Sam ją zaprojektował i bawił się

niczym emeryt kolejką elektryczną.

Przy konsolocie znajdował spokój i ukojenie nerwów. Delikatnie niczym pianista wciskał przyciski uruchamiające liczne kamery—

Siedem ekranów ukazywało główne wejście, patio, basen, biuro Manny'ego Stauba, sypialnie – gościnną i jego własną – oraz, dla śmiechu, damską ubikację koło basenu, gdzie dziewczyny przebierały się w stroje kąpielowe.

Ósmy ekran pozostał czarny.

Manipulując z wprawą zrobił przegląd patio. Rick Santini dostawiał się do jakiejś dziewczyny – nie mógł jej rozpoznać. Zrobił zbliżenie, ale siedziała bokiem i widział jedynie profil ginący pod masą czarnych włosów.

Zaciekawiony, włączył kamerę na basen. Ustawiona była w rogu poza szklanym sufitem, jej oko obejmowało cały basen, ale można było odpowiednio ją wykręcić na zewnątrz. Mantegna wycelował ją prosto na stolik, gdzie siedziała dziewczyna. Twarz Carol wypełniła cały ekran.

To przecież ta mała, o której mówiła Gina. Na pierwszy rzut oka – cudo. Ubrana fatalnie, ale i tak wyglądała sexy. Jej naturalny erotyzm przypominał mu kogoś...

Ciche pukanie do drzwi. Rozzłoszczony, wyłączył ekran i zawołał:

– Włącz, do cholery!

Carol właśnie podnosiła do ust drugą Margaritę,

kiedy kątem oka dostrzegła, że kamera na dachu basenu zaczęła się poruszać. Zdziwiona obserwowała, jak urządzenie chwilę obracało się tam i z powrotem i zamarło z obiektywem wycelowanym prosto w nią.

Kto mógł podglądać? Staub? Obejrzała się ku jego oknom i zobaczyła, że rozmawia przez telefon, opierając nogi na biurku. Rozglądając się wypatrzyła drugą kamerę, też zwróconą na ich stolik. Tylko jedna osoba mogła być aż tak zainteresowana. Żadna z kamer nie drgnęła. Próbowwała zapomnieć, że jest na wizji i zajęła się drinkiem.

– Jakież przepisy odnośnie basenu?

Santini wyszczerzył porcelanowe zęby.

– Tylko jeden. Im mniej zakryte, tym lepiej.

– O... To lubię.

Połknęła resztę martini jednym haustem i rzekła:

– Chyba się przyłączę.

Carol spojrzała na swój strój.

– Dałam za to kupę forsy. Czy jest tu gdzieś jakieś miejsce z wieszakiem?

Odprowadził ją do przebieralni. Nad drzwiami był napis: „Porzućcie wszystko wy, którzy tu wkraczacie”.

– Może w czymś pomóc? – zapytał Santini przybierając pozę, którą Carol знаła z filmów. Wyglądał po prostu jak karykatura.

– Możesz sprawdzić, czy woda jest dość ciepła.

– A jeśli nie jest?

– To ją podgrzejemy, co?

Weszła do środka i z ulgą zamknęła za sobą drzwi.

Jakiś dekorator bez inwencji zrobił z tego pomieszczenia coś w rodzaju obozowej wersji damskiego buduaru. Stopy grzęzły w grubym po kostki dywanie, lustro zwielokrotniały jej postać. Różowe oświetlenie poprawiało odcień skóry, tuszowało każdą skazę.

Łazienka była też różowa, a bidet w kwiatki. Najbardziej podobał jej się podgrzewany sedes.

Rozglądała się. Czuła, że jest obserwowana niczym na scenie.

Gdzie mógł ukryć kamerę? Nic nie wypatrzyła na różowych ścianach i pokrytym gipsowymi ozdóbkami suficie. Duże lustro nad umywalką odbijało niemal całe pomieszczenie. Jeśli było od drugiej strony przezroczyste, to nic nie umknęłoby schowanej za nim kamerze.

Nabrała powietrza, wzdrygnęła się i zrzuciła kurtkę. Jeśli miała sprzedać się Mantegnie, to czas zaczynać.

Rozdział 21

Mantegna uśmiechnął się do małego człowieka stojącego w drzwiach.

– O, Izzy. Proszę, wejdź. Usiądź.

Chemik wkroczył z ostrożnością królika przystępującego próg lisiej nory. Oczy miał rozbiegane. Zerkał z ciekawością na ekrany. Usiadł na samym brzeжку fotela stojącego najbliżej drzwi.

Pod warstwą strachu czuło się rozdrażnienie. Mantegna zauważył to.

– O co znowu chodzi?

Zamiast odpowiedzi Izzy wyciągnął z kieszeni fartucha szklaną fiolkę. Wewnątrz jedwabście połyskiwał biały proszek.

– O...! Właśnie na to czekałem.

Wyciągnął po nią rękę, a drugą sięgnął po złoty telefon. Ale Izzy cofnął swoją. Mantegna powoli opuścił ramię.

– Porozmawiajmy, Izzy.

Człowieczek oblizał usta, przerażony własną determinacją.

– Jak długo jeszcze będziemy się tym zajmować, Tony?

Mantegna oparł się wygodniej.

– To nie twoja sprawa, Izzy. Umawialiśmy się, że ja prowadzę interesy, a ty zajmujesz się swoją pracą. Czy

jesteś może niezadowolony z czegoś?

– Nie, nie, Tony. Ja tylko...

– Martwisz się. Dobrze. Rozumiem. Ale czy myślisz, że ja też nie mam zmartwień? To niebezpieczna gra. Nie powiesz jednak, że nie warta twojego zachodu.

Pochylił się nad komputerem i wystukał serię znaków.

– Hm. Masz na swoim szwajcarskim koncie w Union Bank około ośmiuset tysięcy dolarów. Pod koniec lata będzie bliżej miliona.

– Nie chodzi o pieniądze. Ja...

– A o co? Ryzyko? Nie ponosisz go prawie wcale. Nie ma żadnych związków między tobą, a operacjami. I nie możesz chyba powiedzieć, że nie dbamy o ciebie. Czy kiedykolwiek odmówiłem ci czegoś?

Chemik wyglądał na zakłopotanego.

– Nie, nie. Jesteś bardzo hojny.

– I ty też. Dajesz swój czas i wiedzę. Odpocznij trochę.

Odwrócił się do konsoly i włączył kamerę na basenie. Zaskoczył go widok pustego stolika. Przypomniał sobie, jak próbował rozpoznać dziewczynę. Odwrócił kamerę na basen. W błękitnej wodzie pluskało się kilka par. Parę osób odpoczywało na brzegu basenu. Nie było wśród nich dziewczyny z kręconymi włosami. Oferta przyszła mu łatwiej.

– Wybierz którąś. Którąkolwiek. Jest twoja.

Izzy wstał. Po jego oczach było widać, że walczy ze

sobą. Po chwili patrzył chciwie na ekran niczym głodne dziecko na wystawę z cukierkami. Mantegna ukradkiem podniósł fiolkę i położył na swoim biurku.

– Ta. Ta ruda. – Zdecydował w końcu.

Mantegna podniósł złotą słuchawkę.

– Powiedz Charlie’emu, żeby się przygotował – wyszeptał. – Potrzebuję go w San Francisco.

Dopiero wtedy rzucił okiem na ekran. Kamera zatrzymała się na dziewczynie rozłożonej na leżaku, nacierającej ramiona i wielkie piersi olejkami.

– Debbie? Chłopie, ale masz gust. Jest świetna.

Znowu chwycił za telefon. Odezwał się Staub.

– Powiedz Debbie, żeby przyszła tutaj. Z butelką... – Spojrzał na Izzy’ego –... szampana...?

Przytaknął.

– Szampana – powtórzył Staubowi. – Najlepszego. Bollingera.

Odkładając słuchawkę, poklepał chemika po ramieniu.

– Izzy, zrelaksuj się. Baw się dobrze. Pozwól młodemu Howardowi zrobić następną partię. To sprytny chłopak. Mógłbyś go nauczyć tego i owego.

– Tak Może...

– Przepracowujesz się. Wiesz, że mam rację. Przemyśl to wieczorem. Rano pogadamy.

Został znowu sam. Włączył szybko wszystkie ekrany. Omal się nie cofnął. Na środkowym, akurat na wprost. Wpatrywał się w nagie piersi i ramiona pięknej

dziewczyny o czarnych włosach i fiołkowych oczach.

Poczuł pożądanie i palące gorąco w dole brzucha.

Dziewczyna z niezwykłą starannością poprawiała makijaż. Mantegna obserwował z rozmarzeniem kołysanie jej piersi, grę mięśni pod idealną skórą. Z każdą sekundą czuł coraz mocniej, że musi ją mieć.

Skończyła. Poprawiła włosy, przyjrzała się sobie jeszcze raz i wstała. Oglądał smukłe uda i doskonale nogi. Miała na sobie jedynie dół od skąpego bikini. Podniosła biustonosz, wygięła się i zapięła z tyłu. Czarny kostium jeszcze bardziej podkreślał świetne kształty.

Cofnęła się od lustra. Mantegna zatrzymał obraz.

– Hej, Tony!

W drzwiach stała Debbie. Jej skóra lśniła od olejku w przyćmionym świetle korytarza. Szybko się ubrała – to znaczy przewiązała sobie włosy wstążką. Na siłę próbowała grać małą dziewczynkę. Kokarda stanowiła groteskowy kontrast z olbrzymim biustem, majtkami z sex shopu i srebrnymi szpilekami.

Wprawnie trzymała na tacy butelkę i dwa kieliszki. Wyglądała jak kelnerka z taniego baru topless.

„Szybko się psują. Kwiat też więdnie”. Mantegna zreflektował się i wyłączył video. Ale i tak było oczywiste, że Debbie widziała jego nowy obiekt zainteresowania.

Jej uśmiech był wymuszony. Kołysząc biodrami, przeszła przez pokój i postawiła tacę na biurku.

– Przed czy po? Co wolisz?

– Nie zgadłaś. Zamiast. To Izzy jest spragniony.

– Ten staruch? – Skrzywiła się z niechęcią. – Myślałam, że my... Już tak dawno...

– Wszyscy robimy, co musimy, kochanie. Proszę cię o przysługę. – Wstał i objął ją za ramiona. – Wiesz, że się odwdzięczę.

Nagle zaczęła szlochać.

– Ta czarna dziwka mnie uderzyła, a teraz na dodatek zabiera mi ciebie...

Zacisnął rękę na pulchnym ramieniu. Krzyknęła z bólu.

– Debbie, nie zamierzam z tobą dyskutować. Idź i zrób, co będzie chciał. Cokolwiek sobie życzy. Rozumiesz? Nie ma tu miejsca dla ludzi, którzy mi się przeciwstawiają.

Dziewczyna drżała. Podniosła tacę.

– Już idę, idę. Wcale nie powiedziałam, że tego nie zrobię. Uwierz mi, Tony, nie śmiałabym.

Słuchał, jak jej obcasy wybijają szybki rytm na marmurowej podłodze korytarza. Strach z pewnością spowoduje, że będzie chciała być wyjątkowo miła. Przy odrobinie szczęścia tak oczaruje Izzy'ego, że ten bez protestów przekaze produkcję Howardowi. Jeśli wszystko pójdzie, jak sobie zaplanował, to chemik będzie zbędny.

A najpiękniejsze w tym jest to, że nikt go nie będzie szukał. Doktor Isaac E. Glassbaum był oficjalnie martwy.

Carol usłyszała huk helikoptera, zanim maszyna

ukazała się. Miarowy, głuchy terkot zagłuszył rozmowy toczone wokół basenu i za moment wszyscy obserwowali, jak krąży nad kępą drzew. W końcu skierował się na północ.

Zasłaniając przed słońcem oczy, by móc dokładniej zobaczyć, Carol zastanawiała się, czy był w nim Mantegna. Czyżby urządziła ten cały striptease w pustej łazience bez widowni? Zastanawiała się i jeszcze raz próbowała wyperswadować sobie zbytni pośpiech. Niech to zabierze tydzień, miesiąc, rok albo nawet całe życie, byle niczego nie zepsuć.

Powietrze pod szklanym dachem basenu było wilgotne i pachnące. Ze ścian zwisały zielone pnącza, pełzły po kamieniach udających skały. Woda spływała do basenu małymi wodospadami, szemrząc kojąco. Carol wiedziała, że wymagało to wyrafinowanego systemu rur i pomp, które tłoczyły ogrzaną wodę z przezroczystego zbiornika na dachu do oczyszczalni i z powrotem do basenu. I tak w kółko. Jak większość efektów w tym domu i to było dla Carol mizernym naśladownictwem natury w stylu Disneylandu.

Dookoła leżały dmuchane materace, leżaki i poduszki. Na jednym z materaców leżał na brzuchu nagi mężczyzna nie pierwszej młodości. Dwie, również nagie dziewczyny z zapalem nacierały jego wiotką skórę olejkami. W rogu, częściowo na podłodze, bez skrępowania tarzała się jakaś para. Nie sposób było rozróżnić ich płci, mimo iż bez oporów wystawiali się na

widok.

Kiedy weszła, Rick Santini wykonał popisowy skok do wody. Wyplłynął koło krawędzi basenu. Z jego włosów spływała woda, demaskując wyraźne teraz ślady po operacji plastycznej.

– Chyba masz trochę za dużo na sobie. Ale chodź.

Już schodziła po drabince, gdy zreflektowała się. Nie miała co prawda takich delikatnych tajemnic jak Santini, ale z mokrymi, gładkimi włosami jej podobieństwo do Karen byłoby bardziej wyraźne.

Gorączkowo szukała jakiejś wymówki, ale głos za jej plecami uciał całą sprawę.

– Myślę, że mamy z Normą parę rzeczy do omówienia.

Podniosła głowę i spojrzała w czarne oczy Mantegny.

Dużo później zastanawiała się, jaki wpływ na jej poczynania miało to pierwsze zetknięcie.

Był to jakby szok i gniew, a także, gdzieś w głębi, zimna kalkulacja. Ale było coś jeszcze, czego nie przewidziała. Żaden mężczyzna nie pociągał jej tak mocno.

– Przejdźmy się.

Wyjrzał przez szklaną ścianę na hektary wypielegnowanej trawy.

– Na zewnątrz jest dużo spokojniej.

Szła za nim bez sprzeciwu.

– Jak się nazywasz? – zapytał, gdy odeszli kawałek.

– Czy to ważne? Z nazwiskiem czy bez i tak ci się pewnie przydam.

– Manny powiedział, że jesteś bardzo gorąca. Hm, widać to po tobie. A po co właściwie tu przyjechałaś?

– Po nic. Szukam pracy.

Zatrzymał się, odwrócił i spojrzał jej w twarz. Poczowała skurcz w brzuchu i słabość. Starła się mówić nieobowiązująco i krzykliwie.

– Dobra. Rozumiem. Robiłaś już kiedyś coś takiego?

– Filmy? Nie. Pracowałam swego czasu w studiu fotograficznym. Sześciu sprawnych facetów ze śmierdzącymi zębami, bez filmu w aparacie. No i trochę nagrań.

Mantegna uśmiechnął się, pokazując piękne zęby.

– No, no! Niegrzeczna z ciebie dziewczynka. Co za nagrania?

– Mam ponoć niezły głos do tych spraw. – Obniżyła ton i wyszeptała namiętnie: – „O Boże, czuję go! Jest tak duży...”

Roześmiał się.

– Ale właściwie nie tego potrzebuję. Pracowałaś może kiedykolwiek jako masażystka? Albo dziwka?

– Nie. – Milczała chwilę. – Ale chyba wiem o co tu chodzi.

– Potrafiłabyś przy ludziach?

– Nie byłby to pierwszy raz.

– Muszę sam zobaczyć, co potrafisz.

– Liczyłam na to.

Wpatrywał się w nią. Znowu ten skurcz. Tym razem nie broniła się.

Pod dachem basenu było cieplej i wilgotniej – albo to tylko subiektywne odczucia Carol. Słońce, nisko już nad horyzontem, wypełniało szklarnię złocistym światłem, które sprawiało wrażenie, że wszystko było pogrążone w gęstym, letnim płynie.

Mantegna sięgnął do zapięcia biustonosza Carol. Jej uwolnione piersi zakołysały się. Usłyszała westchnienie i ze zdumieniem zorientowała się, że to jej własny głos.

Jakieś ręce błędzące pod napiętym materiałem majtek powoli próbowały je zsunąć. Ale nie były to jego ręce, gdyż w tym czasie rozdzielał ich cały tłum innych, którzy zdejmowali z nich i z siebie ubrania.

Opadła na wilgotny materac. Znowu ręce. Głaskały ją, masowały, wcierały olejek. A potem ten błogi moment, ciężar na jej ciele, gładka skóra, napięte mięśnie, uczucie bezsilności. Bezsilności wobec niego, gdy wreszcie wszedł w nią.

Wydawało jej się, że wypełnił ją całą. Otworzyła oczy w niemym krzyku. Wewnętrzny skurcz zmienił się w eksplozję gorąca, niemal ból, zagłuszony przez gwałtowną falę rozkoszy. Otworzyła oczy i spojrzała w twarz mężczyzny, który zabił jej siostrę.

Leżała wyczerpana orgazmem niczym zwierzę z przetrąconym grzbietem.

Rozdział 22

Grierson obserwował przez szybę baru na lotnisku ścianę chmur, które nadciągały od strony łańcucha wzgórz otaczających San Francisco od południowego wschodu.

Podłużna, kłębiasta masa, śnieżnobiała na górze, poszarzała u podstawy, ciągnęła się nad ziemią niczym zasłona. Oglądając ten widok zaczynał rozumieć, czemu starożytni przypisywali swoim bogom moc kierowania aurą.

Zjawisko pędziło w ich stronę z zadziwiającą prędkością. Dolina pogrążyła się w żółtawym świetle. Zanurzone w brudnym kremie wierzchołki wzgórz zdawały się rozplýwać. Czyste, błękitne powietrze zmieniło się w mętną mgłę, która zamazywała kontury obłoków.

Zaczął go ogarniać nastrój kontemplacyjny. W takich chwilach zwykł zastanawiać się, co takiego pociąga go w pożarach. Jako detektyw spędzał większość swego czasu grzebiąc w popiołach, przesiewając je w poszukiwaniu faktów w imieniu umarłych.

Największą podniecię stanowiły dla Griersona mroczne sekrety podpaleń. Nie czuł potrzeby konfrontacji z kryminalistą. Po rozwiązaniu zagadki sprawa przestawała go interesować.

Kilku podpalaczy jednak poznał. Byli z reguły mili i subtelni, z rodzaju tych, z którymi chętnie mógłby pójsć

po pracy na piwo i pogawędkę ku obopólnej przyjemności.

Podkładanie ognia, w o wiele większym stopniu niż morderstwo, jest zbrodnią z pasji, czynem motywowanym zwierzęcą namiętnością. Nie reagował zaskoczeniem, gdy odkrywał, iż występki zawierały w sobie element pornografii, sadyzmu. Seks i piromania z reguły szły w parze. Śledztwo w sprawie plagi pożarów stodoł doprowadziło do dziewczyny, u której widok płomieni powodował silne podniecenie seksualne. Zmuszała swoich kochanków do podpalania budynków. Stawali nie opodal samochodem i kochali się.

Pewien raport naukowy dotyczący patologicznych piromanów, który trafił na biurko Griersona gdzieś w początkach jego kariery, szczególnie zapadł mu w pamięć. Psycholodzy dowodzili, że nie notuje się raczej przypadków podpaleń przez ludzi zadowolonych ze swojej pracy.

Ogień wyzwala i koi najgłębsze emocje. I kiedy człowiek ze skłonnością do podpaleń, z której często nie zdawał sobie sprawy, traci dobrą posadę, to ma szczególnie duże predyspozycje, by zostać rasowym podpalaczem.

Ciekawe, co by się stało, gdyby Insill pozbył się jego, a nie tuzina innych detektywów? Czy mógłby...?

Skinął na kelnerkę. Zastanawiał się, jak długo jeszcze Lattimer zamierza stać przy telefonie.

Sto jardów dalej Lattimer właśnie wyszedł z

plastykowej budki i spojrzał ze wstrętem na aparat.

Nie mógł zdecydować, która z rozmów, czy ta z nowojorskim biurem Insillu, czy z byłą żoną, była bardziej stresująca.

Insill jak zwykle trwał przy swoich sztywnych biurokratycznych zasadach. Jego sekretarka przekazała mu stanowcze żądanie Porterfielda odnośnie raportu co do postępów śledztwa i to w ciągu dwudziestu czterech godzin, pod groźbą zawieszenia w obowiązkach. Usterka komputera opóźniła przekazanie danych między Nowym Jorkiem a Zachodnim Wybrzeżem, dotyczących informacji o Karen Woollcott i uaktualnionego zestawienia podejrzanych z Los Angeles. Wędrowały gdzieś po łączach. Czy będą dostępne, zanim wylądują w Los Angeles? Nie wiedział.

No i Sherry. Krzycząca, jęcząca, rzucająca wyzwiskami i groźbami.

Wrócił do zatłoczonego baru. Idąc potrącał stoliki. Na barkach czuł ciężar zmęczenia.

Rozejrzał się po twarzach w tłumie. Przez głowę przebiegła mu mroząca krew w żyłach myśl. Jeśli byli obserwowani, to wróg musiał czaić się wśród nich.

Lata pracy nauczyły Lattimera jak prowadzić śledztwo, ale nie jak sprawdzić, czy sam był śledzony. Wiedział ponadto, że jeśli obserwator był wystarczająco dobry, to raczej niemożliwe, by go przyłapali.

Już samo wspomnienie, że wróg mógłby czaić się w tym budynku, nie mówiąc już o barze, przyprawiło go o

bolesny skurcz żołądka. Spojrzał na człowieka siedzącego najbliżej, który mógł z łatwością podsłuchiwać jego rozmowy. Przystojny, w ciemnoszarym garniturze businessmana, miał przy sobie otwartą aktówkę, z której co jakiś czas wyciągał nowy dokument. Przy następnym stoliku elegancka kobieta koło czterdziestki z uwagą studiowała „Cosmopolitana”. Naprzeciwko niej zasiadł brodaty, wyglądający na zarozumiałego facet, o brwiach szerokich jak u Breżniewa.

Lattimer przyjrzał się mu dokładniej, a potem uśmiechnął kwaśno sam do siebie. Dobry obserwator byłby całkowicie niepozorny, tak niepozorny, że nawet by go nie zauważył. Na przykład ten czarny sprzątac w fartuchu, leniwie wlokący ze sobą mokrą szmatę. Coś długo kręci się w tym samym miejscu. Albo chłopak zbierający puste naczynia.

Popatrzył, jak chłopak zatrzymał się przy jednym ze stolików. Poczul na sobie czyjś wzrok. Spojrzał obok i rozpoznał Griersona. Musiał zmienić miejsce. Szybko do niego dołączył.

– Załatwiłem bilety na najbliższy lot.
– Odkąd tu jestem, nic innego nie robię, tylko latam i latam. Załatwiłeś telefony?

Lattimer pokiwał twierdząco. Męcząca rozmowa z Sherry nie była warta głębszego zastanawiania się, ale zawsze to lepsze niż roztrząsanie niemal paranoicznej obsesji, że ktoś na nich czyha.

– Chyba między mną a Sherry jest jeszcze gorzej, niż

przed rozwodem. To już prawie wojna. Jeśli nie wrócę zaraz do Nowego Jorku, to poda mnie do sądu za zaniechywanie obowiązków ojcowskich.

– Współczuję ci.

– Rodziny ludzi z ubezpieczeń powinny przywyknąć do pewnych spraw.

Zanim zdążył dokończyć zdanie, pożałował swoich nietaktownych słów. Podążył za wzrokiem Griersona i szybko chwycił się tematu pogody.

– Nie martw się tym. – Wskazał na zbliżającą się falę mgły. – Mgła tutaj pojawia się i odchodzi co godzinę. A do lotniska jest stamtąd bardzo daleko.

– Nie o tym myślałem.

– Tak? – Lattimer pomachał do kelnerki i zamówili szkocką z lodem. – O czym zatem? O naszych mizernych postępach?

Grierson pociągnął trochę piwa. Zaczął nawet lubić tutejsze gatunki, zawsze świetnie zmrożone, w przeciwieństwie do angielskiej letniej lury.

– Wiesz, jak to jest z przeczuciami. Swędzenie, którego nie można podrapać.

– Wierzę w intuicję – pośpieszy! Lattimer.

– Jak dotąd idziemy bardzo szybko – mówił Grierson. – Zastanawiam się, czy czegoś nie pominąłem. Czegoś istotnego.

– Czego na przykład? – Lattimer zaczął odliczać na palcach.

– Jeden. Metoda. To prawda, że nie wiemy, jak to

działa w ofiarach, ale Kurtz zaopatrzył nas w kilka śladów. Jestem pewien, że przy tych szczurach czegoś zaniedbaliśmy.

Odgiął następny palec.

– Dwa. Podejrzani. Wiemy już, że pierwszym odkrywcą był Glassbaum. Bez trudu dowiemy się, kim był ten producent, z którym się kontaktował. Jak go znajdziemy, to mamy podpalacza w garści.

– Niby wszystko według ciebie wiemy. Oprócz tego, jak, dlaczego i kto.

Lattimer wyglądał na zdenerwowanego.

– Te twoje metody, Richard. Tylko narzekasz. Może nie mamy nazwisk i liczb, ale wystarczy chyba przekonanie o słuszności i winie.

Żółtawe światło za oknem jeszcze przybladło. Grierson ledwo rozróżniał wzgórza.

– Powiem ci, co mnie martwi. Stawiamy wszystko na jedną kartę. A ten wirus SK – nie mamy pojęcia jak to działa, co robi z ofiarą. Czy trzeba tygodnia, dnia, minuty. Jeśli to coś podawanego doustnie, to jakie powoduje skutki? Widzieliśmy Kurtza na zaledwie godzinę przed śmiercią. Wyglądał całkiem zdrowo.

– Tak samo Karen Woollcott, jeśli wierzyć Carol.

– A... to inna sprawa. Karen Woollcott.

Kelnerka przyniosła Lattimerowi jego whisky. Pociągnął łyk. Zirytowała go aluzja Richarda. Wspomnienie Carol przypomniało mu ponadto, że dziewczyna pewnie strasznie ryzykuje i jest w

niebezpieczeństwie.

– Co o Karen Woolcott, Richard?

– Chciałbym zobaczyć wycinki sekcji tej ręki. Mogą tam być jakieś ślady.

– Horowitza nie sposób zmusić do eksperymentowania na królikach, nie mówiąc już o sekcjach. Musi nam wystarczyć to, co wiemy od Carol. Mówiła o tym video. Prosiłem o komputerowe dossier Karen. Mam nadzieję, że wszystko czeka na nas w Los Angeles. Ale jeśli jest tam coś interesującego, to niech zjem wszystkie te papierzyska.

Grierson dopił piwo.

– Chciałbym czuć się tak pewnie.

Megafony nakazały pasażerom odlatującym w kierunku Los Angeles udać się do odprawy. Grierson i Lattimer przepychali się do punktu kontroli bagaży, gdzie prześwietlono ich teczki.

Lattimer osunął się na siedzenie z miłym uśmiechem, jakby wracał do domu. Według niego istniało tylko jedno miejsce, w którym można było czuć się całkowicie samotnie. Był to samolot Wysokie oparcia siedzeń odgradzały poszczególnych pasażerów. Jedyne łącznikami były posuwające się cicho, uśmiechnięte stewardesy. Silniki zawyły. Odprężył się po raz pierwszy tego dnia.

W hallu dworca stała osoba bacznie obserwująca, jak wielki DC-9 powoli unosi się z płyty, zostawiając czarne

kłęby dymu. Tłum przy przejściu do kontroli znacznie ułatwił sprawę. Ofiara nic nie poczuła. Po następnej pół godzinie już nigdy nic nie poczuje.

Rozdział 23

Lattimer rozsiadł się wygodniej w fotelu, rozpiął kołnierzyk i rozluźnił sznurowadła. Jak zwykle w kabinie mimo klimatyzacji było duszno. Nawet struga zimnego powietrza przesuwająca się nad głowami nie przynosiła ulgi. Gdy tylko zgasły sygnały „Zapiąć pasy” i „Prosimy nie palić”, wcisnął guzik przywołujący stewardesę.

Była wysoka i jasnowłosa – kiedyś wszystkie takie były. Teraz wystarczyło, żeby wyglądały tak jak przeciętna kelnerka w barze.

– Chciałbym czegoś się napić. Czy macie piwo?

– Będziemy podawać napoje z wózka za moment, proszę pana.

Próbował się uśmiechnąć.

– Naprawdę jestem spragniony. Tu tak duszno.

– Dobrze... Zobaczę, co da się zrobić.

Lattimer odwrócił się do Griersona.

– Richard, czy chciałbyś...

Zamilkł. Był pewien, że przed wejściem do samolotu Grierson nie miał tych ceglanych plam na karku. Rumieńce powiększały się, pokrywały prawie całą szyję i policzki.

– Richard! Co się dzieje? – Spojrzał ze złością na dziewczynę, panicznie próbował odsunąć pierwszą myśl, jaka mu się nasuwała.

– Mówiłem pani, że tu jest za gorąco. Ogrzewanie

musi być źle ustawione, tu musi być więcej niż dziewięćdziesiąt stopni.

Stewardesa pochyliła się i spojrzała w twarz Griersona.

– To nie wina ogrzewania. Czy pański kolega miał kiedyś kłopoty z wysokim ciśnieniem? Albo atak serca?

– Jest zdrowy. Proszę mu–podać trochę wody.

Odeszła pośpiesznie. Lattimer rozluźnił kołnierzyk Griersona. Niezręcznie szarpnął i oderwany guzik odbił się od oparcia następnego fotela. Grierson zaczął oddychać głębiej.

– Jack! To nie... – Nieunikniona prawda doszła do jego świadomości. Nie mógł już wypierać się jej. – O Jezu! Nie!

Spróbował wstać, ale Lattimer wcisnął go z powrotem w siedzenie.

– Nie ruszaj się, Richard. Uspokój się. To nie musi być to, o czym myślisz.

– Do diabła, płonę! – Jego głos podniósł się do krzyku. Zewsząd zerkwały ku nim zaciekawione twarze.

Lattimer chwycił ramię Griersona. Gorąco było wyczuwalne. Nawet przez ubranie. Gorączka. Nie, gorzej. To właśnie to chcieli zobaczyć – niekontrolowany wzrost temperatury ciała, który miał doprowadzić do samoistnej kremacji.

Griersona można było już skreślić. Lattimer poczuł falę współczucia i bezsilności. Ale jego przyjaciel jeszcze żył i potrzebował pomocy. Jeśli jednak zacznie płonąć w

samolocie, to wszyscy zginą.

– Pomóż mi, Jack. – Grierson osunął się na oparcie, jego purpurowa twarz lśniła od potu. – Pomóż!

– Proszę to zażyć.

Stewardesa stała koło nich z papierowym kubkiem w jednej ręce i dwoma białymi tabletkami w drugiej.

– Mamy tu świetnego lekarza. Pytałam go...

– Do diabła z tym wszystkim! – Lattimer wstał. – Proszę przynieść gaśnicę!

Dziewczyna wyglądała na zdumioną.

– Co przynieść?

– Gaśnicę, do cholery!

Wciąż patrzyła na niego.

– Przestań się gapić i zrób, co ci mówię. Jakie macie. Tu trzeba typ C02.

Siedzący za nim Grierson zajęczał. Zgiął się wpół, kurczowo ścisnął klamrę pasa.

Lattimer z jednej strony aż drżał z chęci obejrzenia zjawiska. Ale chodziło tu o ludzkie życie.

Rozejrzał się dziko dookoła. Jakiś pasażer, przypuszczalnie lekarz, przepychał się w kierunku Griersona, niosąc apteczkę pierwszej pomocy.

Człowiek z brwiami Breżniewa, którego zauważył wcześniej w barze, ruszył ku nim gdzieś z ogona samolotu. Lattimer chwycił brutalnie stewardesę za ramiona i potrząsnął. Rozległy się okrzyki niezadowolenia. Woda chlusnęła po sąsiednich miejscach.

– Słuchaj – Lattimer starał się mówić spokojnie i

dobitnie. – Daj tu gaśnicę! Natychmiast! – Pchnął ją niemal wprost w ramiona brodacza.

– Co tu się dzieje? – Jego prawa ręka sięgnęła do kieszeni. Lattimer uchwycił błysk kolby pistoletu 38, używanego w brygadach specjalnych. W drugiej podsuwał mu pod nos złotą odznakę w skórzanym etui.

– Jestem ze Służby Ochrony Ruchu Powietrznego. Proszę wrócić na miejsce.

Stewardesa wyjaśniała nieskładnie.

– Coś złego dzieje się z kolegą tego pana, a on wola o gaśnicę...

Lattimer poczuł narastającą panikę.

– Słuchajcie, jesteśmy w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Zaraz wybuchnie pożar. Zaraz. Proszę. Dajcie mi tę gaśnicę.

– Czemu tak uważasz, kochany? – zapytał policjant. – Przewozicie coś łatwopalnego lub środki wybuchowe, to poważne wykroczenie.

Zwrócił się do stewardesy.

– Czy mieli jakiś bagaż ręczny? Chciałbym...

Grierson krzyknął.

Lattimer rzucił się na zastępującego mu drogę mężczyznę. Po chwili tarzali się po podłodze. Zamarł z pistoletem przy skroni.

– Rusz się, a strzele! – wycharczał tajniak.

Lattimer powoli odwrócił głowę. Miejsce Griersona było puste, klamra pasa jeszcze się kołysała.

Spojrzał w drugą stronę, ku przejściu.

Grierson dwoma krokami dotarł do doktora. Wymierzył mu silny cios i biegł objając się o oparcia w kierunku sektora pierwszej klasy. Zamachał rękami i czepiając się klamki od drzwi osunął się powoli na ziemię.

Mimo wycia silników wszyscy usłyszeli stuknięcie niczym dźwięk, jaki wydaje żarówka w momencie przepalania. I Richard Grierson zaczął płonąć.

Kabinę wypełniły krzyki, Lattimer i policjant o miało nie zostali stratowani przez pasażerów uciekających z przednich siedzeń sektora.

Lattimer gwałtownie ich odepchnął, przepychał się nadludzkim wysiłkiem do Griersona. Uchwycił pożegnalne spojrzenie.

Jedna z płonących dłoni uniosła się w niemym, budzącym grozę geście. Zahaczyła o beżową zasłonę koło drzwi. Syntetyczna tkanina zajęła się w ułamku sekundy.

Lattimer widział, jak marynarka na plecach Griersona zaczyna kopcić i lekko żarzyć się drobnymi płomykami. Języki ognia strzeliły niczym skrzydła wyrastające mu z ramion.

Ostatnim nadludzkim wysiłkiem Richard Grierson uniósł się i wykonał kilka kroków. Na dywanie pozostały dymiące plamy.

Sufit nad nim zaczął już czernieć i kopcić. Dym, gęsty, tłusty i cuchnący, rozlaził się po kątach. Dławił okrzyki rozpacz. Lattimer wiedział lepiej niż inni, że jest już za późno za ratunek nie tylko dla Richarda, ale i dla nich.

Chwycił ramię policjanta.

– Zastrzel go! Zastrzel go, na Boga!

Grierson wciąż podpierał się na rękach, próbując stanąć. Wszędzie pozostawiał płomienie – na oparciach foteli, na dywanie, obiciach – wszystko płonęło. Najgorsza była teraz świadomość, która wciąż kołatała się pod rozgrzaną czaszką.

– Zastrzel go! Podpali cały ten pieprzony samolot!

Tuż koło ucha Lattimera huknął strzał. Policjant nacisnął na spust niemal bezwiednie, ponaglony rozpaczliwym rozkazem.

Kula trafiła Griersona w sam środek kręgosłupa, przerywając rdzeń kręgowy. Musiał być już martwy, kiedy upadł na podłogę. Lattimer widział, jak buchnęła krew, ogień na plecach na chwilę przygasł, ale za moment sycząc odzyskał swoją siłę. Richard upadł na twarz, leżał w bezruchu rozpostarty na dywanie. Kształt jego ciała rozmazywał się, topił.

Ludzie zdążyli na szczęście opuścić fotele koło niego. Jakiś śmiałek ostrożnie zbliżył się z grubym płaszczem i zarzucił go na zwłoki. W normalnych warunkach powinno to skutecznie zdławić płomienie, ale tutaj wystarczyło kilka sekund, by ogień przegryzł się przez ciężki materiał. Był niczym sucha gałąź dorzucona do ogniska.

– Czy teraz dacie mi tę gaśnicę?

Stewardesa podbiegła z niewielkim czerwonym pojemnikiem, na szczęście był to typ CO₂. Zbliżył się jak najbardziej, zamknął oczy i nacisnął spust. Z dyszy

trysnęła biała chmura stężonego dwutlenku węgla. Całun dla Richarda Griersona.

Lattimer czuł, że to nic nie da. Płomienie nie przygasały i wybuchały ze zdwojoną siłą, mimo iż gaz odcinał dostęp tlenu. Mimo grozy jego umysł trzeźwo kalkulował. Uznał, że proces SK musiał opierać się na dostawach tlenu z rozłożonych związków chemicznych ciała ludzkiego. Dopuszczał też możliwość, iż płomienie podsycał, jak to jest w przypadkach magnezji, tlen z dwutlenku węgla. Gdyby tylko Saul Horowitz był tutaj...

„Los chciał – myślał z ironią – że po najlepszym obserwowanym przez fachowca przypadku SK nie pozostanie najmniejsza wzmianka, nikt nie przeżyje, by go opisać.”

Lattimer zajął się fotelami i wykładziną. Człowiek z ochrony również walczył z ogniem posługując się marynarką. Tłumił płomienie ogarniające miejsce, gdzie Richard najpierw upadł.

Otaczało ich prawdziwe piekło. Przez gęstniejący dym Lattimer widział matki tulące zawodzące dzieci, mężczyźni niemo wpatrujących się w przerażający widok topniejącego ciała jednego z współtowarzyszy podróży, które teraz bardziej przypominało obficie kopcającą kłodę rozżarzonego drewna. Lattimer również krzyczał, ale jego głos tonął w powodzi innych hałasów. Próbował napędzić ocenę szans, przeprowadzić niczym komputer symulacje alternatyw przy różnych, mniej lub bardziej optymistycznych założeniach.

Sufit już całkiem płonął i krople stopionego plastyku kapały na obicia, tworząc miniaturowe ogniska. Nie było sensu ich gasić. Z doniesień o SK wynikało, iż ciała płonęły zawsze do końca, emitując olbrzymie ilości ciepła. Samolot musiał w końcu cały stanąć w płomieniach.

Trujące opary zaczęły drażnić oczy i płuca. Przez słupy ognia i dymu Lattimer dostrzegł czyste i błękitne owale nieba. Rozrzedzone powietrze na zewnątrz było czyste i nie skażone wyziewami śmierci.

Okna...

Opuścił gaśnicę, zaczął wzrokiem szukać policjanta. Tamten w bezgranicznym zdumieniu wpatrywał się w ogień, który pełził ku niemu po suficie, podłodze, ścianach.

– Nie rozumiem. Co u diabła tu się dzieje?

Nie było tu miejsca na wykład o istocie SK. Lattimer chwycił za pistolet, wyrwał z rąk oszołomionego, cofnął się i trzymając policjanta na muszce, krzyknął.

– Cisza! Wszyscy cicho! Proszę.

Wycie nieco przycichło, ludzie przestali wrzeszczeć, słychać było tylko huk żywiołu.

– Chcę, żeby każdy przywiązał się do czegoś. Ci, którzy nie mogą, niech przynajmniej mocno się trzymają czego się da. Sprawdźcie, czy dzieci są bezpieczne.

Policjant zszedł powoli z linii strzału. Nie był na tyle głupi, by nie przejrzeć Lattimera.

– Jesteś szalony. Zabijesz nas.

– I tak jesteśmy już martwi. Możemy jedynie spróbować oczyścić wnętrze z trujących oparów. Ty też siadaj i zapnij pas.

Mężczyzna uznał, że nie ma sensu dyskutować, usiadł i potulnie zapiał pas. Lattimer zrobił to samo. Wszyscy inni, nie rozumiejąc o co chodzi, również posłuchali.

– Wytrzymajcie dziesięć sekund – krzyknął. – Uwaga!

Ściskając dla pewności kolbę w obu dłoniach, wycelował w okno i oddał strzał.

Rozdział 24

W chwilę po naciśnięciu spustu Lattimer myślał, że chybił albo że pistolet nie wypalił. Ale eksplozja, która wypełniła pomieszczenie moment później, omal nie rozerwała mu trzewi. Nastąpiło po niej długie wycie. Okno zniknęło – był tylko ziejący otwór, który go nieuchronnie przyciągał.

Było to uczucie, jakiego doznaje się, stojąc po pas w rwącym nurcie rzeki, mając za podporę tylko wątłą linę. Ku swemu przerażeniu Lattimer poczuł, że zaczyna wysuwać się z siedzenia. Pas był zbyt luźny i potężna siła wyciągała go górą. Upuścił pistolet, chwycił oburącz za klamrę i ścisnął ją kurczowo, tuląc ramiona.

Samolotem targnęła seria gwałtownych wstrząsów. Zewsząd rozległy się krzyki pasażerów, przestraszonych przez diabolicznie dyndające maski tlenowe, które zostały automatycznie wyrzucone ze schowków nad fotelami. Zadziałał system alarmowy reagujący na zmiany ciśnienia.

Dziób samolotu opadł i maszyna zanurkowała. Lattimer zbyt mało znał się na zasadach nawigacji powietrznej, by wiedzieć, czy był to manewr załogi, czy też samolot wymknął się spod kontroli.

Kąt, pod jakim opadali, utrudniał dodatkowo trzymanie się pasów. Lattimer wiedział, że nie można na nich polegać. Sam przecież widział, jak Grierson gnany

bólem i paniką jednym ruchem zerwał klamrę. Modlił się, aby to mizerne zabezpieczenie utrzymało go jeszcze przez chwilę.

Huragan nadal wciągał niczym trąba powietrzna wszystko, co nie było dostatecznie zamocowane. Jak to możliwe, żeby samolot zawierał tyle powietrza? Ból w uszach i skroniach stawał się nie do zniesienia. Co gorsza, czuł, że ulgę przynoszą mu coraz częstsze błogie chwile utraty świadomości. Jego maska tańczyła kilka cali od twarzy, ale bał się sięgnąć po nią. Musiałby wtedy przecież zwolnić uścisk, w jakim trzymał końce utrzymującego go w miejscu pasa, a to oznaczało koniec.

Ale w miarę jak obniżali lot, upływ powietrza robił się mniejszy i ciśnienie zaczęło się wyrównywać. Jego ciało zdało się odzyskiwać ciężar i stabilność i wreszcie mógł opaść wyczerpany na siedzenie. Z ulgą chwycił maskę i naciągnął na usta i nos. Głęboko odetchnął.

Chwila głębokich wdechów i otrzeźwiało. Zlustrował kabinę. Wszystkie źródła ognia ku jego uldze przygasły i dym wyraźnie zrobił się rzadszy. Przy podłodze pojawiły się ciężkie klaki smogu – mieszaniny wyziewów i pary wodnej z chmur, skroplonej przez ciepło i ciśnienie.

Przejście było zatarasowane. Przede wszystkim, leżeli tam okaleczeni ludzie, którzy nie zdołali się przymocować, kiedy rozszalała się wichura. Reszta zawodziła niezgranym chórem jęków i krzyków. Lattimer rozpiął klamrę i próbował przedostać się do miejsca, gdzie leżało przedtem ciało Griersona.

Nagły wstrząs omal nie zwałił go z nóg, powodując jeszcze więcej krzyków strachu. Zachwiał się. Czepiając się oparcie i poręczy, przebijał się nieskończenie długo. Musiał jeszcze ominąć szlochającą dziewczynę, rozmazując sobie po twarzy krew ciekącą z uszu i nosa. Spojrzał w miejsce, gdzie skonał Grierson.

Była to czarna dziura o stopionych brzegach, na jard długa i niemal tyle szeroka. Temperatura płonącego ciała musiała być tak wysoka, że jak w wielu innych przypadkach SK, gruba warstwa ogniotrwałego materiału została stopiona.

Poprzez wydobywający się z otworu czarny dym, Lattimer uchwycił jaskrawo czerwone błyski ognia. Ciało wciąż jeszcze płonęło. A poniżej znajdowały się najważniejsze hydrauliczne i elektroniczne systemy samolotu. Nic dziwnego, że lot był tak nierówny. Załoga musiała dokonywać niemal cudów, by w ogóle maszyna była sterowna.

Lattimer gorączkowo rozważał możliwości ratunku. Zagłuszone przez wycie wiatru, huk silników i krzyki pasażerów megafony powtarzały coś o „lądowaniu awaryjnym” i „przyjęciu pozycji”.

Zaryzykował rzut oka w stronę okna. Sto jardów pod nimi majaczyły zielone pola i korony drzew. Z trudem wspinał się po pochyłym pokładzie, pokonując liczne przeszkody. Musiał dostać się jak najbliżej ogona. Jeśli kilometry statystyk z katastrof lotniczych mogły człowieka czegoś nauczyć, to właśnie tego, że znajdujący

się w ogonie mieli największe szanse przeżycia.

Ktoś chwycił go za ramię. Tajniak – *Ty durniu! Zabiłeś nas!*

Lattimer uwolnił się.

– Gdybym nie wybił okna, to już byśmy byli martwi. Zatrulibyśmy się.

– To twoje gadanie! Wiem na pewno, że jeśli będzie dane nam obu przeżyć, to osobiście złamię ci kark, przysięgam!

Ale Lattimer był już w tyle. Lot zaczął się wyrównywać. Dwie stewardesy siedziały skulone za ostatnim rzędem. Wcisnął się pomiędzy nie, objął ciasno kolana ramionami, wtulił w nie głowę.

Czuł silny ból we wnętrznościach, ale ignorował go. Ufał, był pewien, że uda mu się. Bał się natomiast o ludzi, którzy przyjęli na swoich miejscach „odpowiednią pozycję” z głowami na kolanach. Pasy musiały puścić. Za chwilę seria potężnych wstrząsów zacznie nimi rzucać niczym piłeczkami ping-pongowymi.

Siedzenia powinny być wyposażone w dodatkowe pasy na ramiona i obrócone ku tyłowi samolotu jak w maszynach bojowych. Ale linie lotnicze bały się wystraszyć swoich klientów, ginących masowo w katastrofach, które mogli z powodzeniem przeżyć.

Lattimer oddychał głęboko, zmuszając się do bezruchu. Serce waliło mu tak mocno, że powiększało ból. Stracił nadzieję. Co miało go zabić? Uderzenie? Wybuch? A może po prostu strach?

Odgłos silników zmienił się. Nowy wstrząs. Najprawdopodobniej rozpoczęło się hamowanie. Byle tylko zmniejszyć siłę pierwszego uderzenia. Paliwo na pewno już dawno spuszczone ze zbiorników. Ale te kilka funtów wystarczyło, by pożar rozgorzał na nowo i udusił tych, którzy nie będą mogli w porę się wydostać.

Lattimer czuł, że za chwilę nie wytrzyma i rzuci się do okna. Trwał jednak skulony.

Samolot dotknął ziemi.

Droga 101 z San Francisco do Los Angeles nie była najbardziej uczęszczaną w Kalifornii. Biegnąca wzdłuż wybrzeża droga nr 1 z Monterey i Camel przez Big Sur, wijąca się w dolinie San Luis Obispo, dostarczała daleko atrakcyjniejszych widoków.

Katastrofa DC 9 niedaleko od Paso Robles nie miała wielu świadków, poza obsługą i klientami stacji benzynowej Shell nieco na uboczu od autostrady i kilkoma farmerami spieszącymi ze swoich pól do domów.

Rekonstruuując wydarzenia, większość podpisywała się pod opinią, że pilot musiał specjalnie próbować usiąść na drodze. Była prosta, w pobliżu niewiele budynków. Ludzie wybiegli przed domy, zaalarmowani przez huk wielkiej maszyny, rozpylającej tony benzyny na ich obejścia. Ale samolot szybko oddalał się, migając –światłami lądowania. Leciał bardzo szybko.

Pilot wysunął podwozie. Wyłączył silniki i pozwolił, by wielkie cielsko obniżało się pod własnym ciężarem.

Mieli zbyt duży rozpęd. Podwozie nie wytrzyma uderzenia. Może tylko je trochę zamortyzować.

Zgodnie z jego przewidywaniami opony niemal natychmiast osiadły ciężko na asfalcie. Hydrauliczne podstawy kół załamały się. Samolot opadł na brzuch i główny silnik. Powłoka i urządzenie zostało daleko w tyle za rozpędzoną masą.

Przez niemal dwieście jardów samolot ślizgał się po powierzchni, krzesząc snopy iskier, które podpalały suchą trawę na poboczach. Nie mogło to jednak trwać wiecznie. Maszyna zeszła z nadanego jej kierunku i, niczym rozpędzony samochód wypadający z zakrętu, wryła się w plot ogradzający przydrożne pole i zmiotła linię drzew, aby wreszcie ze zgrzytem stanąć.

Lattimer czuł się tak, jakby ktoś go zrzucił ze schodów w metalowej klatce. Wstrząsy wcisnęły go głęboko w kąt, obluzowany fotel przed nim przykleszczył go oparciem. Z trudem odsunął ciężar i podjął bezowocną próbę przedostania się do przejścia. Wycie i jęki z przedniej części samolotu świadczyły o tym, że kadłub musiał się wgnieść i zmiażdżyć uwięzionych ludzi. Stało się to w chwili, kiedy skrzydła zawadziły o drzewo i oderwały się.

Zaprojektowane bardziej ku wygodzie, a nie bezpieczeństwu siedzenia obluzowały się i niektóre z nich staczały się ku przodowi. Luki bagażowe pękły i przez podłogę kabiny widać było masę walizek i odzieży, tworzącą bezładne kupy.

Lattimer nie marnował czasu. Zbiorniki z paliwem były dziurawe i w powietrzu unosił się odór benzyny. Wystarczyło, by kałuża doszła do skrawków rozgrzanego do białości metalu...

Podskoczył i rzucił się do tylnej części kadłuba.

– Tutaj jest wyjście! – krzyczał, nie czekając na nikogo.

Tylko niektóre samoloty mają wyjście awaryjne i na szczęście DC-9 był właśnie jednym z takich typów. Otworzył drzwi prowadzące do magazynu w ogonie i zajrzał do wnętrza, szukając czegoś, co by przypominało uchwyt zwalniający zatrzaski. W kabinie za nim rozległy się gwałtowne krzyki. Inni potrzebowali dłuższej chwili, by otrząsnąć się i przyswoić rzuconą przez Lattimera informację.

Znalazł w ciemnościach czerwoną rączkę. Nacisnął i spróbował pociągnąć, wreszcie napał całym ciałem.

Wielka stalowa klapa odpadła z ogłuszającym chrzęstem. Popołudniowe słońce rozjaśniło ciemny korytarz. Lattimer omiółł dziękczynnym wzrokiem zieleń i drzewa. Zorientował się, że samolot leży w sadzie. W chwilę później w progu wyjścia zaczęła się napełniać z sykiem wielka poducha. Była podłużna i jej dolny koniec opierał się na ziemi.

Lattimer już szykował się do skoku, gdy uderzyła go fala eksplozji. Pozwolił jej wypchnąć się z wnętrza. Opary z płonącego wyposażenia kabiny zebrały się pod sufitem i wybuchły...

Jego odzież momentalnie stanęła w ogniu. Biegł, zataczając wielki łuk Rzucił się na ziemię.

Nim jego ciało dotknęło ziemi, usłyszał nowy huk, o wiele donośniejszy.

Wybuchły zbiorniki z paliwem.

Rozdział 25

Carol ocknęła się z mieszanym uczuciem błogości i niepokoju.

Przez chwilę leżała w łóżku. Badała otoczenie. Łóżko było miękkie i ciepłe, pościel zsuwała się z nagiego ciała przy najdrobniejszym ruchu... Czyżby była naga? Otworzyła oczy. Nad łóżkiem zwisał różowy baldachim. Prześcieradło było atlasowe, w ostrym, purpurowym kolorze.

Reszta pokoju była podobna. Wielkie okno z żaluzjami wpuszczało przytłumione światło. W półmroku wystrój wnętrza przypominał typowe dekoracje burdelu w stylu Hollywood Burdel. Pomyślała o poprzedniej nocy i wzdrygnęła się na samo porównanie. Poczowała uderzenie krwi do głowy. Musiała być mocno zacerwieniona. Po raz pierwszy od czasów szkolnych Carol zarumieniła się.

Nigdy nie czuła takiego pożądania jak wtedy przy basenie. Już przedtem nie raz dzieliła łóżko z mężczyznami i kobietami, ale nigdy w sposób tak otwarty, zupełny. Twarze i ciała migąły jej przed oczami, zlewały się, aż zapadła się w otchłań zmysłów.

Jedynym wyróżniającym się elementem była twarz Tony'ego Mantegny, wpatrująca się w nią z uwagą kata.

Zegarek uświadomił jej, że jest już parę minut po ósmej. W Nowym Jorku piłaby właśnie ostatnią filiżankę kawy przed wyjściem do biura.

Na krześle koło okna leżał niedbale rzucony różowy szlafrok. Carol narzuciła go na siebie i poczuła się nieco mniej obnażona. Z okna rozciągał się przed nią rozległy widok na posiadłość. Teren był jak wymarły. Przypomniała sobie, że była w słonecznej Kalifornii, gdzie bogaci kładą się późno i śpią do południa.

Z korytarza przez przymknięte drzwi nie dochodziły żadne odgłosy. Wyszła. Z każdej strony był rząd drzwi. Zza jednych z nich wydobywało się głośnie chrapanie. Któryś z gości musiał smacznie spać.

U szczytu schodów, na mahoniowej poręczy wisiała przemoczona para lewisów, mokra plama ciągnęła się przez kilka stopni.

Najprawdopodobniej obsługa także dostosowała się do hollywoodzkiego rozkładu dnia. Carol nie wiedziała, czego właściwie szuka. Po prostu zeszła cicho po schodach do głównego hallu.

Drzwi po prawej prowadziły do biura Manny*ego Stauba. Nie miała pojęcia, dokąd prowadzą te naprzeciwko. Ostrożnie pchnęła jedno ze skrzydeł i spojrzała.

Wyglądało to na salę kinową.

Obejrzała pokój nieco dokładniej. Była to raczej sala telewizyjna z wieloma monitorami rozstawionymi przed stertami poduszek i fotelami. Kiedyś musiała być tu biblioteka. Obecnie rzędy pólek wypełniały obwoluty kaset video.

Carol przejrzała kilka tytułów. W większości były to

filmy komercyjne, część z nich jeszcze nie rozpowszechniona. Drogie, nielegalne kopie, za które kolekcjonerzy płacili tysiące dolarów.

Osobno stała seria różowych pudełek, widocznie prywatny zbiór Mantegny. Przebiegła po tytułach. Znalazła „Czworo na podłodze” i inne, które pamiętała z biura Giny. Zatrzymała się na jednym: „Rewolucja”. Przypomniała sobie wojskowe łachy poplamione krwią w garderobie Karen i karteczkę z napisem „Rewolucja 1200”.

Włożyła kasetę do odtwarzacza.

Nie było na wstępie żadnych informacji, ostrzeżeń o naruszeniu praw autorskich i o tym, że dany producent będzie dochodził na podstawie swoich praw konstytucyjnych odszkodowań od każdego, kto bez jego zgody będzie kopiował jego dzieło. Tytuł po prostu rozmył się i na ekranie pokazały się pierwsze sekwencje.

Carol była przygotowana na coś w stylu filmów oglądanych u Karen, ale było to coś całkiem innego.

Pierwsze sceny przypominały typowy film dokumentalny. Akcja działa się w jakimś nieokreślonym kraju. Mogła być to Nikaragua, jak i równie dobrze jedna z tuzina innych republik Ameryki Środkowej lub Południowej, gdzie każdy peon był bojownikiem o wolność, a każdy policjant mógł być skorumpowanym człowiekiem Tonton Macoute czy Szwadronów Śmierci...

Dialogi były skąpe, rzucane w szybkiej hiszpańszczyźnie. Carol dziwiła się. Film polityczny w

studiu, które specjalizowało się w pornografii? Jakaś figura w tle, o twarzy zakrytej daszkiem czapki i ciemnymi okularami, przyciągnęła jej uwagę. Kobieta podeszła bliżej do kamery i Carol rozpoznała ku swemu zdumieniu Ginę.

Poczuła ukłucie niepokoju. Gina nigdy nie wspominała o związkach z Mantegna, nie mówiąc już o pracy. Dlaczego?

Z rosnącym uczuciem strachu oglądała dalej. Z serii migawek z pola walki zaczął wysnuwać się wątek. Grupa, prowadzona przez wielkiego Murzyna w mundurze kapitana armii amerykańskiej z Giną u boku, wyruszała w śmiertelny pościg. Akcja działa się w jakiejś opuszczonej hacjendzie.

Szwadron z hukiem wpadł do domu, w którym wokół stołu siedziało siedmioro młodych kobiet i mężczyzn. Widać było, że składają strony jakiegoś magazynu. Wszyscy byli ciemni, w latynoskim typie i czuło się, że nie byli profesjonalistami. Ulice Los Angeles roiły się od takich dzieciaków, chwytających się każdej możliwości zarobku i żadnych przy tym sensacji.

Nie mieli szans ucieczki. Jeden z chłopaków uczynił ruch w stronę okna i natychmiast został brutalnie pchnięty na ścianę. Z ust pociekła mu krew. Jego twarz wyrażała bezgraniczne zdumienie. Próbował coś wyjaśnić przywódcy napastników, ale nie nałożono dubbingu.

Po plecach Carol przebiegła fala chłodu. Sceny były odegrane zadziwiająco realistycznie jak na amatorów. Jej

przerażenie wzrosło, gdy obserwowała, jak oprawcy przywiązywali część swoich ofiar drutem do krzesła. Jedną z dziewczyn, najładniejszą, szczupłą, o ciemnych włosach obdarli z ubrania i rozciągnęli na stole twarzą w dół. Trzymało ją czterech mężczyzn. Gina wyjęła z plecaka krótki skórzany bat.. Zaczęła metodycznie uderzać nim w plecy i pośladki dziewczyny.

Potem zarządziła, by obrócili ją na plecy i kontynuowała.

Towarzysze dziewczyny szarpali się na krzesłach i wrzeszczeli, ale na ścieżce zarejestrowano tylko jej krzyki. Kiedy Gina skończyła, Murzyn zdjął spodnie, włożył na stół i zgwałcił dziewczynę.

Gina powróciła do tortur. Biła teraz drewnianą rękojeścią bata. Carol musiała się odwrócić, jej nerwy nie wytrzymały takich widoków. Krzyki przewiercały jej uszy.

W końcu zamilkły. Odważyła się spojrzeć. Dziewczyna leżała nieprzytomna i mocno krwawiła. Carol zobaczyła, jak Gina wyciągnęła pistolet, przystawiła jej do skroni i powoli nacisnęła spust. Dreszcz, który wstrząsnął bezwładnym ciałem i fontanna krwi nie były udawane.

Carol była teraz pewna, że wszystko działa się naprawdę.

Drżącym palcem nacisnęła wyłącznik. Przerwała w momencie, kiedy kaci wciągali na stół swoją następną ofiarę. Odłożyła kasetę na miejsce.

Chciała porwać taśmę na strzępy, podeptać, ale nie mogła pozwolić sobie na ten luksus.

Miała zamęt w głowie. Gina w filmie Mantegny. Gina morderczynią! Ta Gina, która wprowadziła ją do domu Mantegny. Gina, która wiedziała, że jest siostrą Karen...

Gina wystawiła ją. Specjalnie podłożyła swoje rzeczy do szafy Karen i podsunęła je jako trop.

To wszystko znaczyło, że Mantegna musiał znać jej tożsamość. Ale jak dotąd nie wydał się z tym...

W hallu na zewnątrz panowała cisza. Wciąż drząc, Carol stała koło drzwi, wsłuchując się w odgłosy dochodzące z głębi powoli budzącego się domu.

Jej pierwszą myślą było rzucić się do samochodu i uciekać ile sił. Ale rozsądek nakazywał spokój i rozwagę. To mogła być ostatnia szansa, by wydobyć prawdę o piromańskiej działalności Mantegny.

Musiała jeszcze zbadać piwnice. Już sobie raz przysięgła, że nie da za wygraną, nawet jeśli nie znajdzie niczego.

Ostrożnie uchyliła małe drzwiczki pod schodami.

Piwnice stanowiły kontrast z elegancją i rozrzutnym przepychem rezydencji. Zaprojektowano je przede wszystkim funkcjonalnie. Nikt nie zawracał sobie głowy tynkami i innymi dekoracjami, nie mówiąc o posadzkach i dywanach kryjących wszędzie podłogi. Światła dostarczały nagie żarówki zwisające na czarnych drutach.

Próbowała obejrzeć wszystkie pomieszczenia.

Odkrywała kolejne magazyny, niektóre typowo gospodarcze, inne pełne chemikaliów do napuszczania wody w basenie. Jeden zawierał rzędy beczek benzyny, olejów napędowych, płynu hamulcowego i wody destylowanej. W następnym stały tuziny worków i skrzyń o nieznannej zawartości. Carol otworzyła jedną i zobaczyła rządki puszek sosu Chef Boyardee Bolognes do spaghetti. Te niewinne zapasy nie pasowały do diabolicznego obrazu ich właściciela. Nieco odetchnęła. Przypomniała sobie jednak film i opowiadania Karen o laboratorium. Ruszyła głębiej w plątaninę korytarzy. To musiało być gdzieś tutaj.

W pewnym momencie zaczął się czerwony chodnik, który tłumił kroki. Ściany pokrywały gipsowe sztukaterie. Minęła drzwi windy, domyśliła się, że musi ona prowadzić do biura Stauba.

Instynkt nakazał jej większą ostrożność. Delikatnie pchnęła następne drzwi. Przez szparę wypatrzyła futrzane narzuty, obrazy na ścianach i róg biurka.

W powietrzu czuć było duchotę i ludzkie wyziewy. Uchyliła drzwi jeszcze cał więcej i wsunęła głowę. Za biurem była sypialnia. Lampa wciąż rzucała żółtawe światło. Na dużym, skotłowanym łóżku spała objęta para.

Przysłuchiwała się ich ciężkim oddechom. Cicho weszła w głąb biura. Próbowwała rozróżnić ciała i rozpoznać ich.

Niskiego i grubego mężczyznę w średnim wieku z pewnością widziała po raz pierwszy. Ale dziewczyną

leżącą na plecach z rozrzuconymi kończynami i wielkimi piersiami spływającymi na boki była niewątpliwie Debbie, którą wczoraj zbiła.

Mruczenie i szelest pościeli kazały jej wycofać się. Wyszła na korytarz i ostrożnie zamknęła drzwi.

Skradała się ku następnemu zakrętowi, gdy wpadła na samego Tony* ego Mantegnę.

Stał właśnie koło drzwi z kluczem w zamku. Spojrzał na nią i zmarszczył brwi.

– Co, u diabła, tutaj robisz?

Carol zeszywniała ze strachu...

– Dlaczego? Czy to jakiś zakazany rewir?

– Niezupełnie. Mam na myśli to, że jest tak wcześnie.

– Nie śpiam dużo. Chciałam trochę pozwiedzać.

„Trzymaj fason – powtarzała w duchu. – Zachowuj się jak Norma”. Spojrzała na drzwi, które przed chwilą starannie zamknął.

– To tutaj są te słynne miliony pana Mantegny?

– Tylko biuro. – Przekręcił klucz i otworzył drzwi. – Wejdz, skoro już jesteś. Mam z tobą coś do obgadania.

Wystrój biura idealnie pasował do jej wyobrażeń. Był jak dziecko, chłopak pasjonujący się swoim hobby. Czarne szklane biurko, trzy telefony, konsola video, mnóstwo innego sprzętu. Całość przypominała wystawę najnowszej techniki.

Carol osunęła się w głęboki fotel.

– Fajnie.

– Co sądzisz o... wczorajszym?

– Bez zastrzeżeń – powiedziała, wpatrując się w jego oczy, szukając jakiegoś śladu podejrzliwości. – Czemu pytasz, nie byłam dobra?

Patrzył na nią bez słowa.

Rozwiązała szlafrok i rozchyliła uda, opierając nogi na poręczach fotela. Wyszepiała namiętnie:

– Może poddasz mnie jeszcze raz temu egzaminowi.

Był już gotów. Napięty i gwałtowny wszedł w nią. Delikatnie pieścił ją dłońmi i językiem. Jej ciało bezwiednie odpowiadało na każdą pieszczotę. I znowu strach i nienawiść utonęła w jeziorze zmysłów. Dziesięć minut później Carol poczuła, jak tors ciasno objęty jej udami drży w uniesieniu. Otworzyła oczy, dopiero gdy poczuła, że się wycofuje. Spojrzała mu w twarz.

Nie wiedział. Była teraz pewna.

– Przekonany? – zapytała ze sztuczną wesołością.

– Na sto procent.

Drzwi otworzyły się z lekkim skrzypnięciem. Carol odwróciła się i zobaczyła wchodzącą Ginę Levaccio. Była w czerni. Uśmiechnęła się szeroko.

Mantegna powiedział:

– Gratulacje, Gina. Tym razem wyszukałaś coś dobrego. Materiał klasy A.

Ścisnął ramię Carol. Zwrócił się do niej.

– Moja siostrzyczka psuje mnie. Zawsze to robiła.

Carol odwróciła się od niego. Nie mogła ukryć zaskoczenia graniczącego z szokiem.

– Gina jest twoją siostrą?

– Tak. Nie wiedziałaś?

– Nie, nie – odpowiedziała za nią Gina. – Jest za to coś, czego ty nie wiesz, Tony, kochanie. Mam dla ciebie małą niespodziankę...

Carol wstała gwałtownie na proste nogi, odpychając Mantegnę. Ale zanim zdążyła odwrócić się, jej głowa eksplodowała z bólu. Przez mgłę czuła, że osuwa się na podłogę.

Uderzyła się o kant biurka i upadła na plecy.

Zdążyła jeszcze zobaczyć pochyloną nad sobą Ginę ze złośliwym uśmiechem satysfakcji na twarzy. W rękę trzymała coś ciężkiego.

Rozdział 26

Poczuła na ramieniu coś jakby ukłucie owada.

Próbowała dotknąć bolącego miejsca, ale nie mogła się obejrzeć.

Otworzyła oczy. Pierwszą rzeczą, jaką ujrzała były lustra. Wszędzie, od podłogi aż po sufit. Potem dostrzegła zwielokrotnione odbicie dwóch sylwetek. Jedna należała do Mantegny. Drugą była kobieta. Nagie ciało zwisało podtrzymywane przez dziwną konstrukcję. Jej kończyny były rozpostarte i przywiązane do dwóch metalowych obręczy, tworząc „X”. Całe urządzenie wyglądało niczym zabawka, jaką wkłada się do klatek z białymi myszkami.

Carol zastanawiała się, kim jest i co robi dziewczyna przymocowana do złowroźnie wyglądającej maszyny.

Zamknęła oczy. Skoncentrowała się z całych sił. Nie mogła zebrać myśli. I czemu jej ciało nie słuchało poleceń?

Głośne klaśnięcie i piekący ból policzka rozbudziły ją. Podniosła głowę i zobaczyła stojącego o krok od niej Mantegnę. Trzymał w ręku strzykawkę.

– Obudź się, Carol – rozkazał – bo załaduję ci jeszcze jedną dawkę tego koktajlu z amfetaminy.

Spojrzała na jego odbicie... i zdała sobie sprawę, kim jest naga kobieta.

– O nie... – wyszeptała z trudem. Słowa ze świstem wydobywały się z jej potwornie suchego gardła.

Wykręciła szyję i zobaczyła, że jej przeguby krępują skórzane pasy. Były obrzmiałe i bez czucia, podtrzymywały nie wiadomo jak długo całe jej wyprężone jak struna ciało. Nagle do jej świadomości dotarł potworny ból przeszywający ramiona i barki.

– Nie rób mi tego – powiedziała do Mantegny.

Uśmiechnął się.

– Zrobiłaś ze mnie głupka, udało ci się. Teraz widzę podobieństwo między tobą, a twoją siostrą. Nie rozumiem, jak mogłem tego nie zauważyć. – Potrząsnął głową. – Tak to jest, gdy zgrabny tyłek przesłoni rozum.

Sięgnął ręką do jednego z kół i pchnął.

Carol poczuła, jak leci w przepaść pośród zgrzytów nie naoliwionego metalu.

Kiedy znalazła się głową w dół, zatrzymał urządzenie. Widziała w lustrach wszystko do góry nogami. Przypomniała sobie, skąd zna ten pokój. Z taśmy z płonąca dziewczyną.

Mantegna mówił do jej odbicia.

– Wydałem fortunę, próbując cię znaleźć po tym, jak udało ci się wymknąć moim ludziom. I nagle zjawiasz się pod samym nosem. Gina ma wybitne poczucie humoru. Zawsze miała. Powiedziałem jej, że połamałbym jej kości, jeśli by wpędziła mnie w niepotrzebne ryzyko, ale ona twierdzi, że nie byłabyś w stanie...

Znowu przesunął koło. Leżała teraz poziomo, z twarzą do sufitu. Ból w przegubach i kostkach był nie do zniesienia. Pochylił się nad nią.

– I miała rację, prawda? Gina nigdy się nie myli co do ludzi. Może przyszłaś tu, pałając chęcią zemsty, ale spodobał ci się stary Tony, czyż nie? A może nawet...

– Tak, tak! – krzyknęła desperacko. – Zrobię dla ciebie wszystko, Tony. Wszystko! Zaufaj mi. Przysięgam!

Jego nagły smutek wydał się jej szczery.

– Chciałbym, laleczko. Uwierz mi. Ale nie mogę ryzykować. Jesteś ostatnim ogniwem w łańcuchu kłopotów, które wywołała twoja siostra. Gdy cię usuniemy, jestem kryty. Nikt nie będzie w stanie udowodnić mi tych pożarów.

– Wcale nie! – krzyczała. – Ktoś jest na twoim tropie. Detektywi ubezpieczeniowi. Spotkałam ich w Nowym Jorku. Wiedzą, jak zginęła Karen. I że masz swoją bazę pod LA, że jesteś producentem filmów. Wystarczy, że trochę powęszą.

– To już historia. – Cofnął się o krok i obrócił ramę tak, że znów wisiała pionowo. – Mieli wypadek. Wczoraj wieczorem. Katastrofa lotnicza. Straszne. Nikt nie przeżył.

Carol poczuła, jak nikły płomyczek nadziei zamigotał i zgasł. Wiedziała już, że nie wyjdzie z tego pomieszczenia żywa...

Była przerażona tym, co miało ją czekać. Nigdy nie potrafiła znieść bólu.

– Proszę! Jeśli musisz mnie zabić, to zrób to szybko – błagała. – Nie dręcz mnie.

– Ja? Dręczyć ciebie? Nie zamierzam nawet tknąć cię

palcem...

Jedno z luster uchyliło się i ukazało korytarz. Weszła Gina. Była nago. Jej smukłe, muskularne ciało pokryte było czymś tłustym. W ręku niosła ten sam bat, którego używała w filmie.

Carol jęknęła. Próbowwała odepchnąć okropne obrazy, które zapełniły jej umysł. Gdyby tylko mogła po prostu zemdleć albo umrzeć od razu... Wszystko, byle uniknąć tego, co nieuchronnie miało nastąpić.

Gina stanęła przed nią i chłonęła wyglodniałym wzrokiem widok ciała Carol.

– Tak długo czekałam na ten moment. Odkąd po raz pierwszy cię ujrzałam. Ileż mnie kosztowało, żeby powstrzymać się wtedy, w mieszkaniu Karen. Ale wiedziałam, że muszę być cierpliwa...

Złapała uchwyt bata i zaczęła nim gładzić Carol.

Niekontrolowany dreszcz przebiegł przez jej ciało, gdy twardy, oprawiony w skórę kijek wędrował w górę po udzie i zaczął gładzić ją między nogami.

Spojrzała w stronę Mantegny szukając pomocy, ale jego oczy powiedziały jej, iż jest to daremne. Patrzył tak, jak patrzy dziecko na muchę, której zamierza oderwać skrzydełka.

Podniósł kamerę i skrzywił się w uśmiechu.

– Dobra, zaczynamy przedstawienie. Gina, do dzieła!

Gina pokiwała posłusznie głową. Cofnęła się o krok i poprawiła rękojęść bata. Z diabolicznym wyrazem twarzy podniosła ramię...

– Zdumiewające, co można zrobić z nagą damą przy użyciu bicia.

W drzwiach stał Lattimer. Oburącz trzymał wielki rewolwer.

Carol, która wyprężyła się w oczekiwaniu na pierwsze razy, opadła z ulgą. Nigdy w swoim życiu nie odczuła takiej radości na czyjś widok.

Mantegna i Gina gwałtownie obrócili się.

– Kim, do diabła, ty jesteś? – wydusił Mantegna.

Gina, wciąż z batem ponad głową, powiedziała z niedowierzaniem:

– To jeden z tych facetów z Insillu... Lattimer...

– Przecież mówiłaś, że obaj są martwi!

– W telewizji mówili, że nikt nie przeżył...

Lattimer wszedł do pokoju.

– Doniesienia o mojej śmierci były mocno przesadzone. Wydostałem się. Lekkie poparzenia, drobne kontuzje... Ale żyję... W przeciwieństwie do innych...

Carol dopiero teraz zauważyła, że jego lewa ręka była grubo zabandażowana. Na twarzy miał czerwone plamy i większość włosów, z brwiami włącznie, była wypalona. Wyglądał o wiele starszej, niż kiedy ostatnio go widziała. Miał oczy starego człowieka.

– Panie Lattimer – krzyknęła. – Niech mi pan pomoże!

Nie spuszczać z oka Mantegny i Giny, powiedział do niej!

– Mów do mnie Jack. Po prostu się nie ruszaj.

Odetniemy cię za chwilę...

– Mantegna, weź nóż i przetnij jej te pasy – rozkazał.

Mantegna zdumiał się.

– Skąd wiedziałeś, że mam... – zamilkł, ale było już za późno. Zdradził się.

– Bo należysz do tych gnojków, którzy zawsze noszą go przy sobie. Wyjmij powoli i przesunij po podłodze w moją stronę. A jeśli chodzi o ciebie, moja damo, to bądź tak dobra i puść ten bat Chyba, że chcesz spłynąć w postaci papki po tych kosztownych lustrach.

Gina powoli wypuściła uchwyt z ręki. Mantegna ostrożnie wyciągnął wielki sprężynowiec z tylnej kieszeni spodni, położył go na ziemi i kopnął w stronę Lattimera. Ten pochylił się, syknął przy tym z bólu i podniósł go. Nacisnął przycisk i wyskoczyło długie na sześć cali, zwężające się niczym sztylet ostrze.

– Wstrętne – stwierdził. – Prawie tak, jak jego właściciel. Teraz podejdźcie oboje do ściany i połóżcie się twarzą w dół, z rękami na karku.

Kiedy Mantegna i jego siostra zastygli na podłodze, Lattimer podszedł do Carol. Rzucił jej zmęczony uśmiech i zajął się więzami. Uwolnił jej jedną rękę, cały czas mierząc w dwójkę pod lustrami. Potem przeciął pasy przy kostkach i obrócił obręcz tak, by mogła stanąć o własnych siłach. Jeszcze drugi przegub i była wolna.

Opadła na kolana. Nie czuła ramion i nóg, było jej słabo i niedobrze.

– Chyba zwymiotuję – wymamrotała.

– Nie krępuj się – powiedział, znowu koncentrując się na Mantegnie i Ginie.

Carol targnęły gwałtowne torsje. Kiedy oprzytomniała, poczuła, jak krew zaczyna krążyć w zdrętwiałych kończynach. Omal nie krzyknęła z bólu.

– Możesz chodzić? – zapytał.

– Tak. Chyba tak. Jak mnie znalazłeś?

– Prawdę mówiąc, nie szukałem cię. Szukałem jego.

– Wskazał na Mantegnę. – Ale to dzięki tobie go wytropiłem.

– Dzięki mnie?

– Kiedy zadzwoniłem do Insillu, żeby donieść im, co stało się z Griersonem, powiedzieli mi, że ten twój przewrotny adwokat, Neumann, wydzwaniał do mojego biura i zostawił kilka pilnych poleceń, żebym się koniecznie z nim skontaktował. Zadzwoniłem do niego i przekazał mi doniosłą informację...

– Dzwoniłam do niego – przerwała Carol. – Tak jak mi kazał. Podałam mu nazwisko Mantegny, zanim tu wyruszyłam.

– To chyba najmądrzejsza rzecz, jaką zrobiłaś w życiu. Nie powiem, żeby wydostanie tego od Neumanna było łatwe. Ten drań chciał zrobić z nami świetny interes. Długo potrwało, nim wyperswadowałem mu...

Carol podniosła się i stała chwiejąc się.

– Mogę już chodzić... Wyjdźmy stąd, proszę!

– Przepraszam, moja śliczna, ale jeszcze nie teraz. Jest coś, co muszę koniecznie obejrzeć.

Podszedł do Mantegny i Giny.

– Mantegna, chcę zobaczyć to twoje laboratorium. A potem wyjaśnisz mi parę spraw.

– Oczywiście, chłopie. Co zechcesz. – Wyglądał na odprężonego–

Carol zaniepokojona jego beztroskim tonem, krzyknęła:

– Nie, Jack. Chodźmy stąd zaraz!

– W porządku – uspokajał ją. – Mamy czas na zabijanie...

Spojrzał na zegarek.

– Mantegna, czy oglądałeś „Brudnego Harry’ego”?

– Oczywiście. O co ci chodzi?

– Oszczędza mi to wyjaśnień co do tego magnum 44, które tu trzymam. Wiesz, chodzi mi o tę całą gadaninę o najpotężniejszym rewolwerze na świecie. Zatem wystarczy chyba, jak powiem, że jeśli ty albo twoja siostrzyczka ruszycie palcem, to zacznę strzelać i nie przestanę, póki oboje nie będziecie w kawałkach. *Compretide?*

– Tak – mruknął Mantegna.

– No to idziemy. Pamiętajcie, co mówiłem. Sporo dzisiaj przeszedłem i mam bóle. Jestem naszpikowany różnymi prochami, ledwo wiem, co się ze mną dzieje. Zaraz padnę. Najmniejszy pretekst, Mantegna, to jest to, na co czekam.

Mantegna i Gina podnosili się bardzo powoli.

Wejście do laboratorium było ukryte za ruchomą deską, udającą drzwiczki do szafy na narzędzia. Carol wiedziała, że sama nigdy by tego nie znalazła.

Wewnątrz słychać było szum wentylatorów. Powietrze było bardzo chłodne. Zadrżała i skuliła się, częściowo kryjąc swoją nagość. Lattimer zauważył ten gest i wskazał na kilka fartuchów laboratoryjnych, wiszących koło wejścia.

– Nałóż jeden z nich.

– A co ze mną? – domagała się Gina patrząc, jak Carol się ubiera.

– Możesz zostać jak jesteś. Tam gdzie niedługo trafisz nie trzeba ubrać.

Oczy Giny rozszerzyły się. Po raz pierwszy Carol dostrzegła w nich cień strachu. Zdała sobie sprawę, że sama zaczynała się bać Lattimera. Nie był to ten sam człowiek, który odwiedził ją w szpitalu w Nowym Jorku.

– A tymczasem połóż się na podłodze. Ty też, Mantegna.

Kipiąc z wściekłości, Mantegna wyciągnął się obok siostry.

Oboje posłusznie spleli ręce na karkach.

– A teraz, Mantegna, chcę wiedzieć wszystko o samoistnej kremacji. Jak to robicie?

– Mogę cię do tego dopuścić. Daję ci dziesięć procent z rocznego zysku. To więcej pieniędzy niż byś zarobił za sto lat.

– Kusząca propozycja. Przemyślę to sobie, podczas

gdy ty opowiesz mi o SK.

Lattimer znowu spojrział na zegarek.

– To pomysł Glassbauma – rozpoczął Mantegna. – Parę lat temu pracował nad teorią, że SK może być niezwykle rzadkim zjawiskiem naturalnym, związanym z przyspieszeniem procesu metabolizmu w ciele. Podążał tą drogą. Większość ofiar to starcy. Rzadziej trafiał się ktoś młodszy. Skoncentrował się więc na badaniu hormonów szyszynki. Wiesz, o co chodzi?

– Mam pewne wyobrażenie. Idź dalej.

– Szyszynka odgrywa kluczową rolę w kontrolowaniu stopnia, w jakim węglowodany są przetwarzane na energię cieplną. Kiedy ciało gwałtownie potrzebuje dodatkowego ładunku z zapasu zgromadzonego w komórkach, szyszynka produkuje hormon zwany adrenokortykotropiną. Ten hormon jest katalizatorem dla enzymu fosforylazy, który przyspiesza przemianę adenosynotrójfosforanu, czyli ATP, związku o wysokoenergetycznych wiązaniach cząsteczkowych, w olbrzymie ilości energii... – Mantegna przerwał. – Łapiesz to, czy mówić wolniej?

– Mów, jak szybko chcesz. Nagrywam każde słowo. Pewien facet, Horowitz, dokładnie to rozpracuje.

Mantegna kontynuował.

– Glassbaum uznał, że w pewnych warunkach, prawdopodobnie wytworzonych przez choroby wieku podeszłego, mechanizm uaktywniający hormon wydzielany przez ten gruczoł blokuje się na pozycji

„start”. Katalizuje fosoforylaze i wytwarza się nadprogramowa energia cieplna. Efektem końcowym jest taka wysoka temperatura, że tkanki nie nadążają z wydzielaniem ciepła na zewnątrz. W stosunkowo krótkim czasie temperatura osiąga punkt zapłonu... Podsycany przez tłuszcze i inne palne substancje proces spalania na tym etapie jest bardzo gwałtowny. Temperatura dochodzi do tysiąca, a nawet do tysiąca pięciuset stopni Celsjusza. Cała masa ciała stanowi paliwo... kompletne zniszczenie.

– I wy doszliście do tego, jak to wywołać sztucznie!

– Tak Izzy tego dokonał. Ale to ja umiałem to wykorzystać.

– Izzy?

– Glassbaum. Chciał, żebym wyprodukował film o jego odkryciu. Zamiast tego złożyłem mu ofertę. Nie wahał się długo.

– A potem go zamordowaliście?

Mantegna roześmiał się.

– Izzy’ego? Śpi tu sobie smacznie parę kroków dalej. Albo zabawia się ze swoją panienką. Nadrabia stracony czas, odkąd jest tutaj. Mógłbym dać ci te same szanse, Lattimer. Miałbyś wszystko, czego byś chciał.

– Musiałbym tylko podpisać krwią cyrograf?

Nagle drzwi laboratorium stanęły otworem.

Carol wstrzymała oddech.

W progu stał Manny Staub odziany w szlafrok. W rękę trzymał mały pistolet. Towarzyszyło mu dwóch ludzi z karabinami maszynowymi.

Rozdział 27

Lattimer nie zdradził zaskoczenia. Zerknął w stronę drzwi i zwrócił się do Mantegny.

– Powiedz twoim chłopcom, żeby wyszli. Jeśli zaczną strzelać, to ty pierwszy będziesz martwy.

Staub zawahał się na progu. Patrzył na zmianę na Mantegnę i wymierzone w niego magnum.

– Tony...?

– Zrób, co mówi, Manny – rozkazał Mantegna. – Czekać na korytarzu.

Kiedy Staub i strażnicy wycofali się i przymknęli drzwi, Lattimer zapytał:

– Czyżbym nadepnął gdzieś na jakieś urządzenie alarmowe?

– Nie – wyjaśnił Mantegna. – Jeśli guzik przy wejściu nie jest naciśnięty przed otwarciem trzy razy, włącza się cichy alarm.

– Sprytne.

– Zrozum, Lattimer. To koniec. Ty i ta dziwka jesteście w pułapce. Masz tu interes do załatwienia i lepiej się pośpiesz, póki oferta jest tak korzystna.

– Zobaczymy. – Lattimer nie wyglądał na zaniepokojonego. Znowu spojrzął na zegarek. Carol nie mogła pojąć, że może być w takim momencie aż taki spokojny. Chciała krzyknąć. Czemu nie uciekali, kiedy była okazja? Ten koszmar nie miał nigdy się skończyć...

– Zaczęłeś opowiadać o SK – powiedział Lattimer. – Dokończmy. Potem pogadamy o interesach.

Mantegna westchnął.

– Izzy odkrył syntetyczną wersję adrenokortykotropiny. Substancja wyzwalała proces w zdrowym, normalnym ciele, aż do osiągnięcia punktu, z którego nie było powrotu. Wszystko, co trzeba było teraz obmyślić, to jak wszczepić hormon do ciała. W końcu zdecydowaliśmy się na małe kapsułki, mniejsze niż łypek od szpilki, wykonane z rozpuszczalnego plastyku. Każda kapsułka zawiera odrobinę adrenokortykotropiny i mały obwód drukowany tak zaprogramowany, że można go było uruchamiać przy pomocy nadajnika. Spisuje się to świetnie. I nie zostawia śladów. Plastikowa kapsułka ginie w płomieniach i autopsja, nawet najdokładniejsza, nie jest w stanie nic wykazać. Najtrudniejsza jest synteza hormonu, bo ma odmienną strukturę DNA od naturalnego. Ale o to troszczy się Izzy...

– Dobry, stary Izzy. Co byście bez niego poczęli? – powiedział Lattimer. – A jak te kapsułki dostają się do ciała?

– Różnie, zależnie od okoliczności. Najczęściej przy pomocy różnego typu pistoletów pneumatycznych.

– Masz tu coś takiego?

– Tak. Na ławce po lewej.

Carol patrzyła, jak Lattimer podchodzi do długiego stołu. Podniósł dziwacznie wyglądającą broń z wielkim magazynkiem. Potem podniósł aparat fotograficzny.

– A ten aparat?

– Co? – Mantegna wykręcił głowę w jego kierunku. Ku przerażeniu Carol coś przedtem wyszeptał do Giny. – Tak. I ta paczka papierosów też. To urządzenia kontaktowe. Po prostu pocierasz obiekt w tłoku na ulicy lub gdzie indziej. Nikt nic nie poczuje. To tak Gina złapała twojego chłoptasia. To było w San Francisco. Na lotnisku.

Lattimer wolno pokiwał głową.

– Tak. Chyba pamiętam. Przypominam sobie.

Obejrzał fałszywą paczkę Marlboro. Odłożył ją i podniósł coś, co wyglądało jak CB radio.

– A co to jest?

– Jeden z nadajników. Mały zasięg. Najwyżej pół minuty.

Lattimer odłożył urządzenie na półkę. Podeszedł do miejsca, gdzie leżał Mantegna i stanął nad nim.

– Czy te twoje zabawki są zawsze gotowe do użytku?

– Nie! – powiedział Mantegna trochę zbyt przekonywająco. – Skończył się cały zapas. Czekam, aż Izzy wyprodukuje nową partię. Mówiłem już, to bardzo skomplikowany proces...

Huk, jaki towarzyszył wystrzałowi z magnum, był ogłuszający. W pierwszej chwili Carol pomyślała, że Lattimer zabił Mantegnę. Jego ciało drgnęło, wyprężyło się, a następnie opadło z westchnieniem ulgi. Tuż koło głowy, na podłodze widniał dymiący krater.

Od drzwi dobiegło gwałtowne walenie.

– Tony! Tony! Nic ci nie jest...? – Głos Stauba był przeraźliwie piskliwy.

– Powiedz mu, że tak, bo cię rozsmaruję po podłodze – rozkazał Lattimer.

– OK, Manny – krzyknął sztywny ze strachu Mantegna. – Na Boga, wycofajcie się!

– Pytam raz jeszcze. Czy masz gotowe kapsułki?

– W tej małej lodówce. Zobacysz czerwone, plastikowe pudełko. Sześć cali na dwa. – Lattimer wyjął je i otworzył.

– Widzę tylko dwa rzędkie kuleczek z waty.

– W każdej z nich jest kapsułka. Tylko tak można coś z nimi zrobić. Mówiłem ci już, że są cholernie małe...

Lattimer postawił pudełko na blacie stołu. Skinął na Carol i wręczył jej magnum.

– Trzymaj ich na muszce i strzelaj jakby co – instruował. – Jest odbezpieczony, wystarczy nacisnąć spust. Uważaj, by wycelować w jakiś ważny organ. – Podniósł pistolet pneumatyczny i zapytał – Jak to się ładuje?

– Po co pytasz? – z trudem wystękał Mantegna.

– Carol, może potrenujesz troszkę? Sprawdźmy, czy potrafisz strzelać. Celuj Tony’emu w prawe ucho nie uszkodzając czaszki...

– Mówisz serio? – Carol wzdrygnęła się.

– Dobrze, doobree! – krzyknął Mantegna. – Trzeba odkręcić końcówkę i wepchnąć kulkę w otwór. Po zakręceniu naciska się na ten guzik z tyłu. Igła

automatycznie wyjmując kapsułkę z waty i przesuwa do komory...

Lattimer, jak gdyby nigdy nic, podniósł broń i nacisnął spust.

Gina wrzasnęła i złapała się za lewy pośladek.

– Jezu, Tony! Wsadził mi to! Czuję to!...

– Zamknij się! – Odwrócił się do Lattimera. Twarz miał pokrytą potem. Oczy mu pociemniały. Był przerażony.

– Lattimer! Lepiej się dogadajmy albo każę Manny*emu atakować. Wolę zginąć, niż leżeć tu i czekać, aż zrobisz ze mnie pieczeń. Więc jak, przyjmujesz warunki?

Lattimer podniósł nadajnik i wsunął do kieszeni. Delikatnie wyjął ze ściśniętych dłoni Carol wielkie magnum. Trzymając dwa pistolety, powiedział:

– Dobrze, pomówmy o interesach. Możesz kazać swoim chłopakom, żeby pozwolili nam wyjść stąd. Jeśli nie, to nacisnę ten guziczek i stracisz bliskiego krewnego.

– Tony...! – krzyknęła Gina.

– Lattimer, nigdzie nie wyjdiesz. Mówiłem, jesteś w pułapce. Nie ma stąd innego wyjścia. Dobijemy targu albo daję ci trzydzieści sekund i wpuszczam Manny'ego.

Gina zawodziła na podłodze.

– Tony! Wsadził mi to! Musisz coś zrobić!

Mantegna zignorował jej jęki.

– Czas płynie, Lattimer!

Lattimer spojrzał na zegarek.

– Możesz sobie powtarzać to bez końca. Jeśli zaraz nie wyjdziemy, to wszyscy jesteśmy skończeni.

– O czym, do cholery, mówisz?

– Twoje piwnice to składnica substancji łatwopalnych i wybuchowych. Miałem sporo czasu, żeby poszperać i pobawić się. Takie coś jak związki chloru do czyszczenia basenu, chlorek potasu do tępienia chwastów. Że nie wspomnę o tonach nawozów sztucznych, olejów napędowych i benzyny... Zanim natknąłem się na twoją siostrę przechodzącą korytarzem z batem w ręku, spędziłem dobrą godzinkę, przygotowując z tego małą niespodziankę dla ciebie...

– Błefujesz – powiedział Mantegna chrapliwym głosem.

– Słuchaj, gdybyś spędził tyle czasu co ja, badając podpalenia, to też byś sporo wiedział o bombach domowej roboty. Kiedy ta twoja chatka wyleci w powietrze, to huk wstrząśnie całym Los Angeles.

– Nie wierzę ci...

– Tym gorzej dla ciebie. Zainstalowałem zapalnik własnej roboty. Nie jestem pewien, jaki jest dokładny, ale tak na oko, to zostało chyba z pięć minut...

Po dłuższej chwili Mantegna znowu spróbował.

– Te twoje dowcipy...

Głuchy huk dobiegł od strony korytarza. Słysząc było krzyki. Równocześnie włączyła się syrena alarmowa.

– Do licha, przeliczyłem się. – Lattimer zrobił zdziwioną minę.

Następny wybuch wyrwał drzwi i przewrócił Carol i Lattimera. Fala gorącego powietrza, drżenie ścian... spadł sufit.

Mantegna, oślepiiony dymem, przepychał się przez sterty gruzu ku wyjściu. Pokaszując znalazł drzwi laboratorium i ruszył zrujnowanym korytarzem.

Potknął się o coś miękkiego. Pochylił się i wyczuł tkaninę frotté. Manny. Nie oddychał.

Usłyszał szelest za plecami. Ktoś szedł za nim. Przyjął dogodną pozycję. Jeśli to Lattimer, to rozedrze go gołymi rękami.

– Tony...? Czy to ty?

Dłoń dotknęła jego ramienia, chwyciła go kurczowo. Była to Gina.

– Tak... Chodź... Musimy stąd wyjść. To koniec.

Carol wymierzyła Lattimerowi jeszcze jeden policzek. Twarz była napięta i zimna. W końcu zamrugał oczami.

– Grierson – mamrotał. – Trzymaj się chłopie. Uratuję cię. Tłumię ten ogień... Jakoś to zrobię... Nie pozwolę ci spłonąć...

– Panie Lattimer, JACK! Obudź się, proszę! Budynek się pali...

Lattimer otworzył szeroko oczy i usiadł. Odkaszlnął. Do płuc wdzierał się gęsty, czarny dym.

– Proszę, musimy się spieszyć – wołała Carol,

próbując go podnieść.

Oszołomiony, pozwolił się prowadzić. Słyszał trzaski płomieni. Zewsząd dochodziły dzwonki i ryki alarmów. Gdzieś w oddali krzyczeli ludzie...

Zdał sobie sprawę, że gdyby nie Carol to by już nie żył. Uderzenie w głowę zadane spadającym kawałkiem stropu ogłuszyło go. Nigdy nie wyszedłby sam z labiryntu wypełnionych dymem korytarzy. Ale Carol zdołała bez trudu odnaleźć schody wiodące na parter. Po chwili oddychali ciężko świeżym powietrzem.

Dookoła kłębiło się wielu innych ludzi. Większość z nich była nago. Byli zbyt wystraszeni, by zwracać na nich uwagę. Ogień rozprzestrzeniał się zadziwiająco szybko. Płomienie tańczyły w szybach francuskich okien. Z dziury w suficie unosił się słup czarnego dymu.

Wielki helikopter – Boeing Vertol Executaire – unosił się z kolistego lądowiska za pasem łąki. Gałęzie drzew uginały się pod małym huraganem rozpętanym przez jego śmigła.

– Mantegna... ucieka!

Mantegna skierował helikopter ku wybrzeżu. Przy Morro Bay stała jego łódź. Mieli oddalić się nią z Los Angeles do jakiegoś cichego zakątka i zmienić tożsamość. Miał dość pieniędzy poupychanych w sekretnych sejfach i na rozlicznych kontach. Dość, by pozwolić im wypłynąć gdzie indziej, pod innym nazwiskiem.

Spojrzał na siedzącą obok Ginę, wciąż nagą. Nigdy

nie widział jej w takim stanie. Wyglądała staro, była wyczerpana.

Poczuł falę współczucia dla niej.

– Hej, siostrzyczko! To nie koniec świata. Wygrzebiemy się z tego. Obiecuję ci.

Patrzyła tępo w dal.

– Niedobrze mi. Nie mogę oddychać...

Skuliła się, trzymając za brzuch.

– Dobrze, dobrze – uspokajał ją. – Nałykałaś się dymu...

Jej głowa opadła jeszcze niżej.

– Tak mi gorąco... gorąco...

– Trzymaj się, siostrzyczko. Zaraz będziemy... – Zamilkł. Doszła do niego straszna prawda. Ramię, którego dotknął, paliło go...

– Tony... – jęknęła.

Działał szybko. Jedną ręką podtrzymywał kolumnę steru. Pochylił się ponad nią i otworzył drzwi. Rozluźnił jej pas i pchnął...

Jej ciało już niemal wychylało się przez drzwi, gdy zdała sobie sprawę, co z nią robi. Krzyknęła i wpiła się palcami w jego ramię niczym kleszcz.

– Siostrzyczko, pozwól! Zabijesz nas oboje – błagał i próbował wykręcić się. Położył stopę na jej brzuchu. Drugą nogą chciał kopnąć jak najsilniej, ale przywarła tak mocno, że nie mógł rozluźnić śmiertelnego uścisku. Przeklinała go.

Stało się to, czego się bał najbardziej. Ostatnie

przekleństwo uwięzło jej w gardle i z ust buchnął płomień i para.

Uczył jeszcze jedną próbę, ale jej palce wbiły się w jego ramię niczym rozgrzane do czerwoności kleszcze.

Po chwili była jedną płonąca pochodnią.

Mantegna krzychał, wijąc się w ogarniających go płomieniach.

Lattimer nie rozumiał, co się dzieje. Helikopter Mantegny, zamiast oddalić się jak najszybciej, gwałtownie zmienił kurs i w końcu zaczął miotać się bezwładnie. Silniki wyły i milkły na przemian.

Maszyna zbliżała się. Dostrzegł czerwoną łunę w kabinie.

Parę sekund później helikopter eksplodował, rozrzucając szczątki na grupę drzew.

Zdumiony obejrzał się i zobaczył w rękach Carol nadajnik. Zrozumiał wszystko.

Spojrzała na niego z ukosa.

– Ciągłe masz to w kieszeni. Nie dotykałam tego, prawda? Chyba był zepsuty...

Spojrzał na kępę drzew, których gałęzie zaczęły zajmować się ogniem. W powietrzu jeszcze drżał huk niedawnej eksplozji.

– Chyba jednak nie był... – powiedział.

Horowitz miał na tyle przyzwoitości, by przybrać nieco zawstydzony wyraz twarzy. Przed chwilą wszedł do biura Lattimera.

– Czy mogę usiąść?

Lattimer pokiwał głową i gestem wskazał puste krzesło.

Po niezręcznej przerwie Horowitz zdecydował się.

– Miał rodzinę?

– Grierson? Nie. Jego żona i dzieci zginęli kilka lat temu. Dzwoniłem do Londynu i pytałem, czy został ktoś jeszcze, ale twierdzą, że nie.

– Hm, może to i lepiej.

Lattimer nic nie powiedział.

– A ty, Jack? Wszystko w porządku?

– Tak. Dochodzę do siebie.

Znowu niemiła cisza.

– Jack, co mam ci powiedzieć?

– Nic nie musisz. To świństwo jest nie do wykrycia. Nigdy byś tego nie znalazł.

– Tak, ale... – Pokiwał głową. – Powinienem był bardziej wam pomóc...

Lattimer wzruszył ramionami. Bawiło go to. Wiedział, że nie powinno, ale tak było. „Szkoda, że Grierson tego nie słyszy. Szkoda tylu rzeczy...”

– Wiesz, jesteś teraz oczkiem w głowie Porterfielda! Nic nie robi, tylko wychwala cię pod niebiosa.

– Tak, ale jestem pewien, że po tygodniu wszystko wróci do normy.

Horowitz nieudolnie próbował ukryć radość na samą myśl o tym.

Chwilę później, już po wyjściu Horowitza, na biurku

Lattimera zadzwonił telefon. To jego sekretarka informowała, że dzwoni Sherry. Kazał powiedzieć, że jest nieosiągalny.

– Powiedz jej, że znowu wyjechałem z miasta. Na zawsze.

I zaczął wykręcać numer, zapisany własnoręcznie przez Carol Woollcott.